



BUCHARA

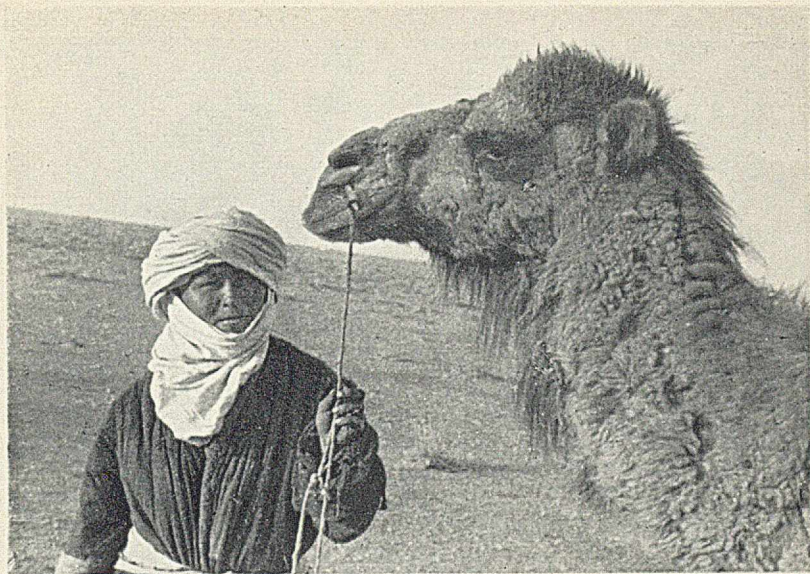
BIBLIOTEKA PODRÓŻNICZA

19

GUSTAW KRIST
BUCHARA



NAKŁADEM TRZASKI, EVERTA i MICHAŁSKIEGO
WARSZAWA, KRAKOWSKIE PRZEDMIEŚCIE 13
GMACH HOTELU EUROPEJSKIEGO



Mój wierzchowy wielbłąd „Schurl“ z nową właścicielką.



Abdullah Turnaiw, znany hodowca wielbłądów.



Sprzedawca ptaków drapieżnych z orłem do polowania.

GUSTAW KRIST

BUCHARA

ORAZ SĄSIEDNIE KRAJE CENTRALNEJ AZJI

Z 47 ILUSTRACJAMI I JEDNĄ MAPĄ

PRZEŁOŻYŁ
DR MIECZYŚLAW JAROSŁAWSKI

BIBLIOTEKA
Państwowego Liceum Pedagogicznego
WIGLIŻYŃSKACH

Nr. 369



NAKŁADEM TRZASKI, EVERTA i MICHAŁSKIEGO
WARSZAWA, KRAKOWSKIE PRZEDMIEŚCIE 13
GMACH HOTELU EUROPEJSKIEGO



Kris

Bud

369

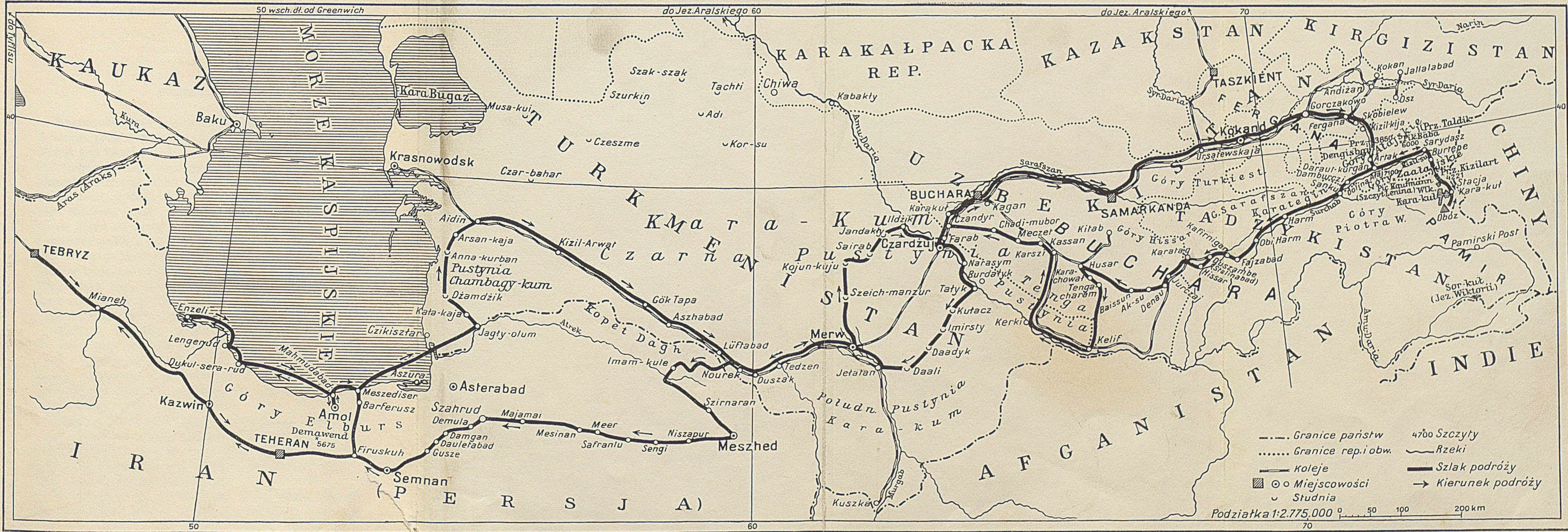
91



WSZELKIE PRAWA ZASTRZEŻONE



1887



50 wsch. dl. od Greenwich

do Jez. Aralskiego 60

do Jez. Aralskiego 70

- Granice państw
- Granice rep. i obw.
- Koleje
- ⊙ Miejsowości
- Studnia
- 4700 Szczyty
- ~ Rzeki
- Szlak podróży
- Kierunek podróży

Podziałka 1:2.775.000 0 50 100 200 km

PRZEDMOWA

Rokrocznie wielu podróżników zwiedza kraje Afryki, Australii, południowej Ameryki oraz wyspy Południowego Morza, gdy Centralna Azja jest prawie nie znana. Liczne są i różnorodne tego przyczyny. Emiraty Buchara i Afganistan oraz chanat Chiwa zarówno jak i rosyjskie części Turkiestanu najdłużej były niedostępne dla Europejczyków. Bezdroża pustyń oraz gór niezwykle utrudniały podróże, które się zresztą nie opłacały. Od czasu wojny światowej podróże takie — o ile chodzi o tereny rosyjskie — są w ogóle niemożliwe, ponieważ rząd rosyjski podczas wojny ze względów politycznych nie wpuszczał do Turkiestanu żadnego Europejczyka, Sowiety zaś są jeszcze bardziej niż poprzedni rząd zainteresowane w niedopuszczaniu cudzoziemców na teren tego kraju.

Buchara, państwo, które było zależne od Rosji aż do roku 1917, zrzuciło w tym roku jarzmo tej zależności i wzbronilo Europejczykom przekraczania swych granic. Latem roku 1920 czerwona armia po silnym ostrzeliwaniu zajęła stolicę Buchary, emir zaś uciekł do swych krewnych do Afganistanu.

Państwa, które dzięki konstytucji uzyskały autonomię, a więc Uzbekistan, Tadżykistan i Turkmenistan zamknęły hermetycznie swe granice i absolutnie nie wpuszczały nikogo z Europejczyków w głąb kraju. Nawet Rosjanie musieli posiadać specjalne zezwolenia.

Europejczycy, którzy do końca XIX stulecia udawali się do Buchary, byli to przeważnie angielscy, francuscy

lub rosyjscy agenci. Jeździli oni po tym kraju w przebraaniu lub pod pretekstem naukowym, jednakże rzadko mogli go opuścić, ponieważ najczęściej poznawano ich i tracono lub zmuszano do pracy w charakterze niewolników.

Ci nieliczni zaś, którym udało się powrócić do Europy, nie chcieli wiele opowiadać o swych przeżyciach i obserwacjach, ponieważ jako wysłannicy wojskowi zdawali sprawozdanie jedynie swym rządóm.

W roku 1243 zwiedził Bucharę Anglik Cooley, po nim w roku 1271 Marco Polo, który żył na dworze Tamerlana, i znów dopiero po pauzie trwającej sto trzydzieści lat w roku 1403 odwiedził Bucharę Clavigo. Po nim idą Anglicy Stell i Crofter i z kolei pewna ilość szpiegów rosyjskich w XVIII i XIX wieku tudzież kilku zachodnich Europejczyków, a wśród nich Vambery, Schwarz, Lansdell, Chanikow i wreszcie Stodhart i Conally, których w roku 1842 stracono w Bucharze.

Oczywiście nie byli oni jedynymi podróżnikami, którzy wybrali się do Buchary, większość jednak z nich nie mogła dotrzeć do celu swej podróży, gdyż rywalizujący ze sobą Anglicy i Rosjanie zawsze w odpowiednim czasie powiadamiali emirów o przybyciu tych dzielnych ludzi, wobec czego albo im w ogóle nie pozwalano przekraczać granicy, albo też chwymano i dostarczano do stolicy jako jeńców wojennych. Stamtąd dopiero wydostawano ich i sprowadzano do kraju po długich pertraktacjach za odpowiednim wykupem, przy czym jeńcy tacy z reguły nie widzieli nic, ani nie wiedzieli nic o Bucharze.

Kraj ten oraz rząd jego charakteryzuje fakt, że jeszcze niespełna pięćdziesiąt lat temu Rosja musiała wykupić z niewolnictwa bucharskiego pewną ilość swych poddanych.

Kilku podróżników było w Bucharze również w roku 1920, a byli to przeważnie Rosjanie i Anglicy, którzy ry-

walizowali ze sobą o łaski emira, ponieważ rządy obu tych krajów uważały Bucharę za ośrodek świata mahometańskiego, którym w istocie Buchara jest jeszcze dzisiaj, i chciały w Bucharze stworzyć sobie punkt wyjściowy dla podbicia Centralnej Azji oraz przeniknięcia w głąb tej części kontynentu.

Na razie wyścig ten wygrali Rosjanie.

W niedalekim czasie Sowiety tak gruntownie zmieniają Azję Centralną, że oprócz starych ruin i pewnych szczątków literatury nic już nie będzie przypominać dawniejszego państwa Tamerlana.

Skoro się mówi na tym miejscu o pobycie Europejczyków w Bucharze, nie trzeba zapominać o Austriaku Russmanie, który podczas wojny światowej dostał się do niewoli rosyjskiej, uciekł z obozu w Aschabadzie do Buchary i dosłużył się tam stopnia generała kawalerii.

Podczas wojny światowej w służbie rządu bucharskiego znajdowało się około czterdziestu Austriaków. I ja również po raz pierwszy byłem w Bucharze podczas wojny światowej, miałem więc sposobność poznać starą jeszcze Bucharę, która na pewno jest jednym z najbardziej ciekawych krajów świata.

Dla uniknięcia nieporozumień podkreślam z całą wyrazistością, że podane na tym miejscu opisy mej podróży nie mają bynajmniej pretensji do nazwy podróży naukowej. Jedyne chęć przygód skłoniła mnie do przedostania się na zabronione terytorium bucharskie i zobaczenia tam więcej, niż mi się udało podczas mych poprzednich podróży.

Proszę więc, by czytelnik książkę moją uważał za tego rodzaju sprawozdanie podróżnika.

Gustaw Krist

WYCIECZKA DO KĄPIELISKA MORSKIEGO
ORAZ JEJ SKUTKI

W roku 1922 wróciłem z Turkiestanu do domu. Ponieważ nie byłem w Austrii od roku 1914, znalazłem tu dla siebie jak najniekorzystniejsze warunki życia, tym bardziej że trudno mi było przystosować się do zmienionej sytuacji. W końcu roku pojechałem do Persji z powrotem i wstąpiłem na służbę pewnego handlarza dywanami w Tabrysie, z którym objeżdżałem Persję we wszystkich kierunkach.

Abul Kasim Kanadi, moja mizerna osoba oraz dwaj służący Kanadiego wspinaliśmy się z naszymi kosmatymi końmi cały dzień przez bukowe lasy Elbursu. Na wysokości 2.400 metrów ponad morzem dotarliśmy do działu wodnego i stąd zaczęliśmy znów schodzić w dół do Morza Kaspijskiego, którego niebieska powierzchnia dzięki wyraźnej widoczności błyszczała w blaskach słońca.

Cieszyliśmy się, że dzień wejścia do Barferuszu jest już bliski i że okres „tuczenia się” gotowanym i zsiadłym mlekiem kozim, które nabywaliśmy u pasterzy górskich, wkrótce się skończy i zacznie się używanie na baraniej i świeżej wodzie do picia.

Już od wielu dni nie mówiliśmy o niczym innym jak o rozkoszach planowanego wypoczynku tygodniowego w Barferuszu. Według opowiadań Kanadiego Barferusz miało być Szirazem Persji północno-wschodniej, miastem płynącym mlekiem i miodem. Z własnego doświadczenia znałem już wartość określeń Kanadiego i zredukowałem entuzjastyczne jego opowieści do właściwej miary. Ale

kiedyśmy wjechali naprawdę do tej glinianej dziury, musiałem stwierdzić z przerażeniem, że nawet ja sam za wiele sobie po niej obiecywałem.

Rozbiliśmy nasze filcowe namioty w ogrodzie naczelnika policji, który był osobistym przyjacielem Kanadięgo, i udaliśmy się na bazar po zakup żywności.

Całą prowincję Mazenderanu nawiedził nieurodzaj i posucha. Bazar był jakby wymarły. Za duże pieniądze zdobyłem kilka granatów, jedyne owoce, jakie można było znaleźć. Ponieważ brakło tu zielonej paszy dla bydła, przeto nie było ani mleka, ani sera. Po długich rozpytywaniach i poszukiwaniach udało mi się wreszcie kupić dwa tuziny jaj. Woda w całym Barferuszu była słonawa i brudna, tak że przed użyciem musiałem ją gotować, co wprawiało w zdumienie Kanadięgo.

Na trzeci dzień po przybyciu do Barferuszu postanowiłem pojechać konno do Meszed-i-saru, ażeby wykąpać się w Morzu Kaspijskim. Odległość trzydziestu pięciu kilometrów nie przerażała mnie bynajmniej, spodziewałem się bowiem, że będę mógł tam nałowić ryb, ażeby nieco urozmaicić nasz zbyt jednostajny jadłospis. Kanadiemu jednak powiedziałem tylko, że pragnę się wykąpać, co jeszcze bardziej wprowadziło go w zdumienie, nie mógł bowiem absolutnie zrozumieć tego, że dla kąpieli decyduję się przejechać podczas takiego żaru tam i z powrotem 35 kilometrów.

Wyjechałem z Barferuszu jeszcze przed wschodem słońca, aby uniknąć południowego żaru. Jeżeli już tutaj upał był nie do zniesienia, to w Meszed-i-sarze temperatura prawdopodobnie była jeszcze o jakieś kilkanaście stopni wyższa, ponieważ w miejscowości tej nigdy nie było żadnej roślinności.

Nędzne lepianki z gliny stoją pośrodku białego piaszczystego wybrzeża, które odbija wzmożony żar słońca. Je-

dyną pociechą był czysty, spływający z Elbursu strumień, nad brzegiem którego tzw. *czajchanszik* (właściciel herbaciarni) ustawił swoją budę.

Po kąpeli zrobiłem sobie z kawałka zardzewiałego drutu wędkę i powędrowałem z nią hen w płytkie morze. Złowione ryby zawiesiłem na sznurze wokół karku i łowiłem, ile mi się żywnie podobało.

Wróciwszy do *czaj-chana* poleciłem upiec sobie ryby na węglach drzewnych i zdrzemnąłem się tymczasem na brzegu strumienia.

Hen na morzu ukazał się mały żaglowiec i skierował się ku naszemu wybrzeżu.

W godzinę potem do herbaciarni przyszło czterech Turkmenów. Pomimo upału mieli na głowach swe olbrzymie futrzane czapy i ubrani byli w płaszcze z sierści wielbłąziej.

Z rozmowy ich, prowadzonej z gospodarzem herbaciarni, dowiedziałem się, że przybywają z ładunkiem arbuźów oraz owczego sera z Czikiszaru, leżącego na turkistańskim wybrzeżu, i udają się do Enzeli. Jakże biedni musieli być ci ludzie, skoro ryzykowali na prymitywnym stateczku trudną podróż, wynoszącą 500 kilometrów, ażeby móc sprzedać kilkaset arbuźów oraz kilka kręgów sera! Ponieważ w Enzeli musieli nieraz czekać długie tygodnie na otrzymanie ładunku do Rosji, przeto ich nieobecność w domu trwała nieraz po kilka miesięcy.

Podczas rozmowy z przybyszami gospodarz niejednokrotnie wskazywał na mnie. Wreszcie jeden z Turkmenów wstał i podszedł do mnie. Uważał niewątpliwie każdego Europejczyka za lekarza, przeto zagadnął mnie, czy nie mógłbym mu coś pomóc. Bolały go strasznie plecy.

Niejednokrotnie już w razie potrzeby zastępowałem lekarza, oznajmiłem mu więc, że przede wszystkim muszę obejrzeć bolesne miejsce, i poleciłem mu rozebrać się.

Gdybym był nie wpadł na pomysł kąpania się akurat w Meszed-i-sarze i gdyby Turkmen nie był chory, nigdy nie napisałbym tej książki. Składałem więc najuroczyściej ze siebie wszelką odpowiedzialność za to, winien jest bowiem wyłącznie Turkmen Szir-Dil (Lwie Serce), a dokładniej mówiąc, jego zaawansowana poważnie „riszta“.

Najmocniej przekonany, że Turkmenowi dolega właśnie taka „riszta“ (nitkowiec¹), zdjąłem przede wszystkim z rany położony na nią okład z owczego gnoju. Rana wyglądała okropnie i musiała sprawiać Turkmenowi straszny ból. Ponieważ sam już dwukrotnie chorowałem na nitkowca, wiedziałem dokładnie, co mam robić. Spytałem Szir-Dila, czy był w Bucharze. Owszem, odparł, właśnie cztery miesiące temu był w Asred-Baszirze w odwiedzinach u swego szwagra. Miałem raz nitkowca na wielkim palcu lewej ręki i po raz drugi na karku, ale tak olbrzymiej „riszty“, a zwłaszcza tak zanieczyszczonej i zaniedbanej, nie widziałem nigdy.

Riszta jest typową chorobą bucharską, która, o ile się nie mylę, nie zdarza się poza tym nigdzie. Przyczyną jej jest dwumilimetrowej grubości i bez mała trzymetrowej długości robak, który w postaci mikroskopijnej larwy dostaje się wraz z wodą do organizmu i przedostaje do tkanki podskórnej ciała ludzkiego, gdzie wywołuje ropiejącą ranę.

Robak ten żyje przeważnie w stojących wodach Buchar, w stawach i w tzw. „arikach“. Całe jego wnętrze składa się z mlecznobiałej cieczy, która jest właściwie olbrzymią ilością maleńkich, niewidocznych niemal dla oka robaczek, niedojrzałych jeszcze larw. Celem uwolnienia młodych robak pęka i zawarty w nim płyn rozplywa się w wodzie. Wystarczy teraz napić się takiej wody,

¹ *Filaria medinensis* (nitkowiec). Przypisek tłumacza.

a znajdujące się w niej larwy dostają się do jelit, gdzie rozwijają się w samodzielne indywidua i w ciągu kilku miesięcy wydostają na powierzchnię ciała.

Wziąłem brzytwę, którą szczęśliwym zbiegiem okoliczności miałem w torbie przy siodle, i wezwałem „Lwie Serce“, aby nie skompromitował swego imienia i cierpliwie zniósł ból, jaki miał go spotkać. Następnie wykonałem cięcie, i zaledwie ostrze drasnęło nieco skórę, na rękę wylał mi się natychmiast gęsty strumień czarnej krwi zmieszanej z ropą. Scyzorykiem odłupałem drzazgę od słupa podpierającego werandę i ostrożnie rozciąłem jeden z jej końców.

Z kolei ścisnąłem brzegi rany i przekonałem się, że diagnoza moja była nieomylna, gdyż ukazał się w niej dwucentymetrowej długości kawałek robaka, który natychmiast uchwyciłem nacięciem drzazgi.

Ponieważ robaka należy nawijać bardzo ostrożnie, żeby się nie rozerwał, gdyż w przeciwnym razie pacjent zginie, przeto zabieg ten musiał trwać kilka dni. Pouczyłem więc siedzących wokoło towarzyszy mego pacjenta i poleciłem im co dwie godziny delikatnie zrobić kilka obrotów drzazgą, co też mi obiecali skrupulatnie wykonać. Na trzeci dzień zamierzałem sam znów przyjechać z Barferuszu i odwiedzić pacjenta.

Po tym wszystkim nabyłem u właściciela herbaciarni pęczek suszonych ryb i udałem się w powrotną drogę.

Umówionego dnia znalazłem się znów w herbaciarni w Meszed-i-sarze. Pacjent czuł się dobrze i był wesół. Bóle ustąpiły, obsypywał mnie więc słowami podziękowań. Robak wysechł już tak dalece, że udało mi się teraz wyciągnąć go w całości. Ranę obmyłem spirytusem i zrobiłem opatrunek. Turkmeni przynieśli ze swego żagłowca melony i ser. Wyborowe soczyste arbuzy sprawiły mi od dawna upragnioną rozkosz.

Spotkanie z Turkmenami przypomniało mi ten okres czasu, który spędziłem w Turkiestanie i Bucharze. Pragnąłem znów zobaczyć ten kraj i postanowiłem nie udawać się z Kanadim do Asterabadu i Dżordżanu, lecz zrobić wycieczkę do Buchary, żeby zobaczyć, jak wygląda dzisiaj ten kraj jako Autonomiczna Republika Związku Sowieków — Uzbekistan.

Znałem Bucharę jeszcze jako samodzielny emirat, który wprawdzie w pogranicznych swych miastach musiał tolerować wojska rosyjskie, ale do świętego miasta zabraniał wejścia wszystkim Europejczykom. Tylko znajomość z ówczesnym burmistrzem (beg) Kerki i późniejszym premierem (kusz-begi) emira otworzyła mi bramy murów miejskich.

Rozpytałem się więc czterech Turkmenów o panujące w owym czasie stosunki w Turkiestanie i Bucharze. Chętnie opowiedzieli mi o tym, o czym wiedzieli, a kiedy zaczęli się ze mną żegnać, spytałem ich, czy nie zabraliby mnie na swej łodzi do Enzeli, ponieważ chcę od tamtejszego konsula sowieckiego wziąć pozwolenie na wyjazd.

Wdzięczni Turkmeni bardzo się ucieszyli moją propozycją i obiecali poczekać na mnie kilka dni, aż wrócę z Barferuszu.

Całe moje zachowanie się i wszystko, com robił w ciągu tych dwóch lat, kiedy z Kanadim przejeżdżaliśmy Persję we wszystkich kierunkach, było dla niego nie wygasającym nigdy źródłem zdziwienia. Tym razem jednakże po prostu zaniemówił, gdym mu oświadczył, że Turkmeni i „riszta“ obudziły we mnie dawne wspomnienia, którym nie mogę się oprzeć, i że jutro już odpłynę z tymi Turkmenami do Enzeli. Do późna w nocy musiałem wysłuchiwać, co za niewdzięczny jestem człowiek, kiedy po prostu porzucam tutaj swego dobrodzieja. On, Kanadi, będzie się cieszył, gdy się dowie, że mnie zabili dzicy

Bucharzy lub że bolszewicy wtrącili mnie do najcięższego więzienia Buchary.

Mimo to jednak rankiem dnia następnego pomógł mi się spakować i wystawił mi na filię Perskiego Banku Narodowego w Enzeli czek na 300 tomanów.

Prosiłem go o pieniądze, ponieważ przechowywał moje oszczędności. Na odjeźdźnym Kanadi upominał mnie jeszcze, bym najdłużej zabawił tam miesiąc. W tym czasie będzie już wracał do Tebrysu. Jeżeli go nie zastanę w Teheranie, mogę wtedy udać się wprost do Tebrysu. Gdybyż ten dobry człeczyna przeczuwał, ile upłynie czasu, zanim mnie zobaczy!

W Meszed-i-sarze oddałem odprowadzającemu mnie służącemu konia i zaniósłem skromny swój bagaż na żaglowiec, który przy stosunkowo dobrym wietrze wziął kurs na zachód.

Wkrótce z oczu mych zniknął ten cichy zakątek nadmorski.

Pewnego dnia, gdyśmy już minęli Lengerud i zbliżyliśmy się do Resztu, brat Szir-Dila, Chores, zastąpił mnie przy łowieniu ryb. Zarzucił haczyk z przynętą, obwiązał wędkę z końskiego włosia wokół prawej stopy i sennie przechylił się w tył, aby nieco wypocząć. Nagle mocne szarpnięcie naprężyło włosie i Chores zaczął powoli acz z wielkim wysiłkiem wyciągać ją z wody. Jasne było, że wzięła jakaś tęga ryba. Pośpieszyłem Choresowi z pomocą i ujrzałem wynurzającego się z wody olbrzymiego jesiotra. Żegnaj wędzisko z włosiem i hakiem! Wciągnięcie tego olbrzyma na małą naszą łódź wydawało się niemożliwe. Chores ciągnął z całej siły, ryba szła pod wodę również z całej siły. Chores jako mądrzejszy ustąpił nieco, ale poślizgnął się i wpadł do wody, z włosiem obwiazanym ciągle jeszcze wokół stopy. Wtedy brat jego i Abdullah rzucili ze siebie chałaty i wskoczyli za nim.

Po raz pierwszy widziałem pływających i nurkujących Turkmenów i, dalibóg, dzielni ci ludzie sprawiali się niezłe. Gdy ukazali się z Choresem na powierzchni wody, nie szczęśliwiec był nieprzytomny. Wciągnąłem go do łodzi, rozpiąłem ubranie i przyłożyłem ucho do piersi. Serce biło jeszcze, ale powoli i nieregularnie. Z pomocą Szir-Dila rozebrałem chłopca i odwróciłem twarzą do pokładu. Z ust jego chlusnął natychmiast strumień wody. Wtedy odwróciłem go znów na plecy, uchwyciłem za ramiona i spróbowałem zastosować sztuczne oddychanie.

Turkmeni, którzy nie widzieli dotychczas czegoś podobnego, przyglądali się uważnie. Już piętnaście minut poruszałem ramiona jego do góry i na dół, pot spływał po mnie strumieniami, ale Chores ciągle jeszcze był nieprzytomny.

Wreszcie rozwarł usta i spostrzegłem z radością, że płuca zaczęły znów oddychać regularnie. Już zoperowaniem „riszty“ zyskałem sobie wdzięczność Turkmenów, ale teraz wdzięczność ta po prostu nie miała granic. Hardzi Jomudowie, którzy przedtem uważali mnie za równego sobie, naraz jęli mnie obdarzać objawami najwyższego szacunku. Po odratowaniu Choresa zostałem dla nich tzw. *tiura*, czyli „panem i władcą“.

Następnego dnia ujrzeliśmy ostry język lądu, na którym leży Enzeli (dzisiejsze Pahlewi).

W porcie znajdowało się kilka lekkich kanonierek oraz okrętów cysternowych, które przywożą dla okrętów wojennych ropę z Baku.

Wprawdzie Enzeli leży pośrodku perskiego wybrzeża, należało jednakże wtedy jeszcze do Rosji, podobnie jak Zara na wybrzeżu dalmatyckim jest posiadłością włoską. Udałem się do hotelu „Paryż“, który bardziej był podobny do rozwalającej się obory niż do hotelu, i wynająłem tam najlepszy pokój, gdzie oprócz pluskiew oraz zawszonego

łóżka znajdował się jako jedyny mebel koślawy stołek. Ponieważ stołek ten służył jednocześnie za umywalnię, gdym chciał na nim usiąść, musiałem przedtem zestawić na podłogę glinianą miednicę wagi jakichś dwudziestu kilogramów.

Po umyciu się i ogoleniu odnalazłem rosyjskiego konsula i wyłuszczyłem mu swój zamiar udania się najbliższym odpływającym parowcem przez Baku do Krasnowodska a stamtąd do Samarkandy.

W czasie przedstawiania mego planu konsul spokojnie pił filiżankę herbaty po filiżance i odgryzał przy tym z ułamka głowy cukru małe kawałki, które następnie trzymał zgrabnie w zębach i przepuszczał przez nie łyki herbaty. Gdym skończył, spojrział na mnie i powiedział jedno tylko, ale pełne za to treści słowo: „Nielzia“ (nie wolno).

Wypytyując go okrężnie dowiedziałem się, że ze względów politycznych wszystkim cudzoziemcom wzbroniony jest wjazd do Turkiestanu niezależnie od miejsca przekroczenia granicy.

Ba, nawet Rosjanie, którzy z głębi Rosji chcą udać się do Turkiestanu, muszą uzyskać specjalne pozwolenie „Politotdieła“ (Departamentu Politycznego), które wydaje się tylko w nadzwyczajnych wypadkach.

Na próżno tłumaczyłem mu, że w roku 1922, a więc przed dwoma laty, Colin Ross jadąc z Baku przejechał przez cały Turkiestan. Istotnie, tak się ta sprawa miała, zgadzał się konsul, sam bowiem rozmawiał wtedy z panem Rossem, ale podróżnik ten miał specjalne pozwolenie z Moskwy, przy tym jednak nie wolno mu było ani na krok oddalać się od centralno-azjatyckiej drogi żelaznej. Śladem jego szedł i pilnował go stale wysłannik „Czeki“ z poleceniem natychmiastowego aresztowania, gdyby udawał się w bok od drogi żelaznej.

Zapytałem więc go z kolei, czy nie mógłby mi udzielić pozwolenia na wjazd Czidiraliew, przewodniczący Centralnego Turkiestańskiego Komitetu Wykonawczego w Taszkencie, będący moim osobistym znajomym. Zdaniem konsula i towarzysza Czidiraliew nie mógł mi wydać takiego pozwolenia, w tych sprawach bowiem może decydować tylko Moskwa. Nie chciałem jednak w to uwierzyć, ponieważ Uzbekistan był państwem autonomicznym, a wobec tego niezależnym od Moskwy w sprawach natury wewnętrznej.

Pan konsul ugryzł nowy kawałek cukru i o mało się nie udusił, śmiejąc się do rozpuku z tego naiwnego argumentu.

— Towarzyszu, nie bądźcie dzieckiem. Towarzysze Turkiestanu rządzą się autonomicznie, dopóki nam się to podoba i o ile nam się to wydaje celowe. Wybijcie sobie z głowy tę wariacką podróż. Nigdy nie dostaniecie się do Buchary, wierzcie mi. Ale i po cóż to wam? Jest to taki sam kraj jak wiele innych — ani lepszy, ani gorszy. A teraz pozostajmy dobrymi przyjaciółmi. Wypijecie ze mną szklankę herbaty?

Udałem się następnie do portu celnego, odnalazłem łódź mych turkmeńskich przyjaciół i opowiedziałem im o mym niepowodzeniu. Oświadczyli mi jednogłośnie, że wezmą mnie po prostu ze sobą na wybrzeże turkiestańskie. Wsiądę tam niepostrzeżony na ląd i gdy znajdę się w środku pustyni o kilka kilometrów od brzegu, pies się już o mnie nie zapyta. Plan ten miał wiele plusów, wydawał mi się jednak zbyt ryzykowny. Znałem już krótki a bezwzględny wymiar sprawiedliwości rosyjskiej, dzięki której raz już o mało nie dostałem się pod ścianę. Na pewno nie uda mi się już po raz drugi tak łatwo wykręcić. Bez dokumentów w niedostępnym Turkiestanie? O nie, le-

piej już odwiedzić samego diabła wraz z jego teściową w piekle!

A jednak myśl o przedostaniu się do Buchary wbrew wyraźnemu zakazowi Rosjan była tak ponętna, że nie chciała mnie po prostu opuścić. Jakże często stawiano mnie wobec słowa „niemożliwe“ lub „zabronione“, a jednak mimo to zawsze przeprowadzałem swój plan. Dlaczegoż więc teraz miałyby to być naprawdę niemożliwe?

Długo szukałem jakiegoś wyjścia. Wreszcie przypomniałem sobie, że miał w Kizil-Arwacie przyjaciela, który prawdopodobnie będzie mógł mi pomóc. Musiałbym tylko jak najprędzej z nim się skomunikować. Otóż mieszkał tam austriacki jeniec wojenny Steinschneider, z którym długie lata spędziłem w Fort-Aleksandrowsku i Samarkandzie. Napisałem do niego długi list i prosiłem go o pomoc. Z jakimiś dokumentami, pożyczonymi od Steinschneidera, który jako obecny obywatel rosyjski posiadał ich na pewno bardzo wiele, chciałem udać się do Buchary. Jeżeli mój przyjaciel jeszcze żył i mieszkał w Kizil-Arwacie, to mi obowiązkowo pomoże. Byłem tego pewny.

Trzeba było tylko list ten dostarczyć Steinschneiderowi przez człowieka zaufanego. Zdecydowałem się szybko na wybór i zwróciłem się do Choresa.

— Chores, czy odbyłbyś dla mnie podróż z Czikiszlaru do Kizil-Arwatu, ażeby tam odwiedzić mego przyjaciela?

— Tak, panie!

Było to krótkie i proste „tak“, jakby chodziło o jakiś spacer, nie zaś o podróż wynoszącą 350 kilometrów przez pustynię Chanbagy-Kum i tyleż z powrotem.

Następnie umówiłem się z Turkmenami, że popłynę znów ich statkiem z powrotem do Mahmudabadu, gdzie chciałem zaczekać u pewnego austriackiego leśniczego na

odpowiedź od mego przyjaciela, przyniesioną mi przez Choresa.

W osiem dni potem sprawy tak się miały, że mogliśmy już wypłynąć. Statek mych przyjaciół załadował węgiel drzewny do tzw. „mangałów“, czyli małych piecyków, które stawia się z rozżarzonymi węglami pod watawanymi kołdrami, dla ogrzewania nóg. Jest to jedyne źródło ciepła, jakie posiadają nomadzi podczas mroźnej zimy w pustyni.

Cały zachodni Turkiestan mimo swych olbrzymich obszarów jest pozbawiony drzewa. Wprawdzie w oazach spotyka się tzw. *czinary* i *karagatsze* (platany i czarne wiązy), mają one jednak tak wielkie znaczenie dla życia, że nie wolno ich ścinać. Niezbędny więc węgiel drzewny trzeba częstokroć sprowadzać na grzbietach wielbłądów z odległych o tysiące kilometrów gór Buchary lub z Fergany. Toteż Turkmeni, osiedli na wschodnim wybrzeżu Morza Kaspijskiego lub też prowadzący w tych okolicach życie koczownicze, już od wieków sprowadzają sobie węgiel drzewny z perskiego wybrzeża, co jest z wielką szkodą dla lasów pokrywających góry Elbursu.

Tymczasem odwiedziłem konsula jeszcze po raz drugi. Oświadczył mi, że uważa mnie za kompletnego wariata, żaden bowiem rozsądny człowiek nie będzie bez koniecznej potrzeby przebywał w pustyni.

Mam już jednak od urodzenia uparty łeb. Po wyjściu od konsula byłem więcej niż kiedykolwiek zdecydowany przekroczyć zabronioną granicę.

O świcie żaglowiec nasz opuścił Enzeli i wziął kurs na ujście rzeki Kizil-Uzen, skąd zamierzaliśmy płynąć dalej wzdłuż wybrzeża. Korzystając z bardzo pomyślnego wiatru dopłynęliśmy już czwartego dnia podróży do Mahmudabadu. Nie opodal tej nadbrzeżnej miejscowości leży Amol i tam właśnie mieszkał będący na perskiej służbie

Austriak Moser w charakterze leśniczego. W powrotnej drodze Chores stamtąd właśnie miał mnie zabrać ze sobą.

Turkmeni odплыnęli znów na pełne morze. Stałem długo na brzegu i patrzyłem na oddalający się stateczek, aż wreszcie zniknął na horyzoncie. Czy zobaczę znów moich Turkmenów? Wszystko przecież zależy od wiadomości, jakie przyniesie Chores.

Bagaż swój zostawiłem na piasku i udałem się do Mahmudabadu, żeby nająć konia do Amolu.

Pan Moser przyjął mnie z otwartymi ramionami i właśnie na tym miejscu chciałbym raz jeszcze podziękować mu za szczerą gościnność oraz udzielone mi dobre rady.

W ciągu trzytygodniowego pobytu u tego wyjątkowego człowieka potrafiłem tak poznać stosunki w tej części kraju, jakby mi się to bez jego pomocy nie udało nigdy. Jednego tylko nigdy mu nie przebaczę. Każdego dnia w ciągu tych trzech tygodni mimo mych protestów ciągnął mnie ze sobą na polowanie na pantery. Jednakże nie zobaczyłem przez cały ten czas ani jednej — żywej czy zabitej, chociaż pasterze i węglarze zapewniali stale, że zaledwie przed kilkoma dniami widzieli dużą panterę.

Właśnie któregoś dnia udaliśmy się znów na poszukiwanie pantery i wspinaliśmy się na wysokość bez mała tysiąca metrów. Poprzedniego dnia padał deszcz, toteż za każdym krokiem grzęźliśmy w glinie po kostki. Ponieważ tego dnia pośliznąłem się i upadłem najmniej dwadzieścia razy, byłem umazany gliną od stóp do głów i czułem się bardzo niedobrze. Toteż już około południa nalegałem, byśmy zeszli z góry.

Przed domem Mosera w Amolu obok wejściowych drzwi siedział Turkmen. Był to Chores.

— Masz list, Choresie?

— Bar, tiura (Mam, panie).

Powiedział to swoje „bar“ tak spokojnie i naturalnie, jakby mi przyniósł pismo z sąsiedniego domu.

Pospiesznie rozerwałem kopertę. Był w niej długi list Steinschneidra, zawierający obietnicę uczynienia dla mnie wszystkiego, co tylko będzie można. Poza tym przysłał mi zaświadczenie sowietu w Kizil-Arwacie, opiewające na imię Ferdynanda Steinschneidra, a zezwalające na stały pobyt w Turkiestanie i Bucharze.

Fotografię swoją przyjaciel zastąpił moją własną. Wyprawie do zabronionego kraju nic nie stało na przeszkodzie. Postanowiłem wyjechać natychmiast.

Około północy dotarliśmy do Mahmudabadu i udaliśmy się na statek. Szir-Dil oraz jego przyjaciele przywitani mnie serdecznie.

Zaledwie zdążyłem się jakoś usadowić i umieścić bagaż, a już załoga wyciągnęła kotwicę, żagle poszły do góry i słabo obciążona łódź pomknęła jak strzała po falach.

Jak mi wyjaśnił Szir-Dil, płynęliśmy dokładnie na północ, aby nie przepływać przed dziobami ciekawych statków rosyjskich okrętów wojennych, które mają swoją bazę morską w zatoce Aszara (również na perskim terytorium) i w nocy ujawniają niezwykłą czujność w pobliżu wybrzeża, stale oświetlając morze reflektorami, aby wyławiać łodzie przemytnicze oraz uciekinierów z raju sowieckiego.

Aż do południa płynęliśmy na północ, następnie zawróciliśmy ku lądowi, trzymając się mniej więcej tej samej szerokości aż do zmroku. Wśród ciemni nocy wynurzyło się wybrzeże i stateczek nasz wpłynął w zatokę Hassan-Kuli, gdzie rzeka Atrek wlewa swe wody do Morza Kaspijskiego.

Obawiałem się, że będzie tu jakaś kontrola łodzi. Ale Turkmeni uspokoili mnie. Okręt kontrolujący już przed

kilku godzinami wypłynął z zatoki, a tubylczych rybaków nic to nie obchodzi.

Już od czterech godzin żeglowaliśmy przez zatokę i mimo dobrego wiatru łódź nasza płynęła coraz wolniej. Gdy zwróciłem uwagę Choresa na to wolne posuwanie się na przód, oświadczył mi, że dawno już minęliśmy ujście Atreku i od godziny płynieśmy właśnie pod prąd tą rzeką.

Noc bezpośrednio przeszła w ranek i zobaczyłem, żeśmy się znajdowali pośrodku gliniastożółtej, pustynnej rzeki. Brzegi jej były kompletnie płaskie i jednakowej wysokości, jakby Atrek był sztucznym kanałem. Jak daleko sięgnąć wzrokiem, ciągnął się szarawożółty piasek pustyni, tu i owdzie tylko przerywany bezlistnymi krzewami. Około południa dopłynęliśmy do ostrego zakrętu rzeki i Chores wskazał na lewo w pustynię. W dali wynurzyły się drzewa i domy i dowiedziałem się, żeśmy zbliżali się do granicznego fortu Jagły-Ołum.

Atrek tworzył tutaj właśnie naturalną granicę pomiędzy Persją a rosyjskim Turkiestanem.

Niebawem jeden z ludzi posterował ku lądowi, gdzie już stało na kotwicy sporo łodzi różnej wielkości.

Jak okiem sięgnąć, nie widać było ani żywej duszy. Mogło się wydawać, żeśmy przepłynęli Styks i przybyliśmy do krainy śmierci.

Wyskoczyliśmy na ląd i skierowaliśmy się do aulu Turkmenów. Bagaż i ekwipunek łodzi miał Chores przywieźć następnego dnia na wielbłądach. Jak zapewniał Szirdil, wszystkie rzeczy mogły przez wiele tygodni a nawet miesiące pozostawać na łodzi bez żadnego dozoru i nie zginąłyby ani jeden garnek, ani jedna zapalka nawet. Tak wielkie jest poszanowanie synów pustyni dla cudzej własności, jeżeli nie znajdują się akurat na jakiejś wyprawie najezdniczej.

W GOŚCINIE U JOMUD-TURKMENÓW

Po godzinie ciężkiej wędrówki przez piaski zatrzymaliśmy się przed kotliną. Leżały przed nami zielone pola oraz liczne ogrody owocowe, poprzerywane wysokimi grupkami srebrzystych topoli i platanów; tu i owdzie wyruszały się z zieleni brązowe mury z gliny niskich turkmeńskich chat oraz czarne ściany jurt (filcowych namiotów). Na ubogich w trawę pastwiskach pasły się wielbłądy, konie i osły. Przybyliśmy do Kala-Kaja, wsi Jomudów.

W przeciwstawieniu do innych ludów Turkiestanu, Turkmenki nie noszą na twarzy zasłon, wobec tego nie uciekają również, gdy do nich zbliża się obcy człowiek.

Dwaj bracia zaprowadzili mnie przede wszystkim do namiotu swego ojca, który niegdyś był potężnym chanem w Gök-Tepe i najmocniej oraz najwięcej opierał się Rosjanom podczas zdobywania Turkiestanu, za co generał Skobelew po całorocznym oblężeniu fortecy skazał go na wygnanie.

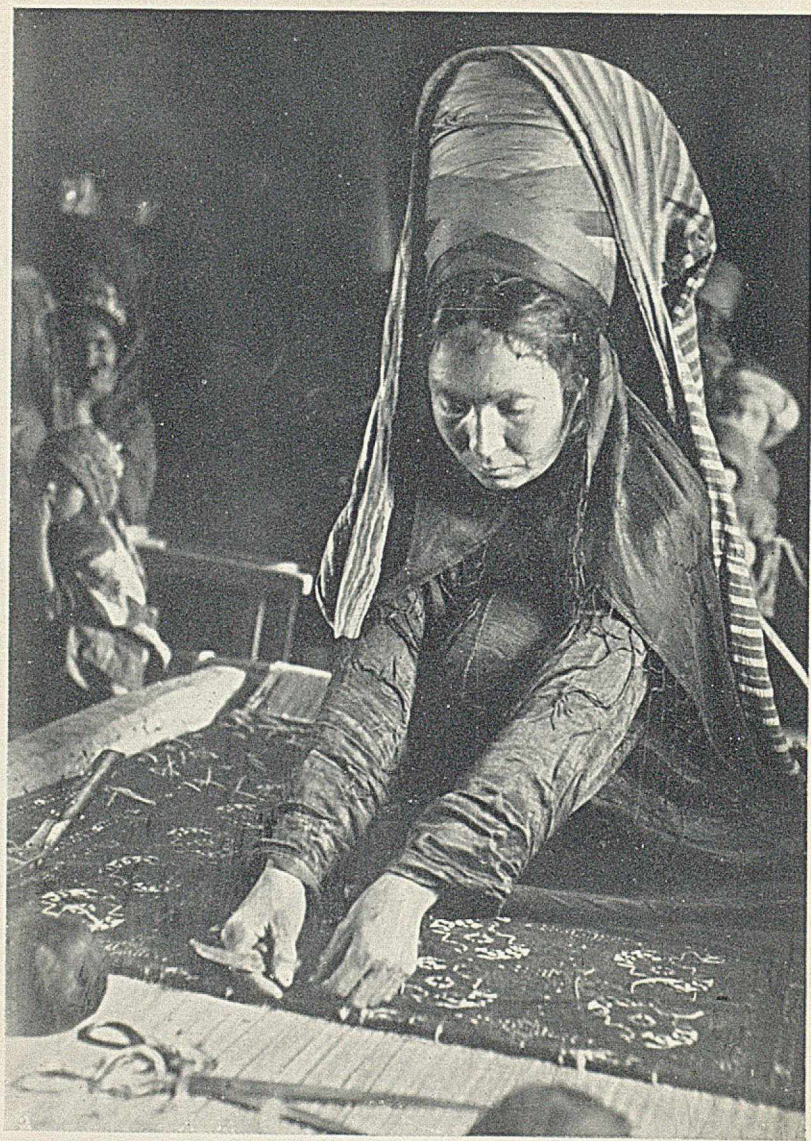
Wszyscy ci, którzy pozostali przy życiu, przywędrowali za swym chanem aż tutaj i stworzyli sobie nad małym dopływem Atreku nową ojczyznę.

Wiadomość o przybyciu braci oraz obcego „urusa“ (tak nazywają wszystkich Europejczyków) lotem błyskawicy rozniosła się po aule i gdym się zjawił przed jurtą Alim-Kula, siedział przed nią stary, mający dwa metry wysokości człowiek w malowniczym stroju Jomudów.

W białej wysokiej czapie futrzanej wydawał się jeszcze znacznie wyższy, niż był w rzeczywistości. Niesamo-



Alim-Kul, chan Jomudów.



Ala Nabat Chakin jest jedną z najlepszych w aule tkaczek dywanów.

witym, badawczym i pełnym życia wzrokiem wpatrywał się w obcego intruza. We wzroku tym była jakaś niepospolita moc, zrozumiałem też zaraz, że człowieka tego poddani jego słuchali bez wahania, nawet gdyby tysiącami wysyłał ich na śmierć. Przez kilka sekund patrzyły na mnie te nieubłagane oczy, jakby chciały czytać mi w sercu.

Tymczasem wokoło nas zebrało się ponad sto osób — mężczyzn, kobiet i dzieci.

Wystąpił Szir-Dil, skłonił się nisko przed swym ojcem i rzekł:

— Ojcze, oto sprowadzam ci naszego brata, o którym opowiadałem ci tak wiele, a który obu twym synom uratował życie!

Stary skinął głową, wstał, objął mnie oburącz i poklepał prawą ręką po ramieniu. Dzięki temu ruchowi stałem się oficjalnie gościem aułu i byłem bezpieczniejszy niż pod opieką pułku żołnierzy.

Turkmeńska gościnność jest bezprzykładna i bezgraniczna. Będący w największej nędzy Turkmen odda swemu gościowi ostatnią owcę, nawet jeżeli gość ten jest pogardzanym niewiernym. Odda gościowi nie tylko ostatni kawałek chleba, ale w razie potrzeby będzie go bronił z narażeniem życia nawet przed swymi własnymi krewnymi i swymi współplemieńcami. Prawo gościnności jest nienaruszalne. Również i obcy człowiek, który w domu dającego mu gościnę gospodarza coś ukradnie albo popełni morderstwo, będzie dopóty nietykalny, dopóki nie opuści domu lub aułu. Dopiero gdy złoczyńca zniknie z oczu, można go ścigać.

W przeciwieństwie do innych mieszkańców aułu Alim-Kul nie zbudował domu z trzciny i gliny, lecz stworzył sobie dwór składający się z wielu jurt. Chciał tak żyć



i umierać, jak się urodził i jak do dziś jeszcze mieszkają setki tysięcy jego współplemieńców.

Alim-Kul odprowadził mnie do namiotu gościnnego, gdzie najstarsza jego wnuczka podała mi *nan* (podpłomyki) i *czaj*, będący zieloną, indyjską herbatą, do której dodaje się trochę soli i tłuszczu baraniego.

Jest to zwyczaj właściwy tylko Turkmenom i Kirgizom, ponieważ Sartowie, Uzbegy i Bucharzy nigdy nie pokazują swoich kobiet obcemu człowiekowi.

Jak dalece i pod tym względem wywarł wpływ komunizm, miałem się o tym dowiedzieć wkrótce.

Przeznaczona dla mnie jurta była wspaniałym okazem w swoim rodzaju. Ziemię i ściany pokrywały przepiękne stare dywany turkmeńskie (niesłusznie nazywane przez Rosjan tekińskimi, w Europie zaś również niesłusznie znane pod nazwą bucharskich). Pomyślałem sobie o mym szefie i przyjacielu Kanadim, jakby mu wyłaziły na wierzch oczy, gdyby mógł zobaczyć te cudne dywany. Ponieważ noce były bardzo zimne, pośrodku stał piękny miedziany mangan, pełny drzewnych węgli, z których dym i czad mógł ulatniać się przez otwór w pułapie jurty. Umebłowanie to uzupełniały watowane kołdry w dużej ilości, okrągłe poduszki i tzw. *czilim* (fajka wodna) oraz dwa piękne miedziane dzbany.

Następnego dnia zaproszono mnie do jurty chana. O ile jurta gościnna była wspaniała, o tyle prosto urządzona była jurta Alima-Kula. Ziemię pokrywały grube dery filcowe, pod ścianami stało kilka zwykłych fajek oraz dwa tungany z miedzi (dzbany z wodą do mycia rąk); wokół wisiały zwykłe dywany, na nich zaś cały arsenał broni: karabiny, kindżały, maczugi, strzały i łuki, cybuchy, zakrzywione szable i pistolety oraz zupełnie nowoczesny wielki rewolwer systemu Colta.

Obiad gościnny wniesiono na wielkich tacach. Na moją

część upieczono tzw. *tiustuk* (tłuste kawałki z przednich części barana) i przed moim miejscem znalazła się cała góra tego smakowitego mięsa. Następnie podano wielkie pieczone na rożnie ryby, na zakończenie zaś był ulubiony *airan*, mieszanina kwaśnego mleka wielbłądziego, koziego i kobyłego.

Ponieważ nie znają tutaj łyżek i wszystko jada się za pomocą dziesięciu palców u rąk, pozostawiłem więc swoją łyżkę w cholewie buta, starając się pod tym względem upodobnić do mych gospodarzy, aby ich nie obrazić. Ostatnim daniem była niezliczona ilość filiżanek *czajszirinu* (słodzonej herbaty).

Następnego dnia obchodzono uroczyste moje odwiedziny u Turkmenów. Pomędzy aulem a rzeką Atrekiem zebrali się wszyscy młodzi mężczyźni aulu na swych wspańiałych koniach turkmeńskich. Starzy ludzie przyprowadzili mi konia i wyjechałem z nimi, ażeby być świadkiem tzw. *baiga*. Poprzedniego dnia już Szir-Dil powiedział mi o wyznaczeniu uroczystości i popisach konnych, tak że i ja zdążyłem jeszcze „ufundować“ nagrodę w sumie dziesięciu perskich tomanów.

Chan miał przed sobą na siodle świeżo zabitego barana, którego jakiś chłopiec powłókł 200 metrów w pustynię i tam zostawił. Na wezwanie chana jeźdźcy ruszyli z miejsca dzikim galopem i rzucili się na leżącego na piasku barana.

Cały sens *baiga* polega na tym, żeby jeździec podniósł z ziemi barana i zwrócił go chanowi. Zaledwie jednak jeden z nich schwycił barana na siodło, a już rzuciło się nań wielu jeźdźców, aby mu wyrwać zdobycz. Niebawem całą tę dziką gonitwę osłoniły tumany kurzu i zwarci w szalonym skłębieniu ludzie i konie padali w piasek. Padali i w mgnieniu oka zrywali się na nogi — zarówno lu-

dzie jak i zwierzęta. Bardziej malowniczej, cudownej i frapującej jazdy konnej nie widziałem nigdy.

Wreszcie barana porozrywano na drobne kawałki i gdy jakiś szczęśliwiec wyrwał się z tego kłębowiska i ruszył ku miejscu naszego postoj, aby złożyć chanowi u nóg swą zdobycz, znów za nim rzuciło się kilkunastu jeźdźców, aby mu jeszcze zdążyć odebrać ten kawałek barana. Musieliśmy też często uciekać, aby nas nie przewracano w gorączce walki.

Po godzinie tego widowiska chan polecił przerwać *baiga*. Ni mniej, ni więcej niż czterdziestu jeźdźców rycząc i śmiejąc się powiewało kawałkami krwawiącej baraniny.

Nastąpił teraz podział nagród. Ważono po kolei kawałki mięsa na wielkiej wadze, którą trzymał siwobrody starzec, siedzący na koniu, i rozdawano nagrody zależnie od wagi. W ręce szczęśliwych zdobywców przeszły konie, uprzęż, czapki futrzane, dywany oraz moje dziesięć tomanów.

Dziwne jednakże, że podczas tej szalonej jazdy, spadania z koni i przewracania się nikt z jeźdźców nie odniósł najmniejszej rany.

Na zakończenie wydano znów obfity obiad.

Wieczorem odwiedził mnie w mej jurcie chan wraz ze swymi dwoma synami. Prosiłem Alim-Kula, aby opowiedział mi coś z historii Turkmenów oraz z własnego życia.

Alim-Kul nazywał się początkowo Mohammed-Kul. Podczas walk o Gök-Tepe Jomudowie dowiedzieli się, że Alim-Kul, mężny chan z Kokandu, padł pod Taszkientem w walce z Rosjanami, wobec tego nazwali młodego jeszcze Mohammeda-Kula Alim-Kulem dla uczczenia pamięci bohatera Turkiestanu. W ten sposób ku przerażeniu Rosjan miał powstać z martwych najstraszniejszy ich wróg.

Turkmeni pochodzą z półwyspu Mangyszłak nad Mo-

rzem Kaspijskim i dzielą się dzisiaj na wiele plemion. Plemię Erzari zamieszkuje lewy brzeg Amu-Darii aż hen po Afganistan; Sakar — piaszczystą pustynię oraz jej oazy pomiędzy Merwem i Andkui. Plemię Sarik mieszka w okolicach Pende i Kuszki na granicy afganistańskiej; Salorowie — w górnym biegu Murgabu, Teke zaludniają góry Kuren-Dag oraz oazę Merw, Jomudowie przemierzają pustynie leżące na wschodnim brzegu Morza Kaspijskiego aż hen po chanaat Chiwy, gdy Czudorowie częściowo pozostają w Mangyszłaku, częściowo zaś osiedlili się w północnej Chiwie.

Ogólna liczba Turkmenów miała w owym czasie sięgać miliona dusz.

Niezłomne pragnienie wolności pcha Turkmenów coraz bardziej na tereny, które Rosjanie mogą kontrolować tylko dorywczo i niedokładnie. Stanu tego nie zmienił również fakt, że bolszewicy ogłosili zajmowane przez Turkmenów tereny jako autonomiczną republikę, należącą do Związku Sowieckiego. Najwyższym ich prawem jest *deb*, czyli obyczaj i tradycja. Prawa tego nie zmienili ani na jotę i to sprawia, że Turkmeni żyją dzisiaj jeszcze tak samo jak przed tysiącem lat.

Jeżeli kto chce skasować jakieś ich prawo lub zwyczaj, albo też gdy Rosjanie próbują poddać ich opiece i nadzorowi państwa, Turkmeni po prostu zrywają swe namioty i wędrują na inne miejsce w niezmierzonej pustyni Kara-Kum, gdzie dotychczas przedostało się niewiele Europejczyków.

Są oni wyznania sunnicko-mahometańskiego, wskutek tego niezbyt ściśle przestrzegają przepisów wiary i dosyć liberalnie tłumaczą sobie Koran. Kobieta u Turkmenów nie cieszy się żadnymi względami. Jest ona po prostu niewolnicą, której obowiązkiem jest uprawiać pole i zajmować się sprawami domowymi. Mężczyźni polują, urzą-

dzają popisy jeździeckie lub napady i w ogóle próżnują bez żadnych ograniczeń.

Prawdziwie osiadłych Turkmenów jest niewiele. Są oni koczownikami, którzy tylko na zimę ściągają do stałych miejsc zamieszkania. Najbardziej osiadli są Jomudowie i Tekińcy, których żony wyrabiają najpiękniejsze i najbarwniejsze dywany na całym Wschodzie. Ale Jomudowie są jednocześnie najbiedniejszymi Turkmenami. Właśnie z powodu tej nędzy rozwinęła się w nich potrzeba i chęć rabunku, wobec czego Jomudów i Tekińców dziś jeszcze obawiają się wszędzie. Fakt ten tłumaczy ich zamiłowanie do wspaniałych koni, dzięki którym napadają z błyskawiczną szybkością na karawany oraz osady.

Oprócz gościnności dla Turkmena najważniejszą rzeczą jest koń. Sam może chodzić w łachmanach, ale koń jego musi być okryty kosztowną derą. Uprząż i siodło lśnią od srebrnych upiększeń. Ukochanego konia umieszcza się przeważnie w tej jurcie, w której mieszka rodzina.

Alim-Kul opowiadał bez ogródek o wyprawach rabunkowych, które organizował i przeważnie brał w nich udział. Turkmenom podczas takich napadów chodziło nie tylko o bydło tudzież inne dobro napadniętych, ale głównie o porywanie ludzi. Jeńcy, za których nie zapłacono im okupu, musieli pracować całe swe życie jako niewolnicy.

Podczas tych napaści Turkmeni oszczędzali tylko sunnitów i żydów, ponieważ ci drudzy uważani są za nieczystych, z pierwszych zaś, jako ze swych współwyznawców, ze względów religijnych nie chcieli robić niewolników.

Alim-Kul wyraźnie zaznaczył, że według jego oceny w czasie swego panowania w Gök-Tepe ograbiał i sprzedał jako niewolników około 70.000 Persów. I nie widział w tym nic zdrożnego.

W roku 1880 zaczęły się walki z napierającą armią

rosyjską. W cztery lata potem rosyjski generał Skobelew rozpoczął oblężenie Gök-Tepe, fortecy Alim-Kula. Ni mniej, ni więcej niż 26.000 uzbrojonych Rosjan stanęło naprzeciwko 8.000 Jomudów i Tekińców, znajdujących się pod dowództwem mego gospodarza. Rosjanie posiadali 36 armat, z których ostrzeliwano prymitywne mury i wieże.

Z niewiarogodną po prostu odwagą i bohaterstwem Turkmeni urządzili wypad, wyrznęli mnóstwo Rosjan, zdobyli dwie armaty i przyprowadzili je wraz z kilkoma jeńcami do fortecy. Tubylcy nie umieli jednakże dać sobie rady z działami i usiłowali skłonić jednego z jeńców rosyjskich do nabijania ich i strzelania.

Alim-Kul opowiadał z uznaniem o dzielności jeńca rosyjskiego, którego Turkmeni chcieli zmusić do użycia zdobytych dział przeciwko rodakom. Nawet gdy mu po kolei odrąbywano wszystkie palce u rąk i nóg, nie przestał wzbraniać się. Wreszcie zaczęto za życia drzeć z niego pasy, aż umarł w potwornych męczarniach.

Dwa tygodnie spędziłem w aule jako gość Alim-Kula i poznałem Turkmenów dokładniej niż niejednen Rosjanin w ciągu całego swego życia. Niechętnie też rozstawałem się z tą samotną wioską w pustyni i jej wspaniałymi mieszkańcami.

Postanowiłem udać się do Aidinu (nie mylić z Aidinem w Azji Mniejszej) i dalej jechać koleją do Kizil-Arwatu, żeby tam spotkać się z Steinschneidrem.

Gdym wyjeżdżał z Szir-Dilem i Choresem, cała ludność aulu odprowadzała nas hen w pustynię. Zamierzaliśmy jechać na naszych rączych wielbłądach przez Giamdżik i Anna-Kurban do aulu Arzan-Kaja, skąd Szir-Dil miał zawrócić, gdy Chores chciał mi towarzyszyć aż do Kizil-Arwatu.

Szóstego dnia drogi przez pustynię dotarliśmy do rzeki Uzboj, która w swym biegu do Morza Kaspijskiego

kilkakrotnie przepada bez śladu w piasku pustyni, ażeby potem znów wynurzyć się w odległości dziesięciu do piętnastu kilometrów.

Jechaliśmy teraz wzdłuż Uzboju i potem skręciliśmy na wschód.

Na ósmy dzień po wyjeździe z aułu natrafiliśmy na tor drogi żelaznej i w dwie godziny potem oczom naszym ukazały się domy Aidinu.

Tutaj Szir-Dil pożegnał się i prosił mnie, ażebym obowiązkowo odwiedził go w powrotnej drodze.

Miałem go jednakże nigdy już nie zobaczyć.

DROGA DO ZAMKNIĘTEGO KRAJU

Po przejechaniu 154 kilometrów drogą żelazną stanęliśmy w Kizil-Arwacie. Zatrzymałem się na bazarze w jakiejś *czaj-chana* (herbaciarni), Chores zaś poszedł odnaleźć Steinschneidra. Wkrótce zjawili się obaj.

Od roku 1919, a więc przez pięć lat nie widziałem mego przyjaciela, który kompletnie aklimatyzował się i stał się niemal Rosjaninem, tak że go zaledwie poznał.

W języku niemieckim przedstawiłem mu swój plan. W Aschabadzie lub Kaganie chciałem zgłosić się z papierami do Ziemgordiełu (Ziemskij i gornyj oddiel — urząd do spraw rolnych i górniczych) i podać się tam za geologa mającego zamiar szukać w górach Buchary złóż rudy i węgla. Jeżeli mi się uda przeprowadzić ten plan, będę mógł spokojnie jeździć po całym kraju nie zwracając na siebie uwagi i nie będę zatrzymany. Gdyby jednakże odpowiednie urzędy wbrew moim przewidywaniom nie zgodziły się na tę propozycję, muszę wymyślić sobie inny fortel. Zdawałem sobie jednak z tego sprawę, że będę mógł jechać do Buchary dopiero wtedy, gdy zostaną uprawniony do tego przez właściwe władze.

Steinschneider uważał, że plan mój jest doskonały, i towarzyszyłby mi z największą przyjemnością. Powstrzymywał go tylko ten wzgląd, że wtedy musiałby jechać bez „bumag“ (dokumentów), ponieważ dwaj Steinschneidrowie zwracaliby na siebie zbyt wiele uwagi. Umówiłem się jeszcze ze Steinschneidrem, że gdyby zaszło coś zgoła nieprzewidzianego, będzie twierdził, iż zgubił swe dokumenty.

W żadnym bowiem razie nie może się przyznać, że mnie zna. Obiecałem w powrotnej drodze znów zawadzić o Kizil-Arwat i oddać mu przy tej sposobności pożyczone mi papiery.

Ustalwszy to wszystko pożegnaliśmy się.

Tymczasem Chores udał się wymienić u swych rodaków moje perskie tomany na czerwieńce, co należało zrobić bardzo ostrożnie, ponieważ były do tego uprawnione tylko filie Banku Państwowego oraz podległe mu kooperatywy. Oczywiście należało się tego spodziewać, że zwłaszcza tutaj w Azji Centralnej urzędnicy zadawaliby cudzoziemcowi mocno niedyskretne pytania co do pochodzenia zagranicznych pieniędzy, czego ze zrozumiałych względów chciałem uniknąć.

W kilka godzin potem Chores wrócił i oddał mi paczkę zatłuszczonych banknotów rublowych, ponieważ złotych czerwieńców nie można było dostać. Nadto z bazaru przyniósł mi pewną wiadomość, która była dla mnie bardzo miłą niespodzianką.

Zdecydował się towarzyszyć mi, aby odwiedzić swego szwagra w Asred-Baszirze.

Chętnie zgodziłem się na tę propozycję.

Wieczorem kupiłem dwa bilety kolejowe i wsiadłem z Choresem do pociągu, który udawał się do Czardżuju, ówczesnej stolicy Turkiestanu. Zdziwiła mnie niewiarygodnie niska cena rosyjskiej komunikacji kolejowej. Za przejazd do Czardżuju (nieco dalej niż z Wiednia do Brengenu) zapłaciłem w pośpiesznym pociągu za bilet 31 rubli, czyli około czterdziestu złotych, łącznie z miejscem do spania i gorącą wodą na herbatę. Pewny dokumentów Steinschneidra, postanowiłem przerwać podróż w Aschabadzie, który po walkach w roku 1920 przechrzczony został na Połtoradsk, potem zaś znów odzyskał pierwotną nazwę.

W tej oazie wzięły swój początek walki, które miały przez cały rok pustoszyć południowy Turkiestan.

Na pomoc powstańcom pośpieszył wtedy angielski generał Mallison, zdążając z Persji z regularną armią angielską oraz kilkoma pułkami indyjskimi. Jednakże Mallison skierował swą armię na zachód, przepłynął Morze Kaspijskie i zajął źródła ropy naftowej w Baku, zaopatrując tylko powstańców w żywność, amunicję i broń.

Rząd taszkiński ludząc się, że chodzi tutaj jedynie o lokalny bunt pewnych bogatych chanów turkmeńskich, polecił kilku sowieckim komisarzom a w ich gronie i groźnemu Połtoradskowi udać się do Aschabadu, uwięzić chanów i całą tę sprawę zlikwidować w ciągu kilku dni.

Na peron dworca przyszła grupka nie uzbrojonych delegatów od różnych plemion turkmeńskich oraz osiadłych tam Rosjan, ażeby pertraktować z posłami. Połtoradsk oświadczył, że z buntownikami i kontrrewolucjonistami nie pertraktuje. Kiedy Aschabadczycy odpowiedzieli na to, że nie pozwolą komisarzom wejść do miasta, Połtoradsk rzucił w nie uzbrojony tłum granat ręczny, od którego padło szesnaście osób. W pół godziny potem pociąg został otoczony i komisarze wraz ze swą wojskową eskortą zostali wyrznięci w pień.

Ten nieobliczalny krok Połtoradska stał się powodem walk, w których straciło życie 64.000 ludzi. Gdy Turkmenistan uzyskał autonomię, najpierwszym zarządzeniem nowego rządu było usunięcie zniechęcającej nazwy i przemianowanie miasta znów na Aschabad, który Rosjanie nazwali imieniem komisarza Połtoradska.

Dzisiaj Aschabad jest drugim co do wielkości miastem Turkmenistanu z 80.000 ludności i słynie ze swych wspinających turkmeńskich dywanów tudzież słodkich arbułów. Centralny punkt oazy stanowi otoczona wysokimi murami z gliny i panująca ponad miastem forteca oraz

leżący w gruzach, niegdyś jednak posiadający przepiękne mozaiki, pałac chana Turkmenów Szir-Alego.

Po dwudniowym pobycie w hotelu „Swierdłow“, który mógłby śmiało uchodzić za dependance hotelu „Paris“ w Enzeli, gdyż, o ile to było możliwe, był jeszcze brudniejszy i jeszcze bardziej zrujnowany niż tamten, wyruszyliśmy dalej na wschód.

Większość *kiszlaków* (wiosek) w oazach nie opodal drogi żelaznej składała się już tylko z rozwalonych kup gliny, ponieważ Turkmeni do ostatniego człowieka walczyli tutaj we własnej obronie z czerwoną armią.

Obok Lutfabadu droga żelazna przebiega o kilka kilometrów od granicy perskiej, którą tworzą stromo spadające ściany skalne odnóg górskich Ala-Dagu, Kopet-Daku i Koh-i-Mirabi. Co pewien czas na tych górach widać zarówno flagi z sowiecką gwiazdą jak i z perskimi lwami.

Poczynając od Duszaku pociąg przebiega 537 kilometrów przez Kara-Kum (Pustynię Czarnego Piasku), której nazwa jest określeniem niesłusznym, gdyż kolor pustynnego piasku waha się pomiędzy jasnożółtym a szarobrązowym.

Na tej długiej przestrzeni znajdują się tylko dwie oazy.

Po pięciogodzinnej jeździe pociąg zatrzymuje się w oazie Merw, która podobnie jak poprzednia oaza Tedżen zaopatrzona jest w wodę przez liczne odnogi rzeczne. Murgab płynie z Bend-i-Turkiestani w Afganistanie, łączy się w Pende z rzeczką Kuską i ginie podobnie jak Tedżen (Heri-Rud) za Merwą w Kara-Kumie.

W roku 1916 rozpocząłem ucieczkę moją z Turkiestanu, a droga jej miała prowadzić częściowo przez północny Afganistan, częściowo przez całą Persję. Ze wzruszeniem patrzyłem znów na ten dworzec i myślałem sobie o za-

sadniczej różnicy, jaka istniała pomiędzy „wczoraj“ a „dzisiaj“.

Wtedy pragnąłem potajemnie opuścić ten kraj, dzisiaj potajemnie do niego się dostałem.

Kiedym tak stał pogrążony w myślach, nagle wyrósł przede mną turkmeński żandarm i zażądał okazania mu dowodu osobistego. Po raz pierwszy od przekroczenia na brzegu rzeki Atreku ziemi turkiestańskiej zażądano ode mnie wylegitymowania się. I oto miało się teraz okazać, czy dokumenty mego przyjaciela są bez zarzutu. Z lekkim biciem serca wyciągnąłem z kieszeni papiery i podałem je żandarmowi. Po dokładnym zbadaniu oddał mi je z podziękowaniem i kamień, który spadł mi z serca, był, że się wyrażę obrazowo, na pewno nie mniejszy niż świecący czerwono spoza afganistańskiej granicy masyw górski — Parapamis.

Oaza otoczona jest ze wszech stron bezwodną pustynią Kara-Kum i stanowiła przez wieki fortecę nie do zdobycia. Chociaż Turkmeni na skutek swych rabunkowych napadów zasłużyli sobie na zemstę Persów, Afganów, Bucharów i Chiwian, bardzo rzadko udawało się wojskom nieprzyjaciela dotrzeć do Merwu. Piasek pustyni zatrzymywał ich skuteczniej niż działa forteczne.

Po raz pierwszy doszło do starcia Rosjan z Turkmenami na wschodnim wybrzeżu Morza Kaspijskiego. Raz po raz bici Rosjanie musieli się cofać i walka o Merw trwała pełne dwadzieścia pięć lat, aż wreszcie w roku 1884 rozstrzygnięta została na korzyść Rosji.

Podczas mego pobytu w Merwie chciałem wyjechać kawalek w pustynię Kara-Kum i w tym celu przyłączyłem się do pewnej karawany, która udawała się do Chiwy. Zamierzałem dojechać z nimi do źródła Kojun-Kuju i tam zaczekać na karawanę, która jechała w przeciwnym kierunku, aby w ten sposób wrócić do Merwu.

Wczesnym rankiem wyjechaliśmy z Merwu. Powoli, zrównoważonym ruchem wielbłądy stawiały kopyta na grząskim trzęsawisku rozlewu rzeki, która tutaj przed swym zniknięciem na wiosnę i w jesieni zalewa okolicę i czyni ją w ten sposób jedną z najbardziej malarycznych miejscowości Turkiestanu. W rozrzedzonym powietrzu ranka dzwoniły jednostajnie dzwoneczki wielbłądów, stwarzając tę cudowną muzykę, bez której nie można sobie wyobrazić karawany.

Po przejechaniu moczaru zaczęły się piaszczyste wydmy, które początkowo tu i ówdzie przerywała jeszcze żółtozielona trawa stepowa, w miarę jednak oddalania się od wody pokrywała piasek coraz skąpiej, aż wreszcie zniknęła kompletnie.

Piasek błyszczał i migotał w blasku słonecznym, jakby przemieszany był z cieniutkimi płytkami miki. W gruncie rzeczy są to jednak kryształki soli, których częstość bywa tak wiele, że krajobraz przypomina perskie słone jeziora.

Jechaliśmy jedną z najstarszych dróg karawanowych Azji, którą dążyły już niepowstrzymanie do Indii idące z Chiwy wojska Aleksandra.

Na pierwszy wypoczynek nocny zatrzymaliśmy się w szczerzej pustyni. Z wańtuchów z towarami, które dźwigały wielbłądy, powstało w jednej chwili kilka ścian dla osłony przed wiatrem. Przywiezionym drzewem rozpalono ze wszystkich stron ogniska i wkrótce zaczęła krążyć pomiędzy nami *piala* (filiżanka z herbatą) z zieloną indyjską herbatą, a z ust do ust przechodził *czilim*.

Przewodnik karawany, który już od dwudziestu ośmiu lat letnią i zimową porą przemierzał pustynię, opowiadał o swych przygodach i gdy ciągle jeszcze obrazowo przedstawiał swe walki z rozbójnikami pustyni, jedno po drugim przygasaly ogniska. Zawinęliśmy się w kołdry

i wkrótce słyhać było już tylko parskanie kilku niespokojnych wielbłądów.

Długo w noc nie mogłem zasnąć i patrzyłem na bezchmurne niebo, rozświetlone blaskiem niezliczonych gwiazd. Od połowy kwietnia aż do końca października niebo w Turkiestanie jest czyste i jasne. Chmur a zwłaszcza deszczu w tym półroczu nie bywa, wobec czego śmiało można na kilka miesięcy przedtem wyznaczyć sobie termin jakiejś wyprawy bez obawy, że pogoda zawiedzie i pokrzyżuje nam plany.

Starzy, doświadczeni uczestnicy karawan, z jakimi właśnie jechałem tym razem, potrafią po mistrzowsku rozjuczać wieczorem wielbłądy i rano z tą samą czarodziejską szybkością znów przygotować je do drogi. Kiedy nasz przewodnik karawany Julij Chalabajew obudził mnie o wschodzie słońca, zwierzęta były już osiodłane i objuczone. Szybko wypilem herbatę, przeżulem trochę *kiszmi-szu* (suszonych winogron), który musiał zastąpić cukier, i zwinąłem *kaszmę* (filcową kołdrę). Następnie usadowiłem się w siodle wielbłąda-wierzchowca i wkrótce chód jego ukołysał mnie znów do snu, z którego budziłem się tylko wtedy, gdy groził mi upadek.

Z nastaniem ciemności dotarliśmy do źródła Szejk-Mansur, gdzie po raz drugi rozłożyliśmy się obozem w pustyni Kara-Kum. Wczesnym rankiem obudził mnie tupot licznej stada wielbłądów; zerwałem się przerażony myśląc, że karawana nasza już wyrusza i moi ludzie o mnie zapomnieli. W rzeczywistości jednak w tej chwili właśnie przyjechała do źródła wędrująca z Gurli-Tugaj do Aschabadu karawana Kirgizów, która była już w drodze od trzydziestu siedmiu godzin i dotkliwie cierpiała z powodu braku wody. Wyczerpane zwierzęta niecierpliwie tłoczyły się wokół źródła.

Kirgizi postanowili wypocząć przy źródle aż do na-

stępnego ranka i właśnie zdejmowali z wielbłądów i koni ciężkie juki oraz siodła. Tuż obok mnie jeden z jeźdźców zdjął swemu konikowi niekształtne, drewniane siodło z grzbietu, a kiedy następnie zdjął i filcową derkę, prze-raziły mnie potworne, krwawe rany, jakie ukazały się pod tą derką. Chciałem już zrobić wymówkę Kirgizowi za to, że tak siodła fatalnie swego konia, gdym naraz zobaczył, że domniemane rany były kawałkami surowego mięsa, które człowiek ten dla ochrony przed uwieraniem w kilku miejscach podłożył pod siodło. W odpowiedzi na pytanie wyjaśniono mi, że Kirgizi i Tatarzy w ten sposób zale-czają odparzenia i rany od ucisku już w chwili ich po-wstania. Ponieważ człowiek ten nie mógł zdejmować sio-dła ze swego konia przez dłuższy czas, zastrzelił po dro-dze gazelę i nałożył mu na grzbiet świeże mięso.

Zwyczaj ten może wyjaśnić zapewne powtarzaną w na-szych podręcznikach szkolnych legendę, że przybyli z Azji Hunowie-najeźdźcy zmiękcza-li sobie pod siodłem mięso do jedzenia.

PRZEZ PUSTYNIĘ KARA-KUM DO SAMARKANDY

Dalsza część drogi aż do źródła Kojun-Kuju była niezwykle uciążliwa, ponieważ tę część pustyni tworzą wydmy sięgające nieraz powyżej trzydziestu metrów wysokości i wspinanie się na te piaszczyste wzgórza jest dla wielbłądów wysoce męczące. Biedne zwierzęta grzęzną w sypkim i miałkim piasku aż po kolana swych wysokich nóg. Wobec tego zsiadłem, aby zmniejszyć ciężar mego wielbłąda i w ten sposób ułatwić mu posuwanie się na przód. Wkrótce jednak zaniechałem wleczenia się po rozżarzonym piasku, w przeciwnym bowiem razie niechybnie pozostałbym znacznie w tyle za karawaną, co równie byłoby śmierci z pragnienia, gdyby nie zauważono mego zniknięcia.

Zaledwie znów ulokowałem się w siodle, spostrzegłem w pewnej odległości przed nami podnoszący się obłok kurzu i piasku, który powoli zbliżał się. Niebawem już mogłem rozróżnić szczegóły tego nowego zjawiska. W karawanie było około stu wielbłądów, z których co drugi miał na sobie jeźdźca.

Wielbłądy bez juków w pustyni były czymś tak niezwykłym, że spytałem jadącego przede mną przewodnika karawany, czy nie są to tak często opisywani rabusie pustyni, i już w cichości ducha cieszyłem się na nieprzeciętną przygodę. Atoli widziani przeze mnie jeźdźcy okazali się akurat przeciwieństwem tych, kogo sobie wyobrażałem w swej naiwności. Była to mianowicie policja pustyni na wielbłądach, która niebawem zatrzymała swe zwierzęta przed nami.

Gdy wypytywali się naszego przewodnika karawany, skąd i dokąd jedziemy, i sprawdzali jego dokumenty, miałem okazję najdokładniejszego obejrzenia tych jeźdźców. Byli to bez wyjątku młodzi, świetnie zbudowani mężczyźni o sprytnych i dziarskich rysach twarzy. Ubrani byli w lekkie jasnobrązowe khaki oraz czapki zuchwale zsunięte z czoła, z wielkimi gwiazdami sowieckimi.

Wszyscy nie wyłączając komendanta pochodzili z plemienia Sarikturkmenów, słynącego w Turkiestanie ze swej urody. Uzbrojenie ich było widocznie normalne i składało się z mauzerów oraz tego samego typu ciężkich pistoletów obok granatów ręcznych, które każdy z policjantów miał za pasem. Kilka jucznych wielbłądów dźwigało lekkie karabiny maszynowe, worki skórzane z wodą oraz namioty wraz z całym ich wyekwipowaniem.

Wdałem się z tymi ludźmi w rozmowę i gdym im przyrzekł, że przyślę do miejsca ich postoju pewną ilość zdjęć, które zrobiłem, staliśmy się przyjaciółmi. Zaprosili mnie też, abym udał się z nimi w drogę. Mieli właśnie jechać do źródła Jantakły a stamtąd do Kabakły w dolnym biegu Amu-Darii. Miałem czasu dosyć a sposobność tak bezpiecznej jazdy zapewne nieprędko mogła mi się nadarzyć, toteż chętnie skorzystałem z ich zaproszenia. Jedyłą trudność zdawały się stanowić tylko wierzchowce dla mnie i Choresa.

Ale Sarik-policjanci i tutaj znaleźli wyjście, wyrażając gotowość oddania nam do rozporządzenia dwóch wielbłądów ze swej rezerwy.

Zapłaciłem przeto przewodnikowi karawany za dwa wierzchowce, na których dotąd jechaliśmy, małym bagażem objuczono nowego wielbłąda i po wielu, wielu serdecznych „Insz Allach“ pożegnałem się z moimi dotychczasowymi towarzyszami podróży, którzy też wkrótce zniknęli w oddali.

Wierzchowce policji pustynnej były to świetnie dobrane zwierzęta i nigdy ani przedtem, ani potem nie jechałem na tak spokojnym zwierzęciu o pewnym kroku, jak to, które mi użyczono.

W ciągu pierwszych kilkudziesięciu minut drogi czegoś mi dziwnie brakowało, lecz nie mogłem zorientować się, o co mi chodzi. Po prostu coś mnie niepokoiło, a nie wiedziałem co. Dopiero potem spostrzegłem, że wielbłądy nie mają dzwoneczków. Melodyjne brzęczenie dzwoneczków tak mi się wraziło już w uszy, że brak ich sprawiał mi początkowo pewną przykrość. Policja pustynna jeździ bez dzwoneczków, aby nie zdradzić swej obecności na długo przedtem, zanim ją zobaczą. Dzięki wiatrowi bowiem i rozrzedzeniu powietrza dźwięk dzwoneczków słychać w pustyni bardzo daleko.

Jedna tylko osoba niezadowolona była ze zmiany mej podróży. Był to Chores, który głęboko pogardzał Sarikami jako zwolennikami i narzędziami w ręku Sowietów i Rosjan. Toteż gdyśmy mogli porozmawiać ze sobą tak, że nikt nas nie podsłuchiwał, robił mi mocne wyrzuty i dopiero zapewnienie z mej strony, że najpóźniej po sześciu dniach odłączymy się od Sarików, uspokoiło go zupełnie i wróciło mu dobry humor.

Sachiejajew, dowódca oddziału, zapewniał mnie, że, o ile wie, jestem jedynym Europejczykiem, który dotknął kiedykolwiek stopą tej części pustyni. Przestrzeń leżącą pomiędzy Chiwą a Merwem z jednej strony i Krasnowodskiem z drugiej strony przejeżdżali już często różni Europejczycy, ale nikt jeszcze z nich nie był we wschodniej części pustyni Kara-Kum, w której właśnie w owym czasie znajdowaliśmy się.

Piasek, ciągle piasek, jak daleko sięgnąć okiem.

Dopiero gdyśmy w dosyć szybkim tempie zaczęli zbliżać się do źródła Kojun-Kuju, jęły wynurzać się poje-

dyncze krzewy i najniespodziewaniej przebiegło tuż przed nami stadko gazel. Zanim zdążyłem odbezpieczyć strzelbę, rozległy się dwa strzały i padły dwie gazy, z których mięsa mieliśmy wspaniałą kolację.

Im bardziej zbliżaliśmy się do źródła, tym gęściejsza stawała się żółta trawa stepowa, wśród której wznosiły się liczne piaszczyste pagórki, ciągnące się hen ku horyzontowi.

Następnego dnia porzuciliśmy dotychczasową drogę karawanową i pojechaliśmy na północny wschód. Pustynia tutaj była jeszcze bardziej niegościnna. Piasek był miałki i tak głęboki, że biedne zwierzęta ciągle zapadały się i posuwaliśmy się na przód bardzo wolno. Panował morderczy żar, a ponieważ woda, którą mieliśmy ze sobą, była dosłownie gorąca, a poza tym mocno słona, nie mogłem zaspokoić męczącego mnie strasznie pragnienia. Podziwiałem Sarików i Choresa, że nie pili nigdy wody w ciągu dnia.

Pewien Sarik wobec narzekań moich dał mi jeden z krzemieni, których miał wiele w kieszeni. Dopiero gdy poczuł ten kamyk w ustach, uczucie pragnienia ustąpiło i stan mój stał się bardziej znośny. Jak mi opowiadali potem moi nowi towarzysze podróży, w dolnej części Amu znajdowało się kilka takich miejsc, gdzie były złoża płaskich krzemieni, które można doskonale trzymać w ustach. Żadna karawana, która przejeżdża obok tych miejsc Amu-Darii, nie omieszką zabrać ze sobą tych krzemieni zarówno po to, aby uzupełnić własne zapasy, jak i po to, aby obdarować nimi w pustyni te karawany, których droga nie prowadzi do Amu, a które bardzo cieszą się z takich podarunków.

Pod wieczór zerwał się lekki wiatr, unoszący tumany piaszczystego kurzu. Jazda stała się męczarnią, ponieważ w bardzo krótkim czasie mieliśmy formalnie zalepione

oczy, usta i nos. Wiatr wiał coraz mocniej, a niesione przez niego ziarna piasku były coraz większe i dokuczliwsze. Wpadliśmy w prawdziwą burzę piaskową, jaką przeżyłem już raz przed dziesięciu laty w Ucz-Adzi.

Przy tej pogodzie nie było najmniejszej nadziei dotarcia jeszcze tego dnia do źródła Jantakły, wobec tego żołnierze postanowili wcześniej rozłożyć się obozem na noc. Z wielkim pośpiechem zdjęto siodła z wielbłądów i ustawiono w kształcie ściany osłaniającej nas przed wiatrem.

Ponieważ podczas takiej burzy trudno w ogóle myśleć o gotowaniu, zawinęliśmy się przeto w filcowe kołdry i przytuliliśmy się mocno do leżących wielbłądów, żeby znaleźć tam osłonę.

Gdym się obudził, wicher wiał jeszcze, a kołdra ciążyła mi potwornie. Spróbowałem się z niej uwolnić i posunąłem się nieco w bok, wskutek czego kołdra rozwarła się. Gdym z niej się wygrzebał, spostrzegłem, że leżący tuż obok mnie jeźdźcy pokryci byli warstwą piasku grubości jakichś dziesięciu centymetrów. Teraz dopiero zrozumiałem, jaki to ciężar dźwigałem na sobie. Z pośpiechem wsunąłem się znów pod kołdrę i przytuliłem się do swego wielbłąda.

Dopiero około godziny dziesiątej rano burza ucichła. Powoli jeden po drugim otrząsnęliśmy ze siebie piasek i wkrótce buchnęło kilka ognisk. Ustawiono wielkie kotły do herbaty i z rozkoszą popijaliśmy gorący napój. Mimo usilnych prób oczyszczenia się udało mi się uwolnić zupełnie ciało od piasku dopiero w osiem dni potem, gdym się wykąpał w Amu.

Nie mogłem zrozumieć, co robią Kirgizi podczas podobnej burzy ze swymi osłami i końmi. Wielbłądy potrafią tak po mistrzowsku położyć się z kierunkiem wiatru, że mają głowę możliwie osłoniętą; tego jednak nie po-

trafią zrobić ani osły, ani konie, które po prostu lękają się zasypującego ich piasku.

Spytałem Sachiejajewa, ale nie mógł mi tego wyjaśnić, ponieważ nigdy dotychczas nie widział kirgiskiej karawany podczas burzy piaskowej.

Wreszcie po południu dotarliśmy do źródła, którego woda jednak tak była zasypana piaskiem i tak mocno słona, że mogliśmy w nim tylko napoić wielbłądy, sami jednak musieliśmy się wyrzec rozkoszy napicia się świeżej wody. Woda, którą mieliśmy ze sobą w workach z owczej skóry, miała już kilka dni i podczas całej podróży wystawiona była na działanie prażącego mocno słońca; nadto zaś czuć ją było źle wygarbowaną owczą skórą, była słona i wskutek tego wszystkiego zbierało się po prostu na wymioty, gdy się trochę jej wzięło w usta.

Oto były powody, dla których Sachiejajew zdecydował się nie jechać do początkowego celu swej podróży, Kabakły, położonego w północno-wschodniej części pustyni Kara-Kum nad Amu, obawiał się bowiem, że burza piaskowa uczyniła niezdawnymi do użytku wszystkie źródła po drodze. Kazał więc natychmiast jechać we wschodnim kierunku do Ildżiku, żeby wcześniej dostać się do wody.

Chociaż zarówno wielbłądy jak i my potrzebowaliśmy dłuższego wypoczynku, natychmiast ruszono w dalszą drogę. W nocy temperatura była jeszcze jako tako do zniesienia, co ze swej strony łagodziło nieco uczucie pragnienia.

Zmęczony i wyczerpany, przykucnąłem na swym wielbłądzie i co pewien czas zasypiałem podczas jazdy na kilka minut.

Sachiejajew i wtedy nawet nie pozwolił się zatrzymać, kiedy rozpalona do czerwoności kula słoneczna ukazała się ponad horyzontem pustyni.

Przejechaliśmy całą noc i tylko raz odpoczywaliśmy w ciągu godziny, zużywając resztę wody na herbatę. Gdybyśmy do zachodu słońca nie dojechali do Amu, musieliśmy zapewne wszyscy umrzeć.

Był to najstraszniejszy dzień, jaki w ogóle przeżyłem w swym życiu. Podniebienie i język miałem już tak wyschnięte i pozbawione śliny, że nawet stale trzymany w ustach krzemień nie mógł już wydobyć wilgoci.

Po kilku godzinach tej jazdy zrobiło mi się ciemno w oczach, zacząłem nagle omdlewać i zataczać się w siodle, chciałem się o coś zatrzymać i spadłem na ziemię. Od tej chwili już nic nie pamiętam.

Kiedym odzyskał wreszcie przytomność, byłem na wskroś przemoczony i usłyszałem głosy wielu ludzi. Rozwarłem oczy, wzrok mój padł na Choresa oraz licznie uwiłajających się wokoło Kirgizów.

O kilka metrów od mego trzcinowego namiotu szeroko rozlanym prądem płynęła żółtogliniasta woda w kierunku północnym. Leżałem na brzegu Amu-Darii, do którego dowieźli mnie Saricy. Sami od dawna już byli w drodze do Kabakły, oddalonej o kilka dni drogi w dół rzeki.

Cztery dni pozostawałem w trzcinowych namiotach Kirgizów, zdobyłem mnóstwo wszy oraz malarię, która wybuchła dopiero w kilka dni potem. Kanadi wyraziłby się teraz pochlebnie o moim postępowaniu, piłem już bowiem wodę z rzeki bez przegotowania i ciągle było mi mało tej gliniastej zupy, tak mi smakowała nie zawierająca w sobie soli woda rzeczna.

W czasie mej choroby Kirgizi polecili mnie leczyć swemu czarodziejowi. Człowiek ten stale polewał mnie wodą, skakał wokoło i dzikimi zaklęciami wypędzał z mego ciała duchy, uderzając z niezwykłą wytrzymałością w swój bęben.

Piątego dnia wreszcie przyczumował parowiec, który

nas zabrał i zawiózł do Czardżuju. Po drodze widzieliśmy rosyjskich rybaków, wyciągających na brzeg swój połów.

Chores zauważył nie bez złośliwości, że ten sam cel mogłem osiągnąć o wiele taniej i wygodniej, gdybym z Merwu był się udał koleją.

Stare pudło bardzo wolno posuwało się pod prąd, który stawiał mocny opór nie tyle swym wartkim pędem, ile masą płynącego piasku.

W Deh-i-Nau na lewym brzegu nie mogliśmy w ogóle lądować, gdyż rzeka, od czasu kiedy parowiec był tu po raz ostatni, napędziła na brzeg wiele piasku. Toteż Kirgizi, którzy mieli tutaj wysiąść, musieli dopłynąć do lądu łodzią.

Dopiero następnego dnia po ominięciu licznych wysepek dopłynęliśmy do Chodża-Kali, pierwszej bucharskiej fortecy granicznej w tej części Amu-Darii.

Amu ma w tym miejscu około dwóch kilometrów szerokości, ale przed Czardżujem rozszerza się do jakichś trzech i pół kilometra. Z obawy przed powodzią Chodża-Kala zbudowana jest o kilka kilometrów od brzegu na wzgórzu. Liczne kanały, przeprowadzone z Amu, nawadniają teren leżący wokoło tej miejscowości, liczącej około stu mieszkańców.

Z powodu wędrujących łąch piaszczystych kapitan nie chciał żeglować nocą i polecił zarzucić kotwicę naprzeciwko fortecy.

O wschodzie słońca parowiec nasz ruszył w dalszą drogę. Płynęliśmy przez beznadziejnie pustynną okolicę wzdłuż licznych, podobnych do warowni acz całkowicie rozwalonych budowli, które wzniesli tu Bucharzy dla ochrony przed napadami Turkmenów. Około południa ukazały się pierwsze ślady roślinności i dobrze już pod wieczór zatrzymaliśmy się w najwęższym miejscu rzeki

w Czardżuju, nie opodal żelaznego mostu, mającego 1.820 metrów długości.

Samo miasto leży w odległości c-a pięciu kilometrów od Amu-Darii. Na brzegu zgłosiłem się u *toksaby* (urzędnika celnego i rzecznego) i poprosiłem go o dostarczenie mi arby dla dojechania do miasta. Przede wszystkim chciał obejrzyć moje *bumagi* (papiery), które mu też przedstawiłem, pewny ich ważności jeszcze w Merwie. Atoli wszechwładny ten człowiek oświadczył, że mu to absolutnie nie wystarcza. Dla zatrzymania się w Turkmenistanie muszę mieć pozwolenie sowietu w Czardżuju, w przeciwnym razie nie ma prawa wypuścić mnie na ląd. Nie chciał również zrozumieć, że właśnie dla zaopatrzenia się w ten dokument przybyłem do Czardżuju. Dopiero gdy zdecydowałem się pozostawić u niego swój bagaż i Choresa, otrzymałem zezwolenie udania się do miasta, w jakim to celu pożyczył mi nawet swego konia.

R O Z D Z I A Ł P I Ą T Y

W JASKINI LWA

W domu handlującego herbatą bogatego kupca, Argamanova, który został zabity podczas powstania w roku 1919, Sowiety zainstalowały swe biura. Wielka czerwona chorągiew u wejścia oraz tablica, która w pięciu językach wzywała proletariuszy wszystkich krajów do zjednoczenia się, świadczyły najwyraźniej, że jest to budynek urzędowy.

Nie łatwo było dostać się do głównego komisarza, *towarzysza* Uraniewa. Panowie urzędnicy, prawie wszyscy Turkmeni, nie mogli zrozumieć, czego może chcieć od ich szefa jakiś Europejczyk, zwłaszcza bez uniformu i rewolweru. Dopiero gdy tajemniczo szepnął jednemu z nich na ucho, że chodzi tu o wielką tajemnicę, zameldowano mnie u wszechmocnego dygnitarza.

Przyjął mnie pijąc herbatę i paląc nargile. Wskazał krzesło, na którym bez ceregieli usiadłem, i przemówił w te mniej więcej słowa.

— Towarzysz Uraniew! W pogranicznych górach Turkmenistanu znajduje się na pewno wiele nie odnalezionych dotychczas skarbów. Nie myślę o takich skarbach, jakie zakopali tam poprzedni burżuje (kapitaliści), lecz o rudach węgla lub soli. Chociaż jestem geologiem, pracowałem dotychczas w Kizil-Arwacie dla Sowieców w charakterze technika. Doszedłem jednak do przekonania, że więcej korzyści przyniosę Sowiecom, jeżeli odnajdę te złoża i pomogę je udostępnić. Mogę jednakże zrobić to dopiero wtedy, gdy dostanę od was, towarzyszu, pełnomocnictwo, pozwalające udać się w te okolice, gdzie

przewiduję takie bogactwa. Jeżeli wystawicie mi niezbędne dokumenty i dacie potrzebne wierzchowce oraz odpowiednie wyekwipowanie, jestem gotów pracować wyłącznie dla sowietu Turkmenistanu i wskazać wam te złoża, nie licząc na żadne zgoła wynagrodzenie.

— Towarzyszu Steinschneiderze, cieszy mnie to, że chce pan podjąć się tego ciężkiego zadania. Sam jednakże nie mogę tu nic zdecydować i w tym celu zwołam posiedzenie. W ciągu najbliższego tygodnia będę mógł wam dać odpowiedź.

— Towarzyszczy Uraniu, bardzo to piękne, co mówicie, ale tutejszy *toksaba* nie chciał uznać mych dokumentów, wystawionych przez miejski sowiec w Kizil-Arwacie. Muszę zatem poprosić was o wydanie mi zezwolenia na pobyt.

— Ach, *kakoj durak etot toksaba!* (Ach cóż za duś ten toksaba). Oczywiście, dostaniecie natychmiast niezbędny papier. Proszę tylko o chwilę cierpliwości.

Odetchnąłem, najwyraźniej wszystko szło po mojej myśli. Istotnie, w kilka minut potem miałem już w kieszeni pozwolenie na pobyt w Czardżuju i pośpieszyłem do najbliższej „stołowej“, aby zjeść coś ciepłego. Garkuchnię taką znalazłem w pobliżu dworca. Tuż koło drzwi jakiś człowiek sprzedawał gazety. Kupiłem najnowszy numer wychodzącego w rosyjskim języku pisma *Aschabadskaja żiźń*, wszedłem do środka i kazałem sobie upiec kilka rożenków szaszłyku. Tymczasem zabrałem się do czytania gazety, która mi o mało nie wypadła z ręki z przerażenia, jakie mnie ogarnęło, gdy przeczytałem, że w Kizil-Arwacie *udarnik* Steinschneider został uderzony zerwanym pasem transmisyjnym i jest ciężko ranny.

Gazety przynoszą zwykle tylko polityczne i gospodarcze wiadomości, ponieważ jednak w danym wypadku chodziło o *udarników*, którzy dla wyróżnienia mają coś w ro-

dzaju szarzy oficerskiej w przemyśle, podaje się w prasie ich portrety, podobnie jak u nas portrety gwiazd filmowych. Nic więc dziwnego, że gazeta, zresztą tylko lokalna, podała wiadomość o nieszczęśliwym wypadku mego przyjaciela.

Pozostawiłem szaszłyk, dopadłem konia i w największym pośpiechu pojechałem nad brzeg Amu-Darii. Pokazałem tam toksabie moją bumagę, otrzymałem żadaną arbę i kazałem natychmiast odwieźć mój bagaż na dworzec.

A teraz — myślałem sobie — jak najprędzej uciekać z Czardżuju, dopóki nie będzie za późno.

Chores nie rozumiał, co się stało, zwłaszcza gdy mu polecił trzymać się z dala ode mnie, aby w razie zaareztowania mojej osoby nie wpadł razem ze mną.

Ponieważ jednak ostentacyjnie siadał stale obok mnie, poleciłem mu dopilnować mego bagażu, sam zaś udałem się do miasta, do odejścia pociągu bowiem było jeszcze siedem godzin.

Tłumaczyłem sobie, że oprócz toksaby i naczelnika sowiecie nikt w Czardżuju nie znał mnie z nazwiska i że w każdym razie w mieście czuć się mogę pewniejszy niż właśnie na dworcu, gdzie szukano by mnie przede wszystkim.

Oczywiście apetyt straciłem całkowicie.

Po raz pierwszy w życiu poczułem prawdziwy lęk i stwierdziłem niezbicie, że z wiekiem człowiek staje się coraz mniej przedsiębiorczy i odważny. Nie minęło jeszcze przecież dziesięć lat, jak siedziałem w tym mieście w areszcie jako uciekający jeńiec wojenny i całą tę przygodę uważałem za głupstwo. Zachowywałem się też wtedy odpowiednio w stosunku do władz oraz dozorców aresztu, których traktowałem jako przedmiot kpinek. Tym razem wszakże sprawa była o wiele poważniejsza, toteż ile razy

skręcałem na rogu ulicy, oglądałem się ostrożnie poza siebie, czy nie idzie już za mną milicjant.

Czardżuj jest centrum turkmeńskiej produkcji bawełnianej i gdzie się spojrzy, wszystko mówi o bawelnie. W ostatnich czasach zbudowano tutaj wiele nowych fabryk, służących wyłącznie do obróbki bawełny. Były tu przeważnie czesalnie, w których za pomocą stojących tuż obok siebie zębatych kół usuwano z włókna pestki. Następnie oczyszczano włókno, prasowano w wałtuchy i wysyłano je do przędzalni w Rosji. Pestki zaś miażdżono i wyciskano na miejscu celem uzyskania tak zwanego tutaj „postnego masła“, wypływającego w postaci czarnej mazi spod pierwszej prasy. „Masło“ to, oczyszczone za pomocą sody kaustycznej, ma złotawy wygląd oleju oliwkowego i znajduje powszechne zastosowanie w celach kulinarnych. Wytłoki stanowią bardzo pożądaną i posilną paszę dla bydła, chociaż używa się ich również jako opału.

Statki oraz długie karawany wielbłądów dostarczały bawełnę do miasta lub przewoziły sprasowane wałtuchy na dworzec i na statki czekające na nie na rzece.

Drugi gospodarczy plan Sowietów, tzw. „piatiletka“, zaczęła się w poprzednim roku i zajęto kosztem produkcji zboża wielkie powierzchnie roli na uprawę bawełny, co miało się boleśnie odbić, w następnym roku nastąpił bowiem skutek tego dotkliwy brak zboża.

Powlokłem się tedy na bazar w dzielnicy turkmeńskiej i usiadłem w *czaj-chana*. Przedtem jedyną dekorację ścienną tych herbaciarni stanowiły obrazki wycięte z ilustrowanych pism lub opakowania cukierków. Obecnie przeważają portrety Lenina, Czidiraliewa oraz podobizny miejscowych komisarzy autonomicznych dzielnic. Widzi się przedstawicieli kontrastowych poglądów na świat w najprzykładniejszej zgodzie. Nad wejściem każdego publicznego gmachu powiewa czerwona flaga, przy każdej zaś

budzie na bazarze wiszą małe czerwone flagi, gdyż właściciele ich są naprawdę komunistami lub też przynajmniej chcą za komunistów uchodzić.

Nic więc dziwnego, że nieraz w rogu znajduje się zwinięty dywanik modlitewny z leżącym na nim i gotowym do użytku Koranem, a ponad tymi religijnymi insygniami sterczy czerwona chorągiewka lub wisi portret jakiegoś sowieckiego lidera.

Bezbożnictwo popierane jest i propagowane w głębi Rosji przez samo państwo, lecz w autonomicznych republikach sowieckich Azji Centralnej mahometanizm pozostał dotychczas nie naruszony i długo jeszcze takim pozostanie, chociaż moskiewscy emisariusze dokładają wszelkich starań, aby działać i tutaj rozkładowo. A więc, na przykład, w szkołach powołanych niedawno do życia kształci się młodzież już w tym duchu.

W dawniejszej fortecy *bega* umieszczono obecnie muzeum zawierające przeważnie starą broń, zwoje papirusu, narzędzia tortur oraz komunistyczne plakaty propagandowe. Najciekawszy jest wielki zbiór turkmeńskich instrumentów muzycznych, wśród których zaledwie kilka posiada wartość nieprzeciętną, gdy reszta jest dziś jeszcze w powszechnym użyciu. Taka, na przykład, *kornoi*, dwu i półmetrowej długości trąba, przypominająca bardzo rogi alpejskie, stanowiłaby na pewno ozdobę każdego zachodniego muzeum, zrobiona jest bowiem w całości z połączonych ze sobą małych kawałków kości wielbłądzych oraz bogato inkrustowana pierścieniami ze srebra i wysadzana turkusami. Ta *kornoi* jest tak ciężka, że musi ją trzymać trzech mężczyzn na ramionach, gdy czwarty gra na niej. Zbiór tych instrumentów uzupełniają liczne bębny, podobne do naszych kotłów (jeden człowiek może naraz uderzać w dziesięć takich bębnow), oraz kilka pięknych starych *surnoi* (klarnetów).

W fortecy pokazują również czynne aż do roku 1920 więzienie. Było ono przeznaczone tylko dla bucharskich poddanych, którzy podlegali sądownictwu *bega*.

Wpłynęłam przez otwór wielkości pół metra kwadratowego do wnętrza znajdującego się pod ziemią więzienia, które oczywiście nie posiadało ani wentylacji, ani otworu stanowiącego okno. Przy świetle pochodni zobaczyłem na każdej z dwóch przeciwległych ścian pierścienie na szyję i stopy, z czego wynikało, że każdy więzień miał do swego rozporządzenia przestrzeń wynoszącą pięćdziesiąt centymetrów szerokości. W środku celi znajdowały się dwa bloki wpuszczone w ziemię, z których każdy służył dla czterech więźniów. Wobec półtorametrowej wysokości celi, dwudziestu znajdujących się w niej więźniów miało razem dla siebie ni mniej, ni więcej tylko trzynaście i pół metra sześciennego przestrzeni. Takich cel było siedem.

Kiedy Turkmeni wypędzili w roku 1920 *bega*, uwolnili z tych cel 81 więźniów, z których wielu nie mogło się już bez obcej pomocy poruszać, ponieważ wskutek niedostatecznej wysokości celi nie podobna było stać w pozycji wyprostowanej, z drugiej zaś strony pierścienie obejmujące ich szyje nie pozwalały im leżeć.

Nie opodal więzienia zobaczyłem Turkmenkę z wyjątkowo kosztownym napierśnikiem. Pracowała ona na plantacji bawełny. Jak się potem dowiedziałem, była to Nija Karban Neppas, będąca podobno naprawdę ostatnim potomkiem Tamerlana.

Wróciłem na dworzec i spytałem Choresa, czy nie zauważył czegoś podejrzanego. Jakoż nic nie zauważył. Kupiłem więc dwa bilety kolejowe do Samarkandy. Najmocniej przekonany, że wobec przysłowiowego niedbalstwa sowieckich władz nikt nie spyta się o to, dlaczego rzekomy geolog nie zjawił się więcej, odjechałem spokojnie.

Po czternastogodzinnej bez mała podróży przez Kagan

i Katta-Kurgan dojechaliśmy do odległej o 371 kilometrów od Czardżuju dawniejszej stolicy Tamerlana a obecnej stolicy republiki sowieckiej Uzbekistanu. Turkiestańskie pociągi pełzną przez pustynię niewiarogodnie powoli. Ponieważ podkłady leżą po prostu na piasku i od roku 1914 nie odnawiano ani nie przebudowywano torów, pociągi muszą z wielką ostrożnością posuwać się po szynach, chociaż leżą one w prostej jak strzała linii i łuków prawie żadnych tu się nie spotyka.

Z Samarkandy wyjechałem cztery lata temu i nigdy nie przypuszczałem, że kiedyś znów tu powrócę. Z najspokojniejszym sumieniem spytałem dworcowego żandarma, jaki hotel może mi polecić, ponieważ podczas mego ostatniego pobytu wszystkie hotele tutejsze zostały znacjonalizowane (wywłaszczone) i przeznaczone były na kwatery dla żołnierzy. Nie pytając mnie o paszport polecił mi hotel „Gostinnica Swobody“ przy ulicy „Abramowskij bulwar“.

Samarkanda była dla mnie niezwykle niebezpiecznym terenem, musiałem też mieć się na baczności, żeby mnie ktoś z licznych moich znajomych nie zobaczył i niechcący nie zdradził. Poza tym znajdowało się tu jeszcze kilku dawnych jeńców wojennych, na których mogłem wprawdzie najzupełniej polegać, ale jedno nieostrożne słowo z ich strony mogło mnie również zdradzić. Postanowiłem przeto aż do nastania ciemności pozostać w pobliżu dworca, który leży o jakieś pięć kilometrów od właściwego miasta, i wysłałem na przód Choresa z bagażem do hotelu. Sam powędrowałem do ówczesnego obozu letniego kozaków za miastem i ulokowałem się w jakimś małym kiszłaku w herbaciarni. Dopiero gdy się ściemniło, wróciłem na dworzec, wziąłem *izwozcika* (dorożkę) i pojechałem do miasta.

Dom pewnego bogatego kiedyś Żyda bucharskiego zamieniono na hotel, którym zarządzał pewien Ormianin,



Czarnoksiężnik kirgiski zaklina złe duchy, abym wkrótce wyzdrowiał.



Gdy parowiec nasz mijał pewną małą wysepkę na Amu-Darii, rybacy rosyjscy akurat wyciągali połów na ląd.



Dziewczyna z Czardżuju zbiera bawełnę.



Zgodnie z obyczajem synek naczelnika plemienia przynosi do aułu pierwszą gałąź bawełny.

a który jak na stosunki centralno-azjatyckie wcale nie-najgorzej był urządzony. Specjalnie dogodnie dla mnie było położenie hotelu, prawie naprzeciwko bowiem, w gmachu dawniejszego Rosyjsko-Azjatyckiego Banku, miał swą siedzibę rząd sowiecki Uzbekistanu. Mogłem więc odwiedzić tę władzę nie potrzebując przechodzić przez miasto. Postanowiłem też zaraz następnego dnia wystawić na próbę łatwowierność najwyższych władz Uzbekistanu.

Jeszcze do roku poprzedniego stolicą całego Turkiestanu był Taszkient (w czasie panowania carów siedziba gubernatora). Ale w myśl nowej konstytucji sowieckiej w roku 1924/5 (która w roku 1927 zasadniczo została zmieniona) kraj podzielony został na trzy autonomiczne republiki, a mianowicie — Turkmenistan mający 443.600 kilometrów kwadratowych powierzchni i 1,174.000 mieszkańców, Uzbekistan mający 155.000 kilometrów kwadratowych i 827.000 mieszkańców i Tadżykistan mający zaledwie 145.000 kilometrów kwadratowych i 1,209.000 mieszkańców. Dzięki temu znacznie mniejsza Samarkanda została stolicą republiki uzbekistańskiej. Tadżykistan obejmuje południowo-wschodnią część Turkiestanu aż do płaskowyżu pamińskiego, północny Turkiestan dołączony został do kirgiskiej republiki Kazakistanu.

Może byłoby na miejscu powiedzieć teraz kilka słów o ówczesnej atmosferze politycznej w rosyjskiej Azji Centralnej.

Próba zbolszewizowania Centralnej Azji niewątpliwie należy do najciekawszych zjawisk w historii świata w ciągu ostatnich dwudziestu lat. Nieufność, jaką żywiła Anglia do Rosji Sowieckiej w ostatnich czasach, łatwo da się wytłumaczyć, ponieważ Anglia czuje się zagrożona w swym panowaniu w Indiach i Beludżystanie. Gdy Rosjanie za panowania Romanowów ograniczali się do

utrwalenia swych wpływów gospodarczych, Sowiety spróbowwały podkopać zwierzchnictwo Anglii w Azji od strony nacjonalistycznej i socjalnej. Ludom azjatyckim przyznano pewną samodzielność i autonomię jedynie dlatego, ażeby móc kłuć w oczy ich pobratymców i jednowierców, znajdujących się po tamtej stronie granicy, że nad mahometanami, których kraje należą do Unii Sowieckiej, nie panuje żadne obce mocarstwo. Różni bowiem rosyjscy doradcy rządów narodowych mianowani są okolicznościowo z życzliwości i dopóki to będzie potrzebne, a więc do czasu gdy azjatyckie ludy Rosji dorosną do samodzielnego rządzenia swymi krajami. W gruncie rzeczy oczywiście rzecz ma się odwrotnie — ci doradcy są naprawdę rządzącymi osobistościami, bez zgody których nie może spaść nawet arkusz papieru z biurka *cika* (Centralnego Ispolnitielnego Komiteta — Centralnego Komitetu Wykonawczego) republik azjatyckich. Przepisy administracyjne wydaje albo bezpośrednio Stalin, albo Komintern (Komunistyczny Komitet Internacjonalny) w Moskwie.

W swych usiłowaniach rozszerzenia wpływów politycznych w Azji bolszewicy musieli natknąć się na swego naturalnego przeciwnika, a jest nim właśnie Anglia.

Na długo jeszcze przedtem, zanim reszta świata zrozumiała niebezpieczeństwo idące ze wschodu, przewidujący przyszłość Anglicy usiłowali niebezpieczeństwu temu postawić zapórę, rozkazując w roku 1919 generałowi Mallisonowi wkroczyć z Persji do Turkiestanu.

Przeprowadzając operacje wojenne wzdłuż granicy perskiej, Mallison uderzył na Czardżuj i zajął Amudarię oraz kolej centralno-azjatycką. Tubylcy wszystkich plemion i wszyscy niebolszewicy, głównie zaś carscy urzędnicy oraz oficerowie, z entuzjazmem popierali Anglików i witali ich jako oswobodzicieli. Mallison przedostał się

już 1.140 kilometrów w głąb kraju, gdy Amerykanie, Francuzi i Włosi zaczęli wywierać nacisk na rząd angielski, który wobec tego odwołał Mallisona. Mocarstwa te obawiały się dalszego rozszerzenia się Imperium Brytyjskiego w Azji, głównie zaś zazdrościły im posiadania bezcennych źródeł ropy naftowej w Baku, które Mallison zajął natychmiast po swym wkroczeniu na Kaukaz. Anglię zwyciężyło mocarstwo światowe — ropa i dlatego należy ją uważać również za bezpośredni, a w każdym razie i za mimowolny współczynnik bolszewizmu w Azji; bolszewicy bowiem, zaatakowani ze wszystkich stron przez Anglię, nie zdołaliby własnymi siłami nigdy wyprzeć jej z tego kraju.

Sowiety postarały się przede wszystkim przynęcić Persję i potrafiły kilkoma sprytnymi posunięciami zabezpieczyć sobie olbrzymie korzyści w Persji oraz wyprzeć Anglików z ich pewnej pozycji.

Wymówienie kontraktu anglo-perskiemu towarzystwu eksploatacji ropy było skutkiem tych wpływów. Z wdzięczności za to Rosjanie podarowali Persom 85 kilometrów drogi żelaznej, która prowadzi z Dżulfy do Tebrysu. Rosyjski polityk Trojanowski opublikował wkrótce potem wspomnienia, w których nazwał Indie piętą Achillesową Anglii, Persję zaś — Kanałem Sueskim rewolucji azjatyckiej. W poczynaniach tych pewną rolę odegrał również zbiegły z Turcji minister wojny Enwer-pasza, o czym jeszcze będę pisał dokładniej.

Podobnie jak w Persji tak i w Afganistanie stosunki ułożyły się dla Rosji pomyślnie. Po zamordowaniu wrogiego Sowiетom emira Habib-Ullaha (1919) wstąpił na tron wypędzony potem Aman-Ullah, który uchodził za człowieka wolnomyślnego i przyjaciela Europy. Za jego panowania Sowiety mogły znakomicie wzmocnić swe wpły-

wy, gdy do lata 1919 roku panowała wybitnie przyjazna dla Anglii polityka.

Pomiędzy Afganistanem, przyszlą ofiarą bolszewickiej polityki ekspansywnej, a rosyjskim Turkiestanem istniało jeszcze państwo buforowe Bucharą. Po wycofaniu się Mallisona z Turkiestanu udało się prędko Sowietom tereny te wrócić pod swe panowanie. Gdy nastąpił z powrotem pokój, po krótkiej pauzie wypoczynkowej ścignęli oni wiele czerwonego wojska nad bucharską granicę, głównie w pobliże miasta Buchary.

Pewnego dnia armaty czerwonej armii zagrzmiały nad miastem, przez inne zaś punkty graniczne wmaszerowały do kraju liczne pułki i złamały niewielki zresztą opór.

Emir uciekł do Afganistanu i powierzył wysłanemu przez Lenina, ale mającemu separatystyczne zamiary Enwerowi-paszy odzyskanie swego kraju. Enwera-paszę ścigała *czeka*, wytropiła go i — jak chętnie mówią Rosjanie — zlikwidowała.

Podczas dalszej mej podróży przez wschodnią Bucharę udało mi się wyjaśnić ostatecznie legendę o śmierci Enwera-paszy i ustalić prawdę.

W Deh-i-Nau, gdzie Enwer wydał ostatnią swoją bitwę czerwonej armii i został zamordowany nie opodal tej miejscowości, rozmawiałem nie tylko z ludźmi, którzy byli świadkami jego śmierci, ale nawet z samym mordercą, który z dumą postępek swój uważał za czyn narodowy i patriotyczny.

TAK ZGINĄŁ ENWER-PASZA

9 lipca 1925 roku spotkałem w Deh-i-Nau czekistę Agabekowa, który ongi był członkiem taszkienskiego G.P.U. (nazwa dawniejszej czeki). W *czaj-chana* w Deh-i-Nau dowiedziałem się z ust Agabekowa „prawdy“ o śmierci Enwera-paszy. Agabekow musiał znać prawdę, sam bowiem zamordował Enwera.

Enwer-pasza urodził się 3 sierpnia 1882 roku jako syn niższego oficera, sam również obrał sobie zawód oficerski i był entuzjastycznym młodoturkiem, a zatem był przeciwnikiem rządu. Już mając 26 lat zorganizował powstanie w Salonikach i odegrał wielką rolę w wojnie o Trypolis. Podczas wojny bałkańskiej w 1912 i 1913 roku był już szefem sztabu generalnego armii tureckiej i z początkiem wojny światowej awansował w 32-gim roku życia na wszechmocnego ministra wojny.

W roku 1918 Enwera aresztowano i zdegradowano.

Na początku 1919 roku udało mu się zbiec do Rosji. Podczas swej nieobecności w Turcji został skazany na śmierć.

12 lutego 1920 roku został przyjęty przez Lenina i jako jego mandatariusz udał się na Kongres Narodów Wschodu do Baku. Spotkało go tam oszołamiające przyjęcie a po pięciogodzinnej mowie został uznany wodzem i ulubieńcem usposobionych wolnościowo mahometan, którzy reprezentowali niezliczone ludy i plemiona od Syrdarii aż po Ganges. Z Baku pojechał przez Krasnowodsk do Tedżenu, gdzie po bitwach trwających kilka miesięcy zlikwidował antysowieckie powstanie.

Drobiazg taki nie mógł przecież zadowolić Enwera, marzył o wielkich rzeczach, toteż udało mu się przekonać Lenina, że trzeba byłoby koniecznie zjednoczyć zwalczające się wzajemnie plemiona Azji Centralnej i z ich pomocą przede wszystkim podbić Afganistan, żeby następnie wkroczyć do Indii i tam wywołać rewolucję przeciwko Anglii. Każdy z nich jednak, zarówno Lenin jak i Enwer, miał swój cel na widoku. Lenin widział we wspólnym powstaniu ludów Wschodu preludium rewolucji światowej, gdy Enwer marzył o separatyzmie. Nie pragnął niczego mniej ni więcej, tylko zjednoczenia całego islamu pod swoim kierownictwem, oczywiście włączając Turcję.

Po powrocie do Baku napadnięty został i ciężko ranny przez jakiegoś carskiego fanatyka, wskutek czego przez pewien czas nie mógł nic przedsięwziąć.

Dopiero w listopadzie 1921 roku udał się do Bucharą, gdzie panował zupełny chaos. Ludność zgotowała mu entuzjastyczne przyjęcie. Nawet kobiety w dowód najwyższej czci zrywały z twarzy zasłony.

W Bucharze znajdowało się z przedwojennych jeszcze czasów i z czasów końca wojny bardzo wielu oficerów, którzy bez wyjątku byli zwolennikami Enwera-paszy. Z ich pomocą zamierzał stworzyć kadry armii narodowej i swój potężny niegdyś naród doprowadzić do jego dawnej wielkości. Były to plany z punktu widzenia psychologicznego uzasadnione i najzupełniej naturalne.

Wypadki następowały teraz po sobie z szaloną szybkością.

Pod pretekstem wzięcia udziału w wyprawie myśliwskiej Enwer-pasza wraz ze swymi przyjaciółmi udał się do letniej rezydencji byłego emira w Szirabadzie, ażeby w kilka dni potem powrócić na czele 6.000 powstańców. Otoczył Bucharą i wydał bitwę czerwonej armii, w której po obu stronach padło razem 5.000 trupów.

Część miasta leżącą wokoło bramy Kujak Masar, jako też okoliczne *daczi* (wille) Enwer spalił do cna, po czym cofnął się w niedostępne wąwozy i przepaści wschodnio-bucharskich gór.

Tymczasem nawiązał łączność z emirem bucharskim, który uciekł do Afganistanu, i zaofiarował mu się jako wódz armii przeciwko Sowieciom. Ale i to było tylko podstępem. Enwer wiedział, że uciekający emir zabrał ze sobą niemal cały swój skarb, składający się ze złota i szlachetnych kamieni, a mający wartość wielu milionów funtów. Prawie równie wielką sumę miała ze sobą szlachta bucharska, która wraz z całą swoją służbą i żołnierzami uciekła razem z emirem. Enwer potrzebował pieniędzy na prowadzenie wojny i tych pieniędzy powinna mu być dostarczyć arystokracja bucharska. W odpowiedniej chwili Enwer-pasza zamierzał porzucić ich również i urzeczywistnić własne plany.

Emir mianował Enwera naczelnym dowódcą powstańców. Ale o ich ilości i miejscu pobytu emir również nie wiedział, ponieważ ochotnicy rozsiani byli w grupach po całym kraju aż hen w głąb Turkiestanu. Zbadanie tej sprawy i zorganizowanie armii pozostawił emir nowemu swemu wodzowi naczelnemu.

Poprzedni faworyt emira, obecnie basmacz Ibrahim-beg, który prowadził operacje wojenne pomiędzy Samarkandą a Karszi i którego armia składała się z c-a 3.000 carskich oficerów, Sartów, Uzbeków i Turkmenów, został również oddany pod rozkazy Enwera.

Oczywiście, Enwer-pasza wiedział aż nadto dobrze, że mając do rozporządzenia jedynie nie zorganizowane bandy rabusiów oraz resztki byłej armii bucharskiej, nie będzie mógł odnieść żadnego zwycięstwa nad czerwoną armią. Rozesłał więc po całym kraju emisariuszy, nawet do Kokandu, Samarkandy, Chiwy i Taszkientu. Utworzył po-

nownie kalifat w Turkiestanie i Bucharze i na wzór armii europejskich zorganizował taki sztab generalny, w jakim niegdyś pracował. Propagował powstanie wielkiego państwa islamskiego i dzięki temu był popierany w całej Centralnej Azji przez mułłów.

Sowiecom zaproponował pokój, jeżeli poprą go jako naczelnika nowego państwa i uznają go w tym charakterze.

Smirnow, dowodzący czerwoną armią w Turkiestanie, odrzucił tę propozycję i oto zaczęła się teraz prawdziwa wojna.

Enwer-pasza zwerbował w Afganistanie pięciuset zuchwałych drabów, z których stworzył sobie niemal niezwyciężoną gwardię dla własnej obrony.

Napływały teraz do armii Enwera tysiące wojowników, ponieważ wysłannicy jego pracowali doskonale. Początkowo też z powodzeniem walczył z czerwoną armią i w ciągu niewielu tygodni cała wschodnia Bucharą od gór Serafszanu aż po Kelif znalazła się w jego ręku. Tylko na płaskowyżu pamińskim znajdowały się jeszcze rozbite części bucharskiej armii czerwonej, które bardzo niepokoiły tyły jego wojska, wreszcie jednak przeszły na jego stronę.

Upojony tymi powodzeniami jako też kultem dla jego osoby, lekcewał sobie życzenia i rozkazy emira. Jednorękiego Ibrahima-bega usunął z dowództwa, czym zasłużył sobie na nieufność tego weterana.

Kazał też sobie przygotować złotą pieczęć, na której występował jako „Głównodowodzący wszystkimi islamskimi armiami ziemi kalifa“.

Ibrahim-beg podburzył przeciwko niemu zarówno ludność cywilną jak i samego emira oraz armię. Jednocześnie Rosjanie otrzymali posiłki i czerwona armia rozpoczęła natarcie. Enwer napisał do emira o pomoc. Emir wysłał

mu broń, kilka karabinów maszynowych oraz armat, jako też pieniądze i amunicję. Transport ten jednak wskutek zdrady basmacza Tugai-Zarifa został zatrzymany i wzięty do niewoli.

Górale znajdujący się dotychczas pod dowództwem Ibrahima-bega opuścili Enwera. Od strony Guzaru zawzięcie parli Rosjanie, gdy na północy około Szarszanu nacierał Ibrahim-beg, z południa zaś szedł na niego z Szirabadu Tugai-Zarif.

Enwer-pasza główną swoją kwaterę umieścił we wsi Kafirnigan. Napadły go tu znienacka dwa czerwone bucharskie pułki kawalerii, tak że musiał uciekać, pozostawiając niemal wszystkie zapasy żywności i amunicję.

W niedostępnych wąwozach Jurczaju rozłożył się na nowo obozem i stąd urządzał wypadły na równinę, ażeby móc przeżyć tych kilka tysięcy ludzi, którzy mu jeszcze pozostali. Napadał na karawany wielbłądów, należące do czerwonej armii, i niszczył ogniem całą okolicę.

Dowództwo rosyjskie przyszło do przekonania, że nie będzie spokoju, dopóki Enwer-pasza znajduje się na wolności, czy też w ogóle żyje. Najbliższą konsekwencją tego było postanowienie G.P.U. „zlikwidowania“ Enwera-paszy. I do zamordowania go wyznaczony został Agabekow.

Ale niech Agabekow opowie o tym sam.

„Musieliśmy schwytać Enwera-paszę. Nie było to jednak takie proste, ponieważ stale zmieniał miejsce pobytu. Trzeba więc było zorganizować szeroko rozgałęzioną służbę szpiegowską. Postanowiłem udać się do pieczary lwa w charakterze tzw. *basardżika* (wędownego handlarza). W Taszkencie i Bucharze kupiłem trochę drobnych towarów oraz osła. Za sfalszowanym paszportem dostałem się do Karszi, gdzie czekał na mnie pewien urzędnik z G.P.U. Człowiek ten miał utrzymywać kontakt pomiędzy mną a sztabem armii. Po drodze do wschodniej

Bucharą przekonałem się naocznie, jakie zniszczenie porobiła tutaj wojna. Kwitnący niegdyś kraj stał się pustynią, której jedynostajność przerywały tylko zrujnowane miejscowości. Mieszkańcy przyłączyli się częściowo do basmacza, częściowo uciekli do Afganistanu lub Turkiestanu.

W Guzarze rozpoczęliśmy akcję, rozpakowując w jakiejś herbaciarni swe towary i nawiązując kontakt z garstką pozostałych w mieście mieszkańców. Poprosiliśmy kupców, aby nam dali pisemne polecenie do znajomych w Jurczaju i Deh-i-Nau, co potem nam bardzo pomogło. Pewien Uzbek z miejscowego sovietu miał nam towarzyszyć w Guzarze i dalej, ponieważ nie był o nic podejrzany i miał wszędzie dobrych znajomych.

Po przybyciu do Deh-i-Nau stwierdziliśmy, że miejscowość ta jest bardzo mocno ufortyfikowana. Wszędzie w najbliższej okolicy w ostatnich dniach odbywały się walki, a i w czasie naszego przybycia słychać było strzały karabinów oraz kulomiotów. Człowiek z Guzaru w ciągu kilku dni obszedł okoliczne kizlaki i wkrótce dowiedział się o miejscu pobytu Enwera-paszy. Jako wędrownym handlarzom nie stawiał nam nikt przeszkód — ani basmacz, ani wojska, toteż wkrótce dotarliśmy do tego kizlaku, gdzie miał się zatrzymać Enwer, rozgospodarowaliśmy się w herbaciarni, rozłożyliśmy nasze towary i zawarliśmy znajomość z basmaczem.

Już na trzeci dzień dowiedzieliśmy się, że Enwer mieszkał w małym stojącym na uboczu domu, którego pilnie strzegła jego gwardia osobista.

Pod pretekstem nowego zamówienia na towary wysłałem człowieka z G.P.U. do Deh-i-Nau do sztabu z meldunkiem, że znalazł Enwera. Sam z Uzbekiem zostałem we wsi.

Po pięciu dniach wysłannik nasz powrócił i przyniósł

mi wiadomość, że do Deh-i-Nau skierowana została dywizja kawalerii, która wyrusza z poleceniem otoczenia Enwera oraz jego obozu.

W nocy zwinęliśmy nasz bagaż i pojechaliśmy z powrotem do Deh-i-Nau.

O kilka kilometrów od obozu Enwera natknęliśmy się już na posuwające się na przód wojsko. Daliśmy komendantowi dokładny plan wsi jako też położenia domu Enwera i pojechaliśmy dalej. Oddział wojska zaś ruszył swoją drogą, ażeby zakończyć rozpoczęte przez nas dzieło.

O siódmej rano dywizja rozpoczęła atak otoczywszy uprzednio cały kiszlak. Basmacz jednakże rozstawił warty i zaskoczenie nie udało się. Wywiązała się mocna walka, ale ludzie Enwera nie mogli wytrzymać ognia naszych kulmiotów i rzucili się do ucieczki.

Enwer natychmiast ocenił sytuację i wydał rozkaz zatrzymania w rękę wsi dopóty, dopóki nie dostanie się wraz ze swym sztabem oraz gwardią osobistą w góry. Z pięćdziesięcioma ludźmi rzucił się w przeciwny koniec wsi, dotarł do ostatnich chat i wpadł w krzyżowy ogień ulokowanego tam szóstego szwadronu. Wywiązała się krótka i zawzięta walka. Sam Enwer walczył jak lew aż do śmierci. Rosjanie natarli z szablami w rękę i wycięli wszystkich w pień. Zaledwie dwom ludziom udało się ująć z tej masakry.

Oprócz komendanta nikt z dywizji nie miał najmniejszego pojęcia, z kim właściwie walczył. Dowódca Dunow, który swego czasu służył w Tedzenie pod Enwerem, rozpoznał go wśród poległych i o fakcie tym powiadomił swych żołnierzy. Enwerowi odcięto głowę od tułowia potężnym ciosem szabli. Obok ciała pozbawionego głowy leżał miniaturowy Koran. Najwidoczniej Enwer miał go w rękę, gdy prowadził swych ludzi w bój.

Koran odesłano do G.P.U. w Taszkencie i wraz ze

sprawozdaniem dołączono go do akt „Kontrewolucjonista Enwer-pasza“.

Tyle Agabekow.

W kilka tygodni potem miałem sposobność rozmawiania w Bucharze z samym Dunowem, który opowiadanie Agabekowa o śmierci Enwera nazwał kłamstwem. Według opowiadania Dunowa tragedia ta miała następujący przebieg.

„Podczas napadu udało się uciec dwom jeźdźcom. Jednym z nich był Enwer-pasza, drugim jego adiutant Sjukjus-bej. Dojechali do źródła Ak-su, znajdującego się w pobliżu kiszlaka Arun-dar. Koło tego źródła wypoczywało już trzech ludzi, a mianowicie Agabekow ze swymi dwoma towarzyszami. Enwera oraz adiutanta jego dzięki uniformom tureckim mógł natychmiast rozpoznać nawet człowiek mniej wtajemniczony niż Agabekow. Właśnie Enwer pochylił się nad skórą barania, z której było zrobione wiadro koło źródła, gdy Agabekow wyciągnął ukrytą pod chałatem szablę turkmeńską i pochylonemu Enwerowi jednym ciosem odrąbał głowę. W następnej chwili ten sam los spotkał zaskoczonoego adiutanta“.

Taki był koniec tureckiego bohatera narodowego, męża, który niezliczoną ilość razy narażał swe życie, służąc ukochanej namiętnie sprawie narodowej oraz własnej ambicji. Miał zaledwie czterdzieści lat, a w ciągu tego czasu zrobił nieprzeciętną karierę i przeżył niewiarogodnie dużo.

Koniec Enwera-paszy był jednocześnie tymczasowym końcem narodowego ruchu w Azji Centralnej.

Wraz ze śmiercią Enwera złamany został cały ruch powstańczy. Tylko kilku pomniejszych wodzów, jak Madamin-beg, Ibrahim-beg oraz Irkasz-bej, prowadziło dalej walkę na własną rękę. Sowietom do dziś jeszcze nie udało się powstrzymać akcji tych fanatyków wolności. Garstka

carskich oficerów, której udało się uratować w bitwie pod Deh-i-Nau, uciekła w góry Pamiru i połączyła się ze wszystkimi odciętymi od całego świata granicznymi posterunkami armii białej.

Potem uciekli wszyscy przez granicę do Chin.

Sowiety nie założyły rąk. Kraj zalały tysiące agitatorów.

Jednocześnie zaś szkolono niemniejszą ilość mahometan na agitatorów w Moskwie. Mieli oni siać komunizm w Indiach, Persji i Afganistanie. Moskwa była najmocniej przekonana, że niewiele będzie z tym pracy w całej Azji, skoro tylko Buchara, ośrodek islamu, będzie przesiąknięta całkowicie duchem komunizmu. I oto gdzie leży klucz od tej tajemnicy, dlaczego Rosjanie trzymają wszystkich cudzoziemców z dala od Turkiestanu. Żyjące wiekową tradycją narody Turkiestanu, które z wielkim trudem zaledwie można było pozyskać dla komunizmu, mają być trzymane z dala od wszelkiego zetknięcia się z Zachodem, dopóki nie przejmą się zupełnie nauką Lenina.

Następnego ranka po przybyciu do Samarkandy spróbowałem dostać się do „towariszcza“ Babajewa, co mi się też udało po szczęśliwym ominięciu wszystkich niebezpiecznych raf na tej drodze. Znajdująca się naprzeciwko wejścia wielka sala, w której niegdyś były okienka bankowe dla publiczności, pełna była biur i ludzi ostentacyjnie zajętych pracą. Gdym akurat rozmawiał z pewnym Rosjaninem, któremu wyluszczałem cel mojej wizyty, spojrzałem przypadkowo na jakieś odleglejsze biurko, przy którym pracował stary mój „przyjaciół“ Dossunianc. Zdawało mi się, że serce przestanie mi bić w piersiach. Człowiek ten kilka lat temu oskarżył mnie przed trybunałem rewolucyjnym i otrzymał na mnie wyrok. Gdyby mnie poznał, wydałby mnie na pewno. Przede wszystkim więc odwróciłem się tak, że stanąłem do niego plecami, i stara-

łem się możliwie prędej opuścić to niebezpieczne miejsce. W cichości ducha nazywałem się największym idiotą, że nie trzymałem się z dala od Samarkandy.

Wreszcie miałem już przepustkę w kieszeni i tak usiłowalem wyjść z sali, aby Dossunianc nie mógł mnie zobaczyć. Wróciłem natychmiast do swego hotelu i poleciłem Choresowi udać się jak najszybciej z listem do byłego jeńca wojennego Kerschbauma. Zresztą wszystko pozostawiłem przypadkowi. W liście do Kerschbauma pisałem, że jestem w Samarkandzie, proszę go jednak, aby mnie nie odwiedzał, poza tym zaś powiadomił natychmiast wszystkich obecnych jeszcze jeńców wojennych, by mnie nie poznawali w razie spotkania się ze mną i w ogóle wyparli się mnie na wypadek konfrontacji.

Potem wróciłem znów do budynku sowieckiego i usiadłem przed drzwiami gabinetu Babajewa czekając na wezwanie. Postanowiłem zachowywać się jak typowy komunist. Gdy mnie wpuszczono do niego, ani nie zdjąłem czapki z głowy, ani nie wyjąłem papierosa z ust. Z pewnymi zmianami opowiedziałem Babajewowi tę samą historię co i jego koledze w Czardżuju. Towarzysz „prezident” (przewodniczący) zdawał się być człowiekiem rzeczowym, wezwał bowiem natychmiast drugiego towarzysza i powiedział mu o mojej propozycji. Obaj zgodzili się z tym, że pomysł mój jest realny i obowiązkowo należy go wyzyskać i wykonać. Gotów był chętnie natychmiast wystawić mi niezbędne dokumenty i spytał, jakie chciałbym mieć wyekwipowanie.

Zażądałem arby z koniem i woźnicą, młota, świdra do borowania skał, powiększającego szkła, dobrej mapy kraju, dwa osły oraz polecenia do miejscowych władz, aby zaopatrywano mnie w środki żywności oraz paszę. Następnie przedstawiłem mu ewentualną moją marszrutę, która przyjęta została bez najmniejszego protestu. Chcia-

łem udać się kolejną do Chodżentu a stamtąd do Kokandy, przez góry Ałaju do Sanku, następnie wzdłuż gór Darwaz aż do chińskiej granicy do Tasz-kurganu. Z Tasz-kurganu droga moja prowadziła wzdłuż Murgabu (nie mylić z Murgabem w Turkmenistanie) do Kalai-Wamaru nad granicą afganistańską. Stamtąd zamierzałem udać się brzegiem rzeki Pendź (początek Amu-Darii) do Kaloi-Chumu i dalej przez Cziki-Dara, Obi-Harm, Fajzabad, Kurgan-Tiube, Szirabad, Guzar, Kerszi i Kassan do Buchary, skąd miałem znów powrócić do Samarkandy. Po drodze pragnąłem wszędzie przeprowadzać badania geologiczne i wyniki ich po powrocie zakomunikować Sowiетom.

Babajew sam wpadł na myśl, że w okolicach lodowców Ałaju i Pamiru będzie bardzo zimno i obiecał postarać się dla mnie o futro i futrzane buty. W ciągu trzech dni wszystko miało być gotowe i miałem się znów zjawić.

Wróciłem do hotelu w doskonałym humorze. Chores odnalazł Kerschbauma i list mu oddał.

Z nastaniem ciemności odważyłem się znów wyjść na miasto, przeszedłem w dół ulicą „Abramowskij Bulwar“, obok zbudowanego przez austriackich jeńców wojennych kościoła i obok koszar piątego pułku, gdzie od roku 1915 do 1920 zmarła niezliczona ilość moich rodaków na tyfus i z głodu; ominąłem znajdującą się po lewej stronie fortecę, gdzie przechowuje się tronowy kamień Tamerlana, tzw. „Kok-Tasz“, i przeszedłem drewnianym mostem do dzielnicy Sartów. Dalej podążyłem przez bazar owocowy i ryżowy, gdzie w kramach panował jeszcze ożywiony handel, do labiryntu meczetów Szach-i-Sinda („Grób Żyjących Królów“).

Tymczasem wzeszedł księżyc i w intensywnym białym jego świetle rozbłysły liczne, pokryte mozaiką kopuły tajemniczym blaskiem. Wszedłem na małe wzgórze naprze-

ciwko cmentarza, upewniłem się, że jestem zupełnie sam, i wyciągnąłem spod kurtki aparat fotograficzny.

W krótkim czasie zrobiłem trzy zdjęcia i znów zeszedłem na drogę, ażeby po przeciwległej stronie dostać się poprzez liczne mogiły — wyglądające jak poprzecinane na wpół beczki — do wejścia prowadzącego do katakumb.

Widziałem już tyle pięknych rzeczy na tym świecie, ale najpiękniejszy jest i pozostanie Szach-i-Sinda. Przy najmniej sto razy odwiedziłem kiedyś to miejsce i zawsze potem marzyłem, żeby je jeszcze raz zobaczyć.

Szach-i-Sinda jest najpiękniejszą i najwznioślejszą budowlą sztuki islamu, której zniszczyć nie waży się nawet natura.

Wszystkie stare budowle Samarkandy w mniejszym lub większym stopniu padły już ofiarą niszczącego zęba czasu: rozwaliły się minarety, zawaliły sklepienia, odpadają cudowne mozaiki fasad o białych, niebieskich i zielonych kolorach, odsłaniając żółte mury z gliny, które upiększały.

Inaczej ma się rzecz z Szach-i-Sinda. Cudownym niebieskim kolorem lśnią jego kopuły i portale, ściany i nisze. Obite brązem otwarte drzwi, z nieprawdopodobnie pięknymi ornamentami rzeźb, pomalowane na intensywny kolor, zachowały się tak dobrze, jakby je niedawno dopiero wykonano. Rzędami stoją tu kopuły i w każdej z nich spoczywa zapomniany już dzisiaj święty.

Księżyc wysoko płynął po niebie i w białej jego poświacie, niby w jakimś magicznym blasku, zanurzyło się stare cmentarzysko.

Na końcu alei cmentarnej stoi ostatni, najpiękniejszy meczet. Znajduje się w nim święta studnia, z której mają prawo czerpać wodę tylko mułowie.

Księżyc świecił przez otwarte drzwi i promienie jego akurat sięgały do kraty alabastrowej, przykrywającej



Bawełna złożona na brzegu Amu-Darii pod gołym niebem.



Zakończenie zbioru bawełny obchodzi się uroczyście.



Nija Karban Neppes, ostatni rzekomo potomek Timuridów.

studnię. Usiadłem pod tylną ścianą na kamiennej ławie i stąd mogłem patrzeć na całą aleję grobów. Wiszące na palach buńczuki trzepotały lekko na wietrze, rzucając na ściany widmowe cienie. Zanim się spostrzegłem, zasnąłem.

Nagle zdjął mnie potworny strach. Tupot wielu bosych stóp, głosy i szczęk oręża wypełniły cmentarzysko. Aleją zdążał niezwykle pochód. Na czele jego szedł wielki mężczyzna z szablą w garści, w zielonym turbanie i wspaniałej szacie, mocno obryzganej krwią. Za pasem miał wiele starodawnych pistoletów i pugińców. Również i jego mniej wspaniale odziani towarzysze sprawiali wrażenie bohaterów przeszłości, którzy wstali z grobów. Z potwornym lękiem wcisnąłem się w kąt, żeby mnie nie spostrzegł kto z tego dzikiego tłumu.

Tajemnicze postacie zbliżały się.

Naraz zatrzymały się o kilka kroków przede mną, obok kraty studni. Kilku ludzi pochyliło się, podniosło ciężkie pokrycie z białego alabastru i prowadzący tłum mężczyzna zniknął we wnętrzu studni. Kompani jego położyli znów kraty nad otworem i oddalili się w kierunku, skąd przyszli.

Cichy i samotny leżał cmentarz Szach-i-Sinda znów przede mną, gdym... się obudził. Wrażenie krótkiego snu było tak mocne, że zlany potem pobiegłem ku wyjściu.

Gdym zeskakiwał po stopniach, o małym się nie przewrócił potraciwszy jakiegoś mułłę, który w dostojnej kontemplacji patrzył ponad setkami grobów hen w przestrzeń.

Ku mej radości mułła zatrzymał mnie. Siadłem obok niego zadowolony, że mam przed sobą człowieka z krwi i kości. W niepewnych słowach opowiedziałem mu swój sen. Starzec uśmiechnął się.

— Allah okazał ci swą łaskę, cudzoziemcze. To coś

widział, nie było snem, lecz ucieczką Kasima, kuzyna Mahometa, którego armia została rozbita. Kasim od tego czasu zamieszkuje w tej studni i w każdą rocznicę ukazuje się na powierzchni ziemi. Widziało go już wielu ludzi, ale nie widział go dotychczas żaden niewierny. Ty jesteś pierwszy.

Ucisnąłem dłoń starca i podążyłem ku miastu. Na jakimś wzgórzu obróciłem się jeszcze w kierunku Szach-i-Sinda. Kopuła meczetu, w którym zamieszkuje mahomekański Barbarosa, oraz kopuła nad grobem Oldża-Ainy (mamki Tamerlana) zlewały się w świetle księżyca z tą, pod którą spoczywa najstarsza siostra Tamerlana, Czodżuk-Bika, w symfonię białej, niebieskiej i żółtej barwy. Zapewne po raz ostatni w moim życiu widziałem mauzolea żyjących królów, ale dopóki mi tchu starczy w piersi nie zapomnę o ich pięknie oraz snu o Kasimie i dziękować będę Stwórcy, że sążone mi było ujrzeć cmentarz Szach-i-Sinda.

Pochłonął mnie wysoki gaj strzelistych topoli. Pogrążony w myślach doszedłem mimo woli do grobu Tamerlana. Spojrzałem na wysoką, dumną, błyszczącą niebieską mozaiką kopułę, nad której wierzchołkiem właśnie przystanął księżyc. Czyżbym już nie zdołał tej nocy uwolnić się od zmarłych? W glinianej chatce nie opodal zobaczyłem jeszcze światło i zapukałem w okiennicę. Wyszedł stary muła w zielonym turbanie (znak, że był w Mekce) i powitał mnie bez zdziwienia, jakby to było zjawisko codzienne, że jakiś cudzoziemiec przychodzi w nocy zwiedzić grób Tamerlana.

Przez ciemny korytarz weszliśmy do wnętrza mauzoleum.

W otoczeniu kilku białych grobowców stoi zielony nefryt bezcennej wartości (największy kamień tego gatunku, jaki zna świat). Grób otacza krata z cudnie rzeźbio-

nego alabastru. W jednym z rogów stoi olbrzymi, sięgający niemal wzrostu ludzkiego, basen z brązu, otoczony wieloma słupami z buńczukami.

Wielki nefryt jest pośrodku pęknięty.

Legenda mówi, że pewnego dnia Tamerlan, oburzony niezgodą swych poddanych, chciał wstać z grobu, ale nawet jego olbrzymia siła za mała była jeszcze na to, aby zsunąć ten blok kamienny na bok: zdołał go tylko rozłupać.

Bratanek jego Ulug-beg, pod panowaniem którego potęga Timurydów załamała się, kazał na tym grobowcu wyrycić słynne słowa: „Gdybym żył jeszcze, świat drżałby przede mną“.

Przy świetle pochodni stary mułła poprowadził mnie do lochu pod salą kopułową, gdzie znajdują się właściwe groby Timurydów.

W obliczu grobu największego władcy Azji spytałem mułłę, czy to prawda, że Tamerlan pogrzebany jest w Bucharze? Starzec tylko uśmiechnął się lekceważąco.

„Tamerlan spoczywa tutaj i nigdzie indziej. Bucharzy podają swego świętego Baka-ud-dina za Tamerlana. Oto wszystko“.

Starca cieszyło moje zainteresowanie historią Samarkandy i ze swej strony zapytał mnie, jakiego jestem wyznania. Gdym mu powiedział, że jestem chrześcijaninem, zaproponował mi pokazanie grobu Daniela (Daniela w lwiej jamie?). Ponieważ już kilka lat temu słyszałem o tym tajemniczym grobie, zgodziłem się chętnie jeszcze tej nocy zrobić tę wycieczkę.

Wkrótce dosiedliśmy wierzchowych osłów mułły, które głośnymi okrzykami „chr-chr“ popędziliśmy w pustynię.

Droga prowadziła obok olbrzymich ruin Bibi-Chanum, największego niegdyś i najcenniejszego meczetu całej Azji. Wkrótce pozostawiliśmy za sobą ostatnie domy

dzielnicy Sartów i kłusowaliśmy przy wspaniałym oświetleniu księżycowym przez niezmierną pustynię. Stary mówił bez obawy o szkodzie, jaką wyrządza islamowi nauka komunistyczna, która odsuwa właśnie młodzież od wiary Mahometa. Młodzi ludzie w piątek nie uczęszczają do meczetu. Zmniejszyła się również i liczba uczni w szkołach meczetowych i, zdaniem jego, islam nieuchronnie upadnie, jeżeli wkrótce nie zjawi się jakiś Tamerlan lub Mokhana, aby go ratować.

Na tych rozmowach czas nam zbiegł tak szybko, że byłem zdumiony, gdy muła zatrzymał swego osła i wskazał przed siebie. Przed nami na piasku pustyni leżał niski, mający jakieś dziewięć metrów długości, sarkofag. Według legendy, ciało Daniela stale rośnie i po osiągnięciu przewidzianej wielkości ma zmartwychwstać. Z tyłu poza grobem grunt stromo spadał w dół i w skale wydrążona była nisza z kamiennymi miskami, w których podróżni pielgrzymi składają żywność dla zmarłego. W głowach grobowca, który był zwrócony na zachód, stoją wysokie pale z czarnymi buńczukami, w nogach zaś leży brązowa tablica z napisem kufickim. Wokoło leżą zwykłe kamienie, które przesuwają się w miarę jak Daniel rośnie. Te z gruba ociosane kamienie tworzą czworobok, mający jakieś dwaście metrów długości i trzy metry szerokości. Na pojedynczych kamieniach widniały prymitywne podobizny ryb, czyli rysunki, jakie wyznawcy Chrystusa podczas prześladowania chrześcijan w Rzymie rysowali na piasku jako znak niemego porozumiewania się.

Jak mi objaśniał muła, Daniel rośnie co rok kilka centymetrów i dlatego kamienny czworobok corocznie nieco się powiększa. Nie opodal rośnie święte drzewo, którego dotknięcie ma leczyć trąd. Próbowałem dowiedzieć się od mego towarzysza wycieczki czegoś bliższego o kulcie Daniela, nic jednak nie mogłem wskórać. Twierdził, że

sam nic więcej nie wie, a tego co wiedział, nauczył się w szkole Ulud-beg przy meczecie i więcej nie wiedział jego nauczyciel.

Czyżby legendy, które przesuwają raj w pobliże Samarkandy, miały być nie tylko legendami?

Noc przechodziła już w szary świt ranka, kiedym obok Gur-Emir zsiadł z osła i pożegnał się z mułłą. Pieszko udałem się dalej przez budzące się miasto.

ZAARESZTOWANY

Po przyjściu do hotelu kazałem Choresowi podać herbatę i położyłem się jeszcze na kilka godzin. Niedługo jednak sądzone mi było wypoczywać. Obudził mnie zdernerwowany Chores i oznajmił, że przed drzwiami stoi dwóch milicjantów, którzy mają do mnie interes.

Ucieczka byłaby bezcelowa, a co gorsze — niebezpieczna. Jedno mogło mnie jeszcze uratować z podobnie ciężkiej sytuacji — bezczelność. Toteż ubrałem się i poprosiłem, żeby ci panowie weszli. Do pokoju wkroczyło dwóch Sartów-policjantów i zażądali, żebym udał się z nimi do Nadzwyczajnej Komisji Śledczej, ponieważ towarzysz Sorin niezwłocznie chce się ze mną rozmówić.

Przerażenie moje nie miało granic. Nie zdradzałem jednak tego na zewnątrz i udawałem najzupełniejszy spokój. Owszem, natychmiast zgodziłem się iść z milicjantami.

Biura G. P. U. znajdowały się na rogu ulicy Katta-Kurgańskiej i Nikołajewskiej. Tam policjanci wprowadzili mnie do pokoju.

Towarzysz Sorin spytał mnie przede wszystkim o nazwisko oraz cel zatrzymania się w Samarkandzie. Udzieliłem mu żądanych wiadomości i spytałem ze swej strony o cel sprowadzenia mnie do jego biura. Sorin odparł, że każdy cudzoziemiec, który zatrzymuje się w hotelu, wzywany bywa do udzielenia wiadomości o swej osobie. Odechnąłem już z ulgą, gdy mnie Sorin spytał mimochodem, czy znam Samarkandę z dawnych czasów.

— Owszem — odparłem — byłem przecież umieszczony jako jeńiec wojenny w koszarach dwunastego pułku.

Spytał więc znów, czym nie pracował w fabryce Gorenberga.

Na to pytanie odpowiedziałem przecząco i oświadczyłem, że natychmiast po wybuchu rewolucji komunistycznej wyszedłem z obozu jeńców i przyłączyłem się do internacjonalistów. Z kolei Sorin przywołał jednego z policjantów do siebie i coś mu szepnął do ucha. Człowiek ten wyszedł z pokoju i po kilku minutach wrócił z Dossuniancem. Wtedy komisarz znów się zwrócił do mnie.

— Czy znacie tego towarzysza?

— Nie!

— Czy znacie byłego jeńca wojennego nazwiskiem Krist?

— Nie!

— Towarzyszu Dossunianc, czy znacie tego towarzysza cudzoziemca?

— Tak, z całą pewnością. Jest to towarzysz Krist, który w roku 1920 był skazany za akcję kontrrewolucyjną.

— Czy to się zgadza, czy jesteście towarzyszem Kristem?

— Już wam powiedziałem, że nie jestem tym, za kogo mnie bierzecie, i nie znam również tego towarzysza. Widzę go po raz pierwszy w życiu.

— Kiedy zostaliście zdemobilizowani z czerwonej armii?

Było to niezwykle drażliwe pytanie, ponieważ nigdy nie służyłem w czerwonej armii. Jeżeli dam komisarzowi sposobność brania mnie w krzyżowy ogień szczegółowych pytań, jestem zgubiony. Odpowiedziałem więc szybko.

— Zaraz po bitwach pod Kizil-Arwatem. Zostałem raniony i po wyjściu ze szpitala poszedłem do pracy w warsztatach kolejowych.

— Gdzie pan został raniony, towarzyszu?

— W udo — ściągnąłem spodnie i pokazałem mu bliznę po kuli, którą otrzymałem w 1914 roku nad Sanem.

— A cóż robicie w Samarkandzie?

— Studiowałem geologię i chciałem dla Uzbekistanu wykrywać skarby zawarte w ziemi. Jeżeli zechcecie się poinformować, dowiedcie się, że już wczoraj byłem w tej sprawie u towarzysza Babajewa.

— Czy macie w mieście znajomych?

— Nie, nikogo!

— Ponieważ obecny tu towarzysz twierdzi, że poznał w was dawnego jeńca wojennego Krista, muszę was do wyjaśnienia całej sprawy zatrzymać w więzieniu. Będziecie dobrze traktowani. Jeżeliście jednak powiedzieli nieprawdę i jeżeli odkryjemy w was szpiega, niech się Bóg nad wami wtedy zlituje.

Dwaj policjanci otrzymali od Sorina rozkaz pisemny i wyprowadzili mnie z tego domu. Starąłem się, aby nie zauważono, że bardzo dobrze znam miasto, i ciekaw byłem, dokąd mnie poprowadzą. Szliśmy w górę ulicą Katta-Kurganską, zawróciliśmy następnie na prawo w ulicę Gładbeszińską i w kilka minut potem zatrzymaliśmy się przed małym domem, przed którym na warcie stało kilku policjantów Sartów.

W kancelarii odebrano mi dowody osobiste i następnie zaprowadzono do aresztu, którego podwójna prycza była szczelnie zajęta. Bardziej międzynarodowego towarzystwa nie widziałem nigdy w życiu. Kirgizi, Sartowie, bucharscy Żydzi, Rosjanie, Turkmeni, Armeńczycy, Hindusi, Afgańczycy, Cyganie, Persowie, Tatarzy a nawet Chińczycy należeli do tego zespołu narodów.

W tym małym pomieszczeniu znajdowało się c-a 60 osób, a mogło być ono przeznaczone najwyżej dla dwudziestu pięciu aresztantów.

Zaznajomiony, niestety, wystarczająco z obyczajami

a właściwie nieobyczajami więzień turkiestańskich, skierowałem się do jednego końca pryczy i odsunąłem leżącego tam Kirgiza na stronę, w ten sposób zdobywając sobie przynajmniej miejsce. Przy rewizji w kancelarii nie zabrano mi nic oprócz pistoletu. Miałem więc ze sobą pieniądze i mogłem sobie kupić jedzenie.

Po południu wezwano mnie do kancelarii i dwaj policjanci znów mnie odprowadzili do G. P. U. Gdym wszedł do pokoju, stał tam Kerschbaum oraz trzej inni pozostali w Samarkandzie byli jeńcy wojenni. Ludzie ci spojrzeli na mnie, ale ani jeden mięsień nie drgnął im w twarzach, jakby zobaczyli kogoś najzupełniej nieznanego.

Sorin zwrócił się do czterech moich przyjaciół.

— Towarzysze, byli jeńcy wojenni, czy znacie tego towarzysza?

— Nie — padło jakby z jednych ust.

— Czyście nigdy przedtem nie widzieli tego towarzysza?

Czterokrotnie nie! List wysłany do Kerschbauma zrobił swoje i przyjaciele zawczasu byli poinformowani.

Sorin zwrócił się teraz do mnie.

— Towarzyszu Steinschneider, jesteście wolni i możecie wrócić do swego hotelu. Zdaje się, że towarzysz Dosunianc mocno się pomylił, uważając, że poznał was na Abramowskim Bulwarze. Proszę mi wybaczyć, ale przekonaliście się, że się pośpieszył z wyjaśnieniem tej sprawy.

Zwróciłem się teraz do komisarza o zaświadczenie, że zostałem zwolniony, ażebym mógł odebrać w areszcie pozostawioną tam broń. Poprosiłem również o przewodnika do aresztu, ponieważ nie orientuję się dobrze w mieście.

Czterej Austriacy oświadczyli, że chętnie gotowi są zaprowadzić mnie do aresztu. Dzięki temu mogliśmy bez podejrzeń pozostać razem. Dziękowałem Bogu, że komisarz był albo za leniwy, albo za głupi, aby dowiedzieć się

o mnie w Kizil-Arwacie. Odpowiedź stamtąd, że Steinschneider leży w szpitalu, mogłaby mnie w tych warunkach kosztować życie.

Wyszukałem z przyjaciółmi znajdującą się na ustroniu jadłodajnię i tam rozmawialiśmy kilka godzin z rzędu o minionych czasach, które spędziliśmy razem, i o tym, co działo się tutaj aż do dziś, po moim wyjeździe do ojczyzny. Dawniejsi moi towarzysze obozowi rozpytywali się dokładnie o stosunki w ojczyźnie, której żaden z nich nie zapomniał i do której w gruncie rzeczy wszyscy tęsknili.

Po spotkaniu naszym w policji nie było już powodu unikać widzenia się i Kerschbaum zaprosił mnie na wieczór do siebie. Następnie inni pożegnali się, a Kerschbaum udał się ze mną do aresztu, gdzie bez najmniejszego sprzeciwu otrzymałem swój pistolet.

Wieczorem w mieszkaniu Kerschbauma obchodziliśmy święto spotkania. Oprócz czterech Austriaków oraz ich żon przyszedł jeszcze pewien Węgier. Musiałem odpowiadać na setki pytań o stosunkach w Austrii. Wszyscy mieli tu błędne pojęcie o państwach sukcesyjnych i państwach zwycięzców, ponieważ pisma rosyjskie podawały niejasne i nieprawdziwe wiadomości o Europie.

A chociaż sam już znów od trzech lat nie byłem w ojczyźnie, mogłem jednak mym kamratom, którzy od r. 1914, a więc od jedenastu lat nie byli w Europie, opowiedzieć wiele nowego.

Gdym się żegnał z tymi miłymi ludźmi, było już późno i znajdowaliśmy się w doskonałych humorach. Dobre turkiestańskie wino zrobiło swoje. Wszyscy żegnając się radzili mi jeszcze szczerze możliwie szybko wynosić się z Samarkandy. Skoro tylko już zejść z oczu władzom i będę w drodze, ani pies się o mnie nie zatroszczy. Podziękowałem im za wszystko, co dla mnie uczynili.

Po przyjsciu do hotelu uspokoilem zaniepokojonego o mnie Choresa i polozylem sie spać, mialem bowiem juz dwie noce do odespania.

Trzeciego dnia zglosilem sie do sowietu i musze z uznaniem powiedziec o wladzach Uzbekistanu, ze wszystko bylo gotowe i nalezycie przygotowane. Nawet bilet kolejowy, za ktorym mialem jechać przez Czernajewo (dziś Ursatewskaja) i Chodżent do Kokandu, lezał gotowy. Przed dworcem czekał juz dżigit z osłem i wyekwipowaniem, gdy arbę i konia mialem otrzymać dopiero w Kokandzie.

Rzadko z taką przyjemnością opuszczalem jakieś miasto, jak tym razem Samarkandę. Przestрах z powodu ukazania się na widowni Dossunianca oraz zaaresztowanie przyprawiły mnie o mocny wstrząs nerwowy.

PRZEZ DENGIZ-BEJ DO BUCHARY

W kokandzkim sowiecie spotkała mnie przykra niespodzianka. Dowiedziałem się bowiem, że żądana arba wraz z koniem i paszą skierowana została już przez Skobelew do Suchany, leżącej przy drodze żelaznej Kizil-Kija. Memu żądaniu odwołania arby lub dostarczenia mi innej kategorycznie odmówiono. Musiałem więc jechać dalej koleją przez Gorczakowo, żeby trafić na połączenie z Suchaną. W Kokandzie musiałem czekać trzy dni, zanim zdyuszany pociąg przywłókł się.

Zmęczony upałem, zasnąłem w wagonie mimo wrzasków jadących ze mną Sartów i ku memu przerażeniu obudziłem się dopiero na stacji Fedżenko. Minąłem zatem stację, do której jechałem.

Aby nie czekać znów trzy dni na powracający pociąg, wynająłem arbę do odległego o 31 kilometrów Gorczakowa. Miałem szczęście, bo następnego dnia odchodził właśnie stamtąd pociąg przez Skobelew do Kizil-Kija.

Wąskotorówka grzechocząc sunęła przez pustynny krajobraz doliny ku góróm Ałaju. Na południu błyszczały w porannym słońcu Pik-Baba i lodowiec Serafszan, za nimi zaś piętrzyły się sięgające 7.000 metrów wysokości szczyty łańcucha górskiego „Piotr Wielki“.

Po pięciogodzinnej jeździe maleńki pociąg zatrzymał się w Suchanie.

W Kizil-Kija podczas wojny światowej pracowało w kopalniach węgla kilka tysięcy Austriaków, Węgrów i Niemców, wiele zaś tysięcy jeńców wojennych zmarło od chorób i głodu w okolicach Fergany.

Najpotworniejszy los spotkał jednakże tych 180 jeńców wojennych, którzy podczas powstań tubylców maszerowali z Oszu (w maju 1919) do Andiżanu, ażeby stamtąd przedostać się do wiele bezpieczniejszej Samarkandy.

Banda rabusiów Sartów pod dowództwem Chodżychana napadła na bezbronnych jeńców i po strasznych męczarniach podcięto im gardła nad brzegiem Amu-Darii. Ciała wrzucono do rzeki, którą według opowieści mieszkańców wybrzeża przez wiele dni płynęły jeszcze poodcinane członki nieszczęsnych Austriaków.

Istotnie, w Suchanie czekała mnie gotowa do drogi arba. Naładowaliśmy na nią przyrządy i jakiś dżigit zajął miejsce woźnicy. Ja z Choresem dosiedliśmy naszych osłów. Podczas największego żaru południowego ruszyłem ze swą karawaną ku nieznanym celom.

W kiszlaku Udż-Kurgan mieliśmy przenocować po raz pierwszy. Przed nami piętrzyły się góry Ałaju, pnące się wprost z równiny wzwyż bez żadnego przejścia stromymi, niemal pionowymi ścianami skalnymi. Przez jakiś niesamowity mroczny wąwóz czy po prostu z przepaścistej rozpadliny wystrzela na równinę rzeka Izfairan. Jedyne wąziutka droga prowadzi obok niej w dolinę. Hen wysoko w górach obok schroniska Dżatrabadu wpada do Izfairanu mała ciemnoczerwona rzeczulka, która po drodze swej wypłukuje wielkie złoża cynobru i niesie ze sobą farbę. W piękne dni woda jest jaskrawoczerwona, chociaż nie jest przez to zanieczyszczona; po dniach deszczowych natomiast kolor ten zmienia się na ciemnoczerwony i cały Izfairan wygląda wtedy jak rzeka krwi.

Było już ciemno, gdyśmy dojechali do Udż-Kurganu, leżącego pośrodku wielkiej żyznej doliny, i rozłożyliśmy się obozem.

„Rozłożyliśmy się obozem“ właściwie nie jest odpowiadającym prawdzie określeniem i brzmi nieco pretensjo-

nalnie, ponieważ położyliśmy po prostu kołdry na trawie i obóz był gotów. Chores ugotował wspaniałą pilaw a potem herbatę. Osły i konia dżigit przywiązał do drzewa i kiedy szkapa była trochę niespokojna i ciągnęła linkę, z drzewa spadały nam na głowy soczyste morele, któreśmy zjadali z rozkoszą.

Rankiem zobaczyliśmy, że znajdujemy się w niewielkim acz najwidoczniej zamożnym osiedlu Sartów. Otaaczały nas bogate pola zbożowe oraz ogrody owocowe; uprawiano tu nawet ryż i zdawało się, że wegetował on dobrze. Niebawem mężczyźni i dzieci otoczyli nasz obóz. Tu i ówdzie ukazała się nawet zakwefiona kobieta; na ogół biorąc ruch wolnościowy zdawał się zatrzymywać przed górami, gdyż kobiet z odsłoniętymi twarzami, tak jak w Samarkandzie i innych miastach, tutaj jeszcze nie spotykało się.

Aksakal kiszłaku skarżył mi się, że całe stado dzikich świń pustoszyło im pola ryżowe, i prosił mnie, abym je wystrzelał. Chętnie się zgodziłem i udałem się z Choresem na plantację ryżową, która była nawodniona rowami idącymi od rzeki Izfairanu.

Już na skraju moczaru usłyszeliśmy chrząkanie czarnych dzików oraz chrzęst krzewów ryżowych, które świny podrywały ryjami i deptały. W charakterze naganki poszło z nami kilku młodych Sartów. Weszli z przeciwległej strony na pole ryżowe i krzycząc pędzili na nas dziki. Kilka warchlaków rzuciło się na przód przez pole i trafione celnie, zostały na miejscu. Dwie maciory, które biegly za nimi, spotkał ten sam los. Z kolei wypadł z głośnym chrząkaniem potężny odyniec, którego natychmiast wzięłem na muszkę. Huknął strzał. Widziałem wyraźnie, jak z grzbietu dzika posypał się kurz i brud, kiedy trafiła go kula. Na chwilę zatrzymał się, głowę zwrócił ku mnie i z odległości jakich trzydziestu metrów ujrzałem chytre jego ślepki

oraz dwa potężne kły. Repetowałem szybko, aby ponownie wystrzelić, ale wyskoczyła tylko wystrzelona już gilza. Magazyn był pusty. Tymczasem odyniec wydostał się na twardey grunt, chrząknął groźnie i ruszył wprost na mnie. Pośpiesznie wsunąłem w karabin nowy magazyn i uskokczyłem w bok. Zanim zdążyłem jeszcze wystrzelić, dzik przemknął obok mnie i niemal tuż za mną ktoś krzyknął.

Gdym się obejrzał, zobaczyłem Choresa na ziemi, ale odyniec pędził już o jakieś dwadzieścia metrów dalej. Złożyłem się i dałem do niego kilka strzałów. Zwierzę zważyło się.

Chores został fatalnie przez dzika zraniony. Atakujące zwierzę rozdarło mu kłem nogę od kolana aż po brzuch i to tak dalece, że widać było kość. Z rany spływał strumień krwi. Rozciąłem nogawicę spodni i porobiłem z niej pasy, którymi owinąłem zranioną nogę. Nie udało się jednak zatamować krwi.

Z pomocą Sartów odniosłem na wpół przytomnego Choresa do obozu. Za materiał opatrunkowy posłużyła mi zmiana bielizny. Tym bandarzem obwiązałem mocno nogę nieszczęśliwcowi. Ułożyliśmy na arbie wszystkie nasze kołdry, przywiązaliśmy mocno powrozami Choresa i pochód nasz udał się w drogę do Kizil-Kija.

Lekarz kopalni zajął się natychmiast Chorem, pochwalił mój doraźny zabieg i ułożył rannego w chacie.

Ale w dwa dni potem przyjaciel mój umarł.

Nie odzyskawszy przytomności odszedł do swych przodków na te pola, gdzie nie hulają już ani rozbójnicy, ani komuniści.

Po tym tragicznym wypadku, który mnie dotknął do żywego, rozmyślałem poważnie, czy nie byłoby lepiej poniechać całej tej podróży i wrócić do Persji. Potem jednakże pomyślałem sobie, że z tego nikt nie osiągnąłby żadnej korzyści. Biednemu Choresowi nie można już było

wrócić życia, a główna część mego planu podróźniczego została by nie urzeczywistniona.

Odesłałem arbę z woźnicą i postanowiłem sam udać się w dalszą podróż. Bagaż naładowałem na jednego osła, drugi zaś miał mi służyć za wierzchowca.

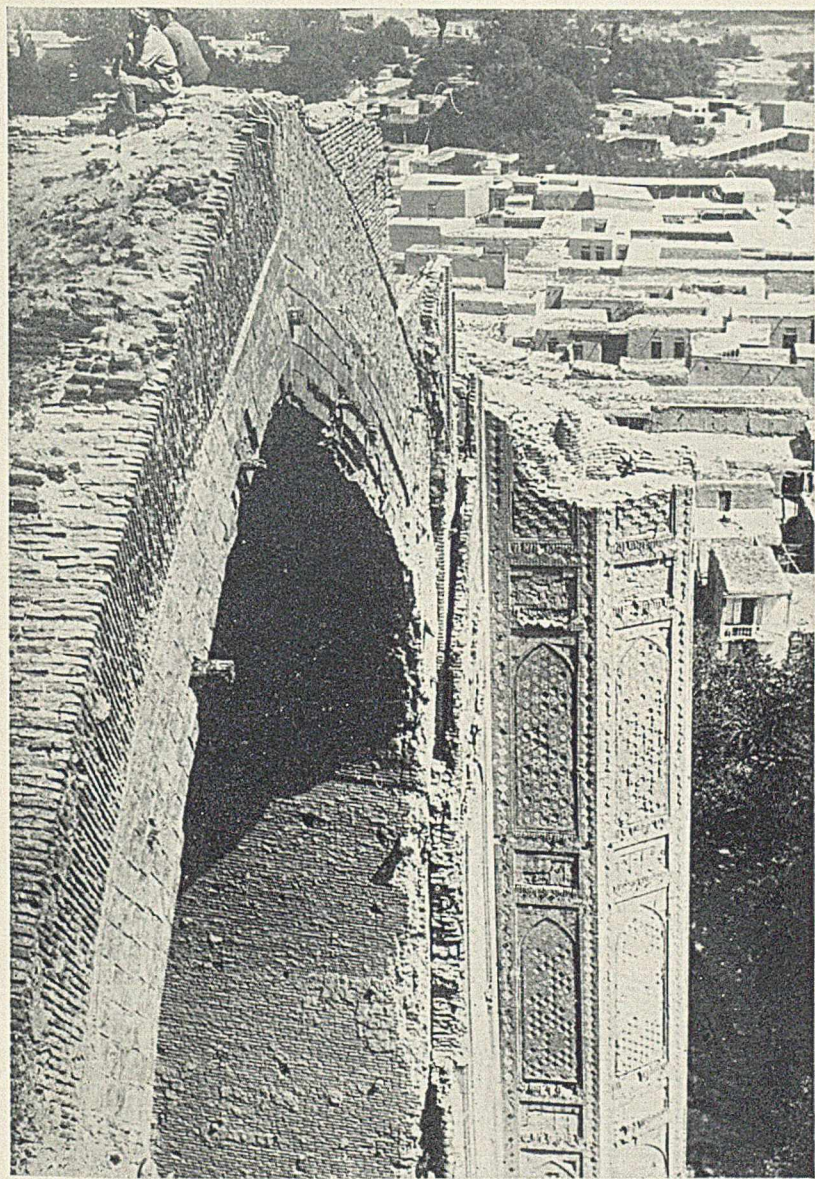
I oto znów wyjechałem z mymi dwoma szarymi zwierzętami z Kizil-Kija, dążąc ku górcom. Rosyjskiego lekarza poprosiłem o odesłanie rzeczy Choresa Alim-Kuli, który w swym oddalonym o 3.000 kilometrów aule został zapewne zdruzgotany wiadomością o śmierci syna.

Z nastaniem ciemności dotarłem do Udzi-Kurganu i przenocowałem w herbaciarni.

O ile z początku dolina rzeki Izfairanu wyglądała niegościnnie i ponuro, o tyle była wspaniała i żyzna dalej. Rozszerzała się i obficie rodzące pola oraz ogrody owocowe ciągnęły się na przemian z soczystymi łąkami, na których pasły się wielbłądy, osły, konie, owce i bydło. Droga często krzyżuje się tu z rzeką za pomocą najprymitywniejszych mostów z nie związanych niczym bierwion. Często też musiałem wiązać osły na sznur i sam najpierwej przechodzić po chwiejącej się kładce, pod którą Izfairan rycząc pędził z zawrotną szybkością, a następnie przeciągać uparte zwierzęta z całych sił przez most.

Na drugi dzień dojechałem do wsi Karaul, o którą w czasie pierwszych prób wkroczenia Rosjan do Buchary toczyły się zacięte walki.

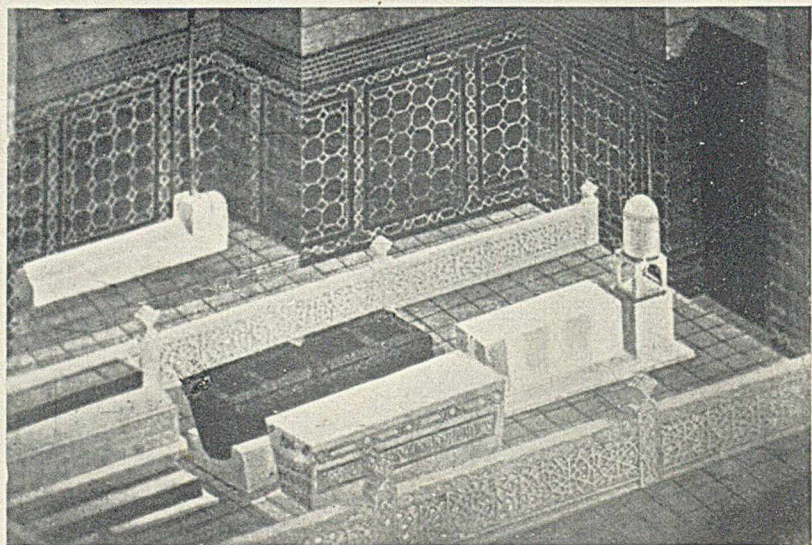
Tuż przed kiszlakiem znajdował się tylko przez przypadek chyba trzymający się most i osły znów odmówiły mi posłuszeństwa. Nic nie zdołało ich skłonić do przejścia po cienkich gałęziach. Mając już doświadczenie przywiązałem je na linkę, przeszedłem na drugi brzeg rzeki i zaczepiwszy ją tam o jałowiec zacząłem mocno ciągnąć. Udało mi się wprawdzie głupie zwierzęta wprowadzić na most, ale tu zaparły się wszystkimi nogami i nie można



Brama medressy Bibi-Chanum w Samarkandzie, mająca 25 metrów wysokości i 16 metrów szerokości.



Arba turkiestańska.



Ciemny kamień pośrodku, największy na świecie blok nefrytu, jest nagrobkiem Tamerlana.

już było ruszyć ich z miejsca. Wtedy jednego z nich odwiązałem i odprowadziłem z powrotem na brzeg w tej nadziei, że w pojedynkę uda mi się łatwiej zmusić je do przejścia przez most. Pierwszy osioł nie mógł sam oprzeć się sile linki i doszedł mniej więcej do połowy mostu, gdzie znów wparł się mocno kopytami. Gdym nagle pociągnął go mocno linką ku sobie, zmurszałe gałęzie załamały się, osioł wpadł w dziurę i zawisł teraz w powietrzu pomiędzy mostem a wodą.

Nic nie pomogły moje wysiłki wciągnięcia z powrotem osła na most. Udawanie się po pomoc do kiszlaku, odległego o pół godziny drogi, nie miało celu. Z całą pewnością bowiem przez ten czas osioł udusiłby się, gdyż miał linkę przerzuconą przez kark i brzuch. Przyniosłem więc pień drzewa z oparcia mostu, położyłem go w poprzek nad dziurą i przymocowałem do niego jeden koniec linki, następnie ze znaną mi dobrze z doświadczenia techniką wspinaczki w Alpach austriackich spuściłem się po linie do osła. Z wielkim trudem udało mi się wreszcie odczepić z jego grzbietu ładunek i umieścić go bezpiecznie, po czym wyciągnąłem nóż i przeciąłem linkę, na której wisiał osioł.

Z żalem patrzyłem, jak mój czworonogi towarzysz podróży ginie w falach Izfairanu, który w swym wartkim prądzie uniósł hen szamoczące się szare ciało.

Musiałem teraz przede wszystkim poprawić most i przeprowadzić drugiego osła, co po wielu godzinach pracy udało mi się wreszcie.

Na miejscu starych rozwalonych chat Kara-ulu wybudowano nowe wesole domki z gliny. Jednakże i w tych nowych budowlach nie było okien, lecz proste otwory zamknięte drewnianymi okiennicami. Natomiast wnętrza chat były wybielone i utrzymane czysto.

Budownictwo w Azji Centralnej, a mianowicie w Turkiestanie i w Bucharze, jest odwieczne i najzupełniej pry-

mitywne. Podmurowania w naszym znaczeniu tego słowa nie ma. Przed placem, na którym ma się wznosić zamierzona budowla, wykopuje się dół, do którego podczas kopania wpuszcza się ciągle wodę. Z rozmoczonej w ten sposób gliny robi się za pomocą drewnianej formy cegły, które wysychają po prostu na słońcu, gdy sama glina służy podczas budowy za zaprawę murarską.

Kiedy już mury wyciągnięto na wysokość trzech metrów, układa się na nich cienkie, nie obrobione pnie srebrnych topoli. Na te położone nieco na ukos krokwie dachu układa się maty lub słomę i całość smaruje się warstwą gliny trzydziestocentymetrowej grubości. Glinę tę miesza się z pokrajaną na sieczkę słomą, aby dodać jej trwałości.

Gliniasta ziemia, składająca się przeważnie z lössu, dzięki operacji słońca staje się w ciągu kilku miesięcy tak twarda, że więcej jest odporna na zmiany pogody niż kamień lub wypalona cegła. Domy takie mają nieraz po kilkaset lat.

Ale i dół, z którego wydobyto materiał budowlany, nie pozostaje bez celu. Stanowi on na przyszłym podwórzu i w ogrodzie niezbędny i zawsze obecny staw, tzw. *chaus*, dostarczający wody do gotowania, prania tudzież podlewania kwiatów i drzew.

Przez całe lato tubylcy spędzają wolny czas oraz nocę na brzegu *chausu*. Tutaj pije się herbatę, jak i śpi.

Częstokroć również nadbudowuje się na płaskim dachu taras (*bala-chana*) z cienkich drągów, który przykrywa się dachem z trzciny. Wchodzi się na taki taras po prymitywnej drabinie. Dłużej pozostających gości przeważnie umieszcza się tutaj.

Z *chausu* przeprowadza się wiele rowów służących do nawodnienia.

Z wykopanej gliny buduje się mury otaczające dom

każdego Sarta i sięgające nieraz pięciu metrów wysokości, ażeby uniemożliwić niepowołanym wglądanie w obce życie rodzinne.

Zarówno futryny jak i ramy okienne są tu nieznane (zawiasy okienne są wmurowane), nieznane są również i piece. Zwykle pomieszczenie posiada jedyny otwór, który służy za drzwi i okno. Oczywiście, izby mieszkalne są w ziemi i w porze deszczowej całkowicie ciemne, ponieważ okiennice pozostają zamknięte. Oświetla się to pomieszczenie świecami, a w większych miejscowościach lampami naftowymi, częstokroć jednak tylko prymitywnymi lampkami oliwnymi, jakich już używano w dawnej Grecji i Rzymie. Zwyczajne miseczki z gliny napelnia się oliwą bawelnianą, knot zaś stanowi skręcona mocno bawełna.

Zima trwa przeciętnie trzy miesiące. Ażeby się zabezpieczyć przed zimnem, mężczyźni i kobiety wkładają na zwykłe letnie ubrania jeszcze watowane chałaty. Lepiej sytuowani ubierają się w szuby, które niejednokrotnie są bardzo drogie.

Kiedy ludzie siedzą w domu, w środku pokoju ustawia się kocioł z węglem drzewnym (mangał). Ponad mangałem stoi żelazne rusztowanie, z którego zwisa aż do ziemi wiele watowanych kołder. Członkowie rodziny siadają w kucki wokoło mangału na kupie filcowych derek (podłoga z drzewa jest nieznana) i naciągają na siebie kołdry.

Wytworzoną w ten sposób przestrzeń przyjemnie nagrzewa mangał, trujący czad zaś ulatnia się przez otwór w dachu. W zasięgu rąk stoi wiecznie gotujący się samowar, z którego popijana herbata rozgrzewa ciało również od wewnątrz.

W ten sposób Sartowie, Bucharzy, Kirgizi i Turkmeni spędzają okres zimowy.

Okolo muru otaczającego podwórze, tam gdzie znajduje się brama, ustawiony jest wewnątrz w odległości kilku metrów od tej bramy drugi kilkometrowej szerokości mur, ażeby nawet wtedy kiedy trzeba otwierać bramę, nikt z obcych nie mógł zajrzeć do wnętrza domostwa.

Każdy dom, nawet dom najbiedniejszego człowieka, podzielony jest na dwie części. Mniejsza zazwyczaj część przeznaczona jest dla kobiet. Jest to harem nie mający żadnego dostępu z wnętrza domu. Harem posiada całkowicie zamknięte podwórze lub ogród i połączony jest tylko przez drzwi, będące jedynym wejściem do haremu, z tarasem pana domu.

Jeżeli przychodzi jakiś gość, a żona lub córki znajdują się akurat w części przeznaczonej dla mężczyzn, musi on zaczekać przed bramą, aż kobiety opuszczą to pomieszczenie.

W wielkich oazach Turkiestanu ruch komunistyczny i propaganda związków bolszewickich wywołały już i w tym kierunku pewne zmiany, atoli w kiszlakach i miastach wschodniej Bucharzy nie znajdują one dla siebie odpowiednich warunków. Nie na darmo Bucharą była w ciągu wieków twierdzą islamu. Również wśród nomadów przebywających poza obrębem większych miejscowości obyczaje i zwyczaje pozostały jeszcze nie zmienione i zupełnie takie same jak kilka wieków temu.

W południowej Bucharze buduje się jeszcze prymitywniej, niż podaliśmy wyżej. Robi się tam z gliny wielkie kule, które następnie układa się jedne na drugie i ubija nogami. Gdy jedna warstwa wyschnie, układa się następną. Jak zapewniają Bucharzy, nie zdarzyło się jeszcze nigdy, żeby często powtarzające się trzęsienia ziemi rozwały chociaż jeden dom zbudowany w ten sposób, gdy inne rozpadają się jak domki z kart przy najmniejszym wstrząsie ziemi.

Tego rodzaju budownictwo dlatego rozpowszechnione jest w całym Turkiestanie, gdyż wskutek wielkiego braku drzewa ani nie można wypalać cegieł, ani wznosić wyższych budowli; ale i z tego powodu również, że mieszkańcy wsi bardzo często zmieniają swe miejsce pobytu i muszą mieć możliwość ustawienia sobie w krótkim czasie nowego domu na innym miejscu.

Quintus Kurcjusz pisze, że Aleksander Wielki kazał w ciągu 17 dni wybudować 27.000 domów oraz mury miasta Aleksandrii nad Tanaisem (dzisiejszy Chodżent).

Zastanawiający jest fakt, że meczety i szkoły meczetowe oraz pewne stare łaźnie z czasów Tamerlana wykonane są z cienkich wypalonych cegieł.

Budynki z kamienia widzi się tylko w górach wschodniej Buchary i w Ferganie jako też w Darwas, Budachszanie oraz kilku innych miejscowościach.

W dawnych czasach mieszkańcy Turkiestanu musieli być zwykłymi jaskiniowcami, co widać z odkrytych pieczar w okolicy Samarkandy, Karszi, Kerki i Merwu; pieczary te, wykopane w gruncie lössowym, tworzą podziemne miasta na wielkiej przestrzeni. Może jednak były to tylko kryjówki przed potężnymi wrogami, którzy napadali i niszczyli te miasta.

Rzecz zrozumiała, że każda zima w Turkiestanie dzięki wyżej opisanym prymitywnym stosunkom pociąga za sobą liczne ofiary. Ponieważ termometru prawie tu nie znają, tubylcy sądzą o stopniu mrozu z ilości ludzi zmarłych z zimna we własnych mieszkaniach. Tak więc Sartowie dziś jeszcze ze zgrozą opowiadają o zimie 1912 roku, kiedy to w ciągu jednej tylko nocy w Bucharze w mieszkaniach zmarło około 3.000 ludzi.

Wszystko to, co się powiedziało wyżej, dotyczy również domów ludzi bogatych, o ile nie mieszkają oni

w jednej z wielkich oaz, które to i owo przejęły z kultury mieszkaniowej Rosjan.

Nocowałem na przykład pewnego razu u byłego bega Fajzabadu, którego parterowy dom posiadał wprawdzie szesnaście pokoi, ale nie było w nim ani jednego okna, ani pieca. Jedynym zbytkiem, jaki tam widziałem, była wielka sala, której pułap podpierały pięknie rzeźbione i pomalowane kolumny, gdy ziemię przykrywała wielka ilość cennych jedwabnych dywanów. Najwięcej jednakże dumny był beg ze swej latarni, zrobionej ze zwyczajnej blachy w kształcie naszych dawnych latarni gazowych na ulicach. W latarni tej paliła się lampa naftowa. Muszę tu zaznaczyć, że beg uważany był za najbogatszego człowieka wschodniej Buchary, a to coś znaczy, gdyż bardzo wielu arystokratów tamtejszych rozporządza wielkimi bogactwami.

W Kara-ulu nabyłem za niewielkie pieniądze nowego osła na miejsce tego, który utonął, i udałem się dalej w drogę, prowadzącą teraz dosyć stromo serpentynami w górę.

Do Kara-ulu droga była jeszcze w jakim takim porządku, teraz zwężała się coraz bardziej.

Już się ściemniało, gdy dojechałem do nowo zbudowanego domu, który otoczony był wysokim murem i sprawiał wcale dobre wrażenie. Ponieważ droga szła nieco wyżej, mogłem zajrzeć na leżące poniżej podwórze. Ale nie zobaczyłem tam nikogo. A może mógłbym tu przenocować? — pomyślałem sobie. Uwiązałem mocno osły przy bloku skalnym i zszedłem na dół do wejścia.

Po energicznym pukaniu rozwarł się mały otwór w bramie i wysunęła lufa karabinu. Jednocześnie głos nieznanego człowieka kazał mi natychmiast zniknąć grożąc, że w przeciwnym razie będzie strzelał.

Przede wszystkim podskoczyłem tuż pod bramę, aby

nie być celem dla strzelca, następnie zacząłem pertraktacje z niewidzialną osobą.

Wyjaśniłem, że jestem państwowym geologiem i koniecznie potrzebuję wypoczynku, dlatego chciałem tutaj przenocować. Oczywiście gotów jestem za wszystko zapłacić. Usłyszałem niechętny pomruk, po czym rozwarły się wrota. Sprowadziłem swe osły i pokazałem Tadżykowi swe dokumenty, które dokładnie przejrzał. Najwidoczniej uspokoił się, gdyż natychmiast zaprowadził zwierzęta do stajni i rzucił im trochę siana do żarcia. Po tem dopiero poprosił mnie do domu.

Mój gospodarz był to tzw. *artża-czik* (dozorca drzew jałowcowych), który był tu po to osiedlony przez państwo, aby ochraniać szczupłe resztki drzewostanu przed wyniszczeniem. Dwa lata temu uzbekskie sowiety wysłały dwudziestu takich stróżów leśnych w tę część gór Ałaju i zbudowały na koszt państwowy domy w różnych miejscowościach.

Artża jest jedynym drzewem, które rośnie na tej wysokości w górach bucharskich. W górach Ałaju drzewa jałowcowe docierają do wysokości 4.000 metrów, gdzie tworzą całe lasy. Tak samo ma się rzecz i w górach Hissaru.

Wielkie niegdyś lasy na zboczach północnych Ałaju zostały mocno przerzedzone podczas wojny światowej i potem w czasie wojny wewnętrznej, ponieważ jest to bardzo twarde i sękatę drzewo, i dzięki tym zaletom dostarcza najlepszego węgla drzewnego.

Na południowych zboczach Ałaju są lasy orzechowe, których największą wartością jest ich choroba. Chorobliwa narośl, zwana *fladrem*, daje cenne drzewo rzeźbiarskie, które wysyła się do Ameryki. Według zebranych na miejscu wiadomości niektóre z tych drzew przynoszą do 10.000 rubli(?).

Artża podobna jest do naszych sosen, dosięga 20 metrów wysokości i jednego metra średnicy. Na wysokościach przekraczających 4.000 metrów na płaskowyżu pamińskim widziałem tylko o wiele niższe, skarłowaciałe drzewka, które nie miały nawet metra wysokości. Dla ochrony tego cennego stanu zadrzewienia (*artża* potrzebuje osiemdziesiąt lat do osiągnięcia pełni swego rozwoju) naznacza się stróżów leśnych.

Ponieważ jednak na północnej stronie gór nie ma innego drzewa, a węgiel drzewny jest niezbędny, tworzą się tzw. *artele*, które włączają się po górach grupkami składającymi się z kilkunastu ludzi, zbierają drzewa wyrwane z korzeniami przez śnieżne lawiny, staczające się skały i burze, i z wielkim trudem ściągają je w doliny, gdzie otrzymują z nich mielerz węglowy.

Stróże leśni mają prawo strzelać natychmiast, bez uprzedzenia do każdego, kogo schwytają na ścinaniu żywego drzewa jałowcowego.

Nic więc dziwnego, że mieszkańcy nielicznych kiszlaków oraz przeciągający przez góry nomadzi nie lubią tych ludzi, ponieważ w ten sposób utrudniają im oni zdobywanie węgla drzewnego bez kosztów.

Stróże leśni mają się przeto stale na baczności i dlatego właśnie mój gospodarz powitał mnie karabinem.

Od dawna leżeliśmy już na derkach filcowych i prymitywna lampa już zgasła, a *artża-czik*, rad, że znalazł słuchacza, opowiadał ciągle jeszcze o swym życiu, pełnym wyrzeczenia się i niebezpieczeństw.

Dawniej na tym miejscu, gdzie zbudowano teraz dom dla stróża leśnego, stał tzw. *rabat* (schronisko), które niegdyś wystawił chan Kokandu dla ochrony karawan przed rozbójnikami. Wiele setek karawan przeciągało rokrocznie przez Dengiz-Bej (Przejście Dobrego Ducha) z Bucharą do Fergany i z powrotem, a wielbłądy ich nosiły

cenne pakunki złota, turkusów, dywanów, jedwabiu, tytoniu, wełny, zboża i broni. Niektóre z tych karawan widziano jeszcze w Kara-ulu lub Daraut-Kurganie, ale nigdy nie dotarły one do swego celu podróży. Po prostu ginęły bez śladu.

Nieraz gubernator Taszkientu po rosyjskiej stronie albo diwan-begi na terenie bucharskim zarządzali poszukiwania i śledztwo w sprawie niezwykłego zaginięcia karawany. Zawsze jednak bez skutku.

Dopiero zdobycie Buchary przez Rosjan w roku 1920 przyniosło rozwiązanie tej zagadki.

Jednym z punktów górskich, o który najwięcej walczone, był rabat; na jego zachowanej jeszcze podłodze leżeliśmy właśnie, a zdobyto go dopiero po wielkim przelewie krwi.

Rabatbasziego oraz jego służbę, która została przy życiu, przewieziono do Skobelewa i postawiono przed trybunałem rewolucyjnym. Podczas rozprawy, rozpierany dumą baszi w obliczu pewnej śmierci opowiedział, że zamordował w swym karawan-seraju nie mniej niż czterystu ludzi. Wielbłądy zamordowanych odprowadzała w nocy służba do jego wuja, herszta rozbójników Chadżychana, udając się do górskich czeluści Turkiestanu znanymi im tylko tajnymi drogami, ludzi zaś upijał wódką „tarantulową“ (zwaną *bengi*) i następnie rzucał na pożarcie niedźwiedziowi, którego trzymał w piwnicy. Ponieważ niedźwiedziowi temu nieraz przez długie tygodnie nie dawał nic innego do żarcia, zwierzę przyzwyczało się do mięsa ludzkiego.

Po tym strasznym zeznaniu oddział czerwonej armii udał się powtórnie w góry i w piwnicy rozwalonego pociškami domu znalazł istotnie wielkiego dzikiego niedźwiedzia oraz kości setek ludzi, które grubą warstwą pokrywały ziemię.

Ale zrabowanych bogactw nie można było odnaleźć. Stary stróż zapewniał mnie, że codziennie przez wiele godzin obszukuje dokładnie otoczenie domu w nadziei znalezienia zagrabionych skarbów.

Zapytany o wspomnianą przez niego wódkę „tarantulową“, odpowiedział mi, że „sznaps“ ten znany jest od dawna w Turkiestanie. Skoro się chce przyrządzić wódkę „tarantulową“, chwytą się pewną ilość tarantul, wsadza się je do szklanki i wrzuca tam kilka kawałków suszonych jabłek i moreli. Rozwścieczone pająki rzucają się natychmiast na kawałki owoców i gryzą je, przy czym pozostawiają swą truciznę w suszonych owocach, które dodaje się do fermentującego kiszmiszu. Trucizna jakichś czterdziestu pająków wystarcza do przyrządzenia tego straszego napoju. Mała lampka wódki potrafi człowieka doprowadzić do obłądu. Już w pół godziny po wypiciu występują objawy paraliżu, tak że człowiek zatruty nie może się poruszać. W następnej godzinie kompletnie traci zdrowe zmysły.

Tą właśnie „tarantulową“ wódką częstował karawanbaszi swych gości i ciskał ich w stanie bezbronności niedźwiedziowi na pożarcie. Za czyny swoje został skazany na śmierć, ale w nocy Sartowie wyciągnęli go z więzienia i uprowadzili w pustynię. Tam przywiązano go powrozem do siodeł dwóch wielbłądów wyścigowych, którym wspano pod ogony pieprzu. Zwierzęta popędziły w pustynię jak dzikie i powlokły za sobą ciało wielokrotnego mordercy. W kilka dni potem znaleziono jego szkielet, ciało dawno już obzarły z kości sępy.

Z niekłamanyim zajęciem przysłuchiwałem się opowiadaniom stróża leśnego, który urodził się w górach i wychował wśród rozbójników. Jak mi się przyznał, był również przedtem w bandzie Madamina-bega, a następnie pod dowództwem Enwera-paszy walczył przeciwko czerwo-

nym. Słuchałem tego ze zdumieniem. Jakże chętnie chciałbym się dowiedzieć prawdy o śmierci Enwera. Na polu już zasypiając *artża-czik* rzekł tylko tyle.

— Gdy przyjedziesz do Deh-i-Nau, spytaj tam o Agabekowa. Ten wie więcej niż ja.

Znów wspinałem się w górę drogą wiodącą wzdłuż rzeki Izfairanu. Wśród drzew jałowcowych śpiewały przeróżne ptaki, które deszcz najwidoczniej obudził do nowego życia, ponieważ przedtem nie było ich słychać. Od chwili wyjazdu z Kizil-Kija nie spotkałem ani namiotów, ani karawany z towarami. Leżała przede mną cicha i samotna dolina w górach. Grunt lössowy zniknął i ustąpił miejsca czystej skale. Co pewien czas obsuwała się gdzieś w górach z wielkim hukiem kamienna lawina. Wkrótce piekące słońce zajrzało w głąb wąskiego wąwozu i w ciągu kilku chwil rosa i woda deszczowa wyschły.

W południe zatrzymałem się, aby wypocząć, udusiłem trochę ryżu w baranym tłuszczu i wykąpałem się w lodowato zimnej wodzie rzeki. Następnie rozebrałem się, zdjąłem obuwie i tak w stroju Adamowym ruszyłem dalej. Zamierzałem iść dopóty, dopóki nie znajdę odpowiedniego miejsca na obóz.

Zapadła noc. Oba osły co pewien czas stawały, jakby mi chciały przypomnieć, że na dzisiaj dosyć chyba tej wędrowności. Wkrótce na niebie zjawił się księżyc i oświetlił lodowate pola leżących hen wysoko lodowców mleczno-białym czarodziejskim blaskiem. Wąwóz rozszerzył się, zwirowisko powoli jęło ustępować miejsca trawie i wkrótce ujrzałem wylaniające się przede mną światła. Wciągnąłem na siebie chałat i ruszyłem ku pierwszemu domowi. Właściciel jego zaprowadził mnie do herbaciarni, gdzie dowiedziałem się, że przybyłem do małego kiszłaku Czikoja.

Dzień następny przyniósł dotkliwie zimno. Poprzedniego dnia bowiem już nawet po zachodzie słońca szedłem

zupełnie nago, tymczasem dzisiaj, ażeby nie marznąć, musiałem włożyć oba watowane chałaty.

Dopiero około południa, kiedy droga prowadziła stromo jakieś 200 metrów ponad rzeką i słońce zajrzało pionowo w wąską szczelinę wąwozu, mogłem znów zdjąć płaszcz i włądować je na osła.

Wysoko w górze zobaczyłem wykutą w skale nadnaturalnej wielkości postać ludzką w starożytnym stroju. Przywiązałem mocno osły i wdrapałem się do góry, aby obejrzeć bliżej tę olbrzymią płaskorzeźbę. Próba uderzenia wykazała, że mam tutaj do czynienia z niezwykle twardym rodzajem kamienia, który mimo to poważnie ucierpiał od zmian pogody. Wymodelowane, zapewne niegdyś ostre, kanty rzeźby zaokrągliły się teraz i w wielu miejscach popękały. Tylko tam gdzie zabezpieczone były przed działaniem wiatru, pierwotny kształt zachował się jeszcze dobrze. Musiały już upłynąć wieki od chwili stworzenia tego dzieła przez jakiegoś mongolskiego czy uzbekskiego artystę. Co mogło go skłonić do tego na tej odległej od świata, pustynnej drodze górskiej?

Pod wieczór usłyszałem dźwięki tzw. kornoi, instrumentu podobnego do rogu alpejskiego, i wkrótce stanąłem przed niemal całkowicie rozwalonym młynem Degirmacz. Właściwie mieszkanie młynarza znajdowało się w pieczarze pod kołem wodnym. Chętnie mnie u siebie przyjął. Skarżył się, że w ostatnich latach nie ma prawie nic do roboty. Dawniej latem przez Dengiz-Bej przeciągało dziennie kilkanaście karawan, ale od czasu panowania Sowietów transporty stały się coraz rzadsze i nomadzi przenoszą się do chińskiego Turkiestanu, gdzie mają większą swobodę.

Dawniej karawany brały ze sobą w drogę zboże na chleb i ryż i każda z nich zatrzymywała się w młynie Degirmacz, gdzie dawała ziarno do przemiału.

Młynarz ostrzegł mnie, że o godzinę drogi stąd woda zniosła most na rzece Izfairan i że będę miał kłopot z przeprowadzeniem osłów na drugi brzeg. Na moją prośbę odprowadził mnie aż do tego miejsca i idąc przez lodowato zimną wodę, zanurzony po piersi, przeniósł osły na plecach na przeciwną stronę rzeki.

Chciałem mu dać pięć rubli za fatygę, ale odmówił z uśmiechem i powiedział, że Allah go kiedyś za to wynagrodzi, ponieważ Koran zobowiązuje wszystkich ludzi do pomagania podróżnemu. Po długim przekonywaniu udało mi się wreszcie skłonić go do przyjęcia garści tytoniu z Fergany, chociaż tytoń taki dla ubogiego młynarza musiał być cenną rzadkością.

Za zburzonym mostem ścieżka znów rozszerzała się i stała się wreszcie normalną drogą. Jak się potem dowiedziałem w Dżidingi, tę część drogi zbudowali w roku 1916 i 1917 austriacko-węgierscy jeńcy wojenni ze Skobelewa; a miała ta droga prowadzić wzdłuż rzeki Izfairanu do Kizil-Kija, ale nie skończono jej, ponieważ tymczasem nastąpił przewrót bolszewicki a wraz z nim wybuchły walki z bandami Sartów i Tadżyków.

Niedaleko od Surmacza pewien Kirgiz pokazywał mi mały cmentarz, na którym pochowano 37 Austriaków i Węgrów, zmarłych z powodu wypadków przy budowie tej drogi lub z chorób.

A więc nawet tutaj, w tym najbardziej oddalonym kraju państwa rosyjskiego, w pobliżu chińskiej granicy, na wysokości c-a 3.000 metrów nad poziomem morza leżały ofiary wojny światowej. Na prostych drewnianych krzyżach widać jeszcze było jakieś nieczytelne napisy, nie mogłem więc ustalić nazwisk spoczywających tu żołnierzy. Długo stałem nad zapadniętymi mogiłami mych rodaków, którzy musieli umrzeć tutaj w odległości bez mała 6.000 kilometrów od swej ojczyzny.

Niebawem spotkałem pierwsze placówki Kara-Kirgizów, przez których pastwiska prowadziła dalej droga. Osły, konie i wielbłądy są ich jedynymi dostawcami żywności. Z mleka klaczy robią ulubiony swój kumys, stanowiący główne pożywienie koczowników i górali. Celem przygotowania kumysu wlewa się mleko klaczy w pęcherz ze skóry baraniej, gdzie dzięki częstemu potrząsaniu przechodzi proces fermentacyjny, przy czym mleko staje się gęste i tłuste. Z wielbłądziego i owczego mleka otrzymuje się niemniej lubiany *airan*, który w górach spożywa się z domieszką śniegu lub lodu. Wyrób masła jest tu zupełnie nieznanym. Wyrabia się je tylko w oazach.

Postanowiłem zatrzymać się w tym miejscu dwa dni na odpoczynek, należało się to bowiem nie tylko moim szarym zwierzętom, ale i mnie. Wprawdzie chętnie pozostałbym w tej idyllicznej miejscowości dłużej, tym bardziej że Kirgizi, gdy zobaczyli, że nie mają do czynienia z bolszewikiem, stali się natychmiast pełni ufności i gościnności. Na moją cześć zabito barana. Z wielkim zaciekawieniem przyglądałem się przygotowaniom do uczty. Wykopano głęboki dół i wypełniono go niemal całkowicie drzewem jałowcowym, które następnie zapalono. Kiedy na dnie dołu zostały już tylko żarzące się węgle, nad dołem położono drąg i zawieszono na nim oczyszczony barana. Następnie pokryto na głucho dół gałęziami i ziemią.

Po jakichś trzech godzinach wyjęto kompletnie upieczonego barana i rozdzielono go pomiędzy gośćmi. Aksakal i ja, jako goście honorowi, dostaliśmy po tłustym udzie, gdy resztę rozdzielono wśród dziewięciu ludzi.

I oto w krótkim czasie jedenaście osób łącznie z dziećmi zjadło dosyć dużego barana. Przyniesiono potężne dzbany gliniane, których zawartość — kumys i *airan* — opróżniona została również w krótkim czasie.

Stepowi Kirgizi, będąc w ciągu ostatnich dwudziestu

lat poddanymi rosyjskimi, nie byli zupełnie wolni. Rzecz miała się zgoła inaczej z Kirgizami mieszkającymi w górach. Na północnych zboczach Wielkiego i Małego Ałaju, w wielkiej dolinie Ałaju i na Pamirze Kirgizi żyli wówczas jeszcze tak samo jak za czasów Złotej Hordy. Nie będąc niczyimi poddanymi, wolni od podatków i wszelkich ograniczeń, wędrują przez kraj ze swymi stadami. Skoro zatem chciałem poznać prawdziwe życie Kirgizów, musiałem udać się na dolinę Ałaju. Kto wie, myślałem sobie, jak długo jeszcze będzie tam panowała wolność; w ciągu wieków a najwyżej dwóch stuleci może i tam zwycięski pochód zachodniej kultury zniszczy ostatki niezależnego życia koczowników.

Kirgizi dzielą się na Kirgizów-Kajsaków i Kara (czarnych) Kirgizów.

Kajsacy sami nazywają się Kazakami i oczywiście nie mają nic wspólnego z Kozakami. Koczują od Wołgi aż do Ebi-Noor w Dżungarii i od Afganistanu do Syberii, gdy Kara-Kirgizi uważają za swój teren koczowniczy góry Turkiestanu i Chin zachodnich.

Wielka horda Kara-Kirgizów, stanowiąca około 300.000 ludzi, mieszka w Ałaju i Pamirze, jako też w górach Fergany. Są oni mahometanami-sunnitami, nie są wszakże zbyt religijni. Rytualnych obmywań tudzież przepisów Koranu prawie nie stosują. Łączy ich z wiarą Mahometa jedynie obrządek obrzezania, golenie głowy u mężczyzn oraz entuzjizm dla bajek religijnych, których słuchają z wielką przyjemnością. Zresztą są to ludzie w wysokim stopniu przesądni. Ich *baksowie* (szamani i kapłani czarnoksiężnicy) mają znacznie większy wpływ niż najbardziej szanowani mułlowie. Wbrew przepisom Koranu kobiety nie noszą zasłon na twarzach. Przyczyny tego szukać zapewne należy w tym, że Kirgizi wskutek swych wędrówek nie posiadają ani meczetów, ani szkół religijnych,

gdzie zmuszano by ich do przestrzegania przepisów Koranu.

Kapłani czarnoksiężnicy są ich lekarzami i zaklinaczami pogody; mogą oni wypędzać i sprowadzać nie-szczęście. Dla podniesienia swego znaczenia w oczach wiernych chodzą po rozżarzonego żelazie, jedzą rozżarzone węgle drzewne i polykają gwoździe, baty oraz tłuczone szkło. Przepowiadają przyszłość z popiołu i kości i przyrządzają czarodziejskie napoje na wszelkie okazje życia ludzkiego.

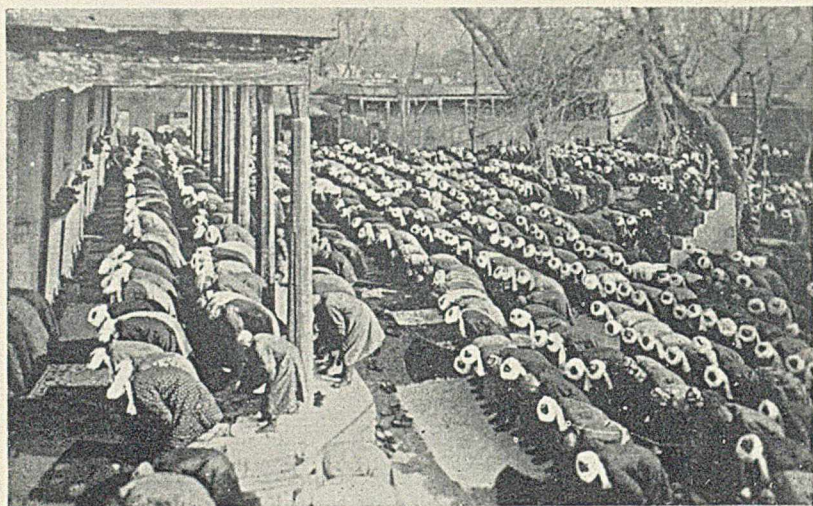
Mimo swojej luźnej dosyć religijności Kirgizi stoją wysoko pod względem moralnym. Są bezwzględnie uczciwi i wierni. Gościnność ich może się równać jedynie gościnności Jomud-Turkmenów. O pietyzmie dla zmarłych nie mają najmniejszego pojęcia i jeżeli spotyka się co pewien czas udekorowany buńczukami kopczyk kirgiskiego świętego, można powiedzieć z pewnością, że spoczywa tam jakiś wielki czarnoksiężnik lub jakiś znakomity *batir*. Tak zwany *batir* jest złodziejem bydła, który dzięki swej zręczności w kradzieży koni zdobył majątek i któremu wdzięczni spadkobiercy usypują kopiec grobowy a nawet często-kroć budują mauzoleum z gliny.

Ponieważ kradzież koni i rabunek, jeżeli dokonuje się tego w innym plemieniu, nie są uważane bynajmniej przez Kirgizów za przestępstwo, godzi się to najzupełniej ze wspomnianą ich uczciwością.

Temu pojęciu prawa odpowiada również wymiar sprawiedliwości, o ile nie wymierzają jej na zamieszkałych terenach sędziowie państwowi. Kirgizi unikają jednakże odwoływania się do sądów państwowych i chętniej poddają się własnym sądom plemiennym. Najwyższa grzywna, zwana *kun*, wynosi 500 baranów, 50 koni i 25 wielbłądów. Stosownie do wielkości przestępstwa wyznacza się grzywnę stanowiącą jeden *kun*, pół *kuna* lub ćwierć



Młoda Sartka Mukuram Bajewa tańczy publicznie w Samarkandzie; przed rokiem 1920 byłaby za to ukamienowana.



Sartowie modlą się przed meczetem w Samarkandzie o to, żeby islam stał się znów mocny.



I Sartowie również chętnie piją rano herbatę; jedzą przy tym chałwę i non.

kuna. Za zapłacenie *kuna* odpowiada cała rodzina skazanego, a nawet cały auł lub plemię, do którego należy.

Jeżeli ktoś skazany został za grabież, musi nie tylko zapłacić *kun* oraz zwrócić rzeczy skradzione, ale i oddać rodzinie poszkodowanego własną broń oraz ubranie.

Bogactwem Kirgizów są ich konie, którym zawdzięczają wszystko, co posiadają. Z wełny wielbłądziej tkają sobie odzież oraz dywany, następnie robią również dery filcowe, które służą zarówno dla obwieszenia nimi ścian jurt jak i do przykrywania ziemi w tychże jurtach.

W ubogich w drzewo okolicach z ekskrementów wielbłądzych i oślich robi się tzw. *kisjak*, którym następnie przez całą zimę opala się jurtę. Wozów Kirgizi nie znają i dlatego przewożą cały swój majątek na wielbłądach, które są o wiele mocniejsze niż wielbłądy afrykańskie lub perskie.

Ciężary sięgające pięciu cetnarów są przeciętnym obciążeniem wielbłąda i z takim ciężarem wielbłąd kirgiski przechodzi dziennie po pięćdziesiąt a nawet sześćdziesiąt kilometrów. Chociaż Kirgizi trzymają wiele koni, używają ich jedynie do polowania lub do zabaw jeździeckich. Podczas przenoszenia się z miejsca na miejsce stada koni idą za karawaną luźno.

Liczne są kirgiskie stada owiec, a mianowicie owiec z gatunku tłustoogonowych, których pośladek (zwany *kurdiukiem*) daje przeciętnie od piętnastu do dwudziestu kilogramów tłuszczu. Są właściciele posiadający w majątku po 20.000 owiec a nawet i więcej czasem, natomiast mają niewiele bydła. Na pastwiskach i obozowiskach znajdujących się na wysokości przekraczającej 2.000 metrów używa się przeważnie jaków jako zwierząt jucznych. Pochodzące z Tybetu jaki kirgiskie są czarnej jak węgiel maści i mają niesamowity, przejmujący strachem wygląd, są jednakże najzupełniej nieszkodliwe i niezwykle łagod-

ne. Zwierzęta te dostarczają najlepszego i najtłuszczejszego mleka ze wszystkich zwierząt ssących, chowają się jednak tylko na wysokości ponad 2.000 metrów. Na niższej wysokości giną.

Po dwudniowym odpoczynku opuściłem leżącą na wysokości 2.100 m wieś Liangar.

Przez całą noc padał lekki śnieg, który jednakże szybko zniknął około południa pod działaniem promieni turkiestańskiego słońca. Stąd prowadzi droga pomiędzy ciemnymi ścianami skalnymi oraz wysokimi drzewami jałowcowymi wzdłuż pniącego się Izfairanu. Niesamowicie wysoko sterczą niezwykle czerwone zręby skalne i tylko kiedy słońce znajduje się w zenicie, w głąb wąwozu przedostaje się trochę jego światła. Coraz więcej spotyka się bocznych dolin gór Ałaju i są one coraz większe.

Obok małego osiedla Dżatrabadu z jednej z tych dolin wypływa wspomniany już czerwony potok, który nadaje takiż kolor Izfairanowi aż hen do miejsca rozlania się go na dolinie.

Pozostawiłem w herbaciarni Dżatrabadu swój bagaż oraz obydwą osły, żeby udać się w dolinę czerwonej rzeki. Po godzinie drogi doszedłem do miejsca, gdzie dolina ta rozszerzała się w soczyste pastwisko. Rozłożyła się tam obozem wielka rodzina koczowników, licząca około stu jurt. Po trzygodzinnej wędrówce dotarłem do miejsca, gdzie nie mający nazwy potok przybiera swą czerwoną barwę. Powyżej tego miejsca spada jako niewielki wodospad na grunt doliny i przepływa przez trzystumetrowej szerokości teren o jasnoczerwonej barwie.

Woda stale zabiera ziemi duże ilości tego barwnika, ale zapasy jego bynajmniej się nie zmniejszają. Ażeby przy ewentualnej kontroli przez państwowe organy móc udowodnić moją rację bytu jako geologa, wziąłem ze sobą kilka próbek ziemi. Zdumiewające, w jakie bogactwa mat-

ka natura wyposażyła turkiestańskie pasma górskie. Mała ta dolinka zawiera wiele milionów kilogramów najczystszej, nadającej się natychmiast do użycia czerwonej farby ziemnej. W okolicy muszą się również znajdować wielkie ilości rtęci, ponieważ zwykle występuje ona razem z cynobrem.

W powrotnej drodze do Dżatrabadu zerwały się tuż przede mną cztery olbrzymie orły, tak że po twarzy musnął mnie wiatr wywołany ruchem ich skrzydeł. Miały swe gniazdo o kilkaset metrów wyżej na występie skały, gdzie siadły i zdumione spoglądały na człowieka, który zamącił ich spokój.

Następnego ranka wyruszyłem w góry do *czaj-chana* w Dżidingi, ostatniego schroniska na przełęczy górskiej. Prawie na wysokości tysiąca metrów piętrzyły się tutaj ściany skalne, po których przewijała się niezliczoną ilością zakrętów, zdążających wzwyż, wąska, niebezpieczna ścieżka. Tuż niemal przed Dżidingi zaczynała się granica śniegów, toteż kiedym dotarł do przepelnionej ludźmi herbarciarni, leżała ona już w głębokim białym puchu.

Zatrzymała się w niej na wypoczynek wielka karawana, idąca z doliny Ałaju i zdążająca dalej do Fergany. Obozowały tu również pojedyncze grupki Tadżyków z okolic Karateginu, którzy przyszli pieszo z Kokandy i udawali się w swoje góry.

Następnego ranka wybrałem się dosyć wcześnie do ostatniego ataku na przełęcz. Późno w nocy nadjechała jeszcze karawana wioząca ryż i wełnę i wybierała się również przez Dengiz-Bej do Daraut-Kurganu. Przyłączyłem się właśnie do niej i wyruszyliśmy natychmiast.

Mniej więcej po godzinie drogi dolina tak się rozszerzyła, że zamieniła się w wyraźny płaskowyż. Wkrótce otoczyły nas dziwne zaśnieżone twory, o długich okrytych sędzielizną igłach, i dopiero kiedy słońce wyjrzało zza

szczytu Kaufmanna (dzisiaj Góra Lenina) i oblało czerwonym światłem jego lodowce oraz pola śnieżne, poznałem, że te twory lodowe składały się z niskich jałowców, tworzących tutaj rozległy las.

Po przejechaniu zalesionej okolicy Kirgizi zawrócili w boczną dolinę i zatrzymali się nad brzegiem rozlewającego się tutaj Jeziora Aleksandra (Iskander Kul). Dziwnym zbiegiem okoliczności w Turkiestanie jest pięć jezior, które nazywają się Iskander-Kul. Każde z nich ma pretensję do tego, że nad brzegiem jego obozował Aleksander Wielki.

Jezioro aż roilo się od ryb i tak to prawie wyglądało, jakby założono w nim sztuczną wylęgarnię. Zdziwiłem się bardzo tą obfitością ryb, ale Kirgizi wyjaśnili mi, że jest to święte jezioro i ktokolwiek ważyłby się złowić i zjeść świętą rybę, natychmiast umrze.

Gdy Kirgizi ruszyli dalej, pozostałem naumyślnie nad jeziorem, ażeby schwytać taką świętą rybę z jeziora bez obrażania religijnych uczuć Kirgizów. Zrobiłem sieć z chusteczki do nosa i wkrótce złowiłem w nią dwudziestocentymetrowej długości rybkę. Zabiłem ją, obłożyłem śniegiem i wszystko to zawinałem w chustkę. Później wysuszyłem moją rybę nie wyjmując z niej wnętrzości i po kilku miesiącach wręczyłem ją pewnemu lekarzowi w Czardżuju. Opowiedziałem mu historię świętego jeziora i lekarz zabrał się do zbadania mego połowu, wyrzucając suche wnętrzości ryby po prostu za okno, gdzie natychmiast pożarł je chciwie jego pies. W pół godziny potem pies zdechł w strasznych męczarniach. Wtedy lekarz zrobił sekcję i stwierdził paraliż serca od nieznannej trucizny, która jednocześnie wywołała rozkład krwi. W ten sposób wyjaśniła się tajemnica świętego jeziora. Nic dziwnego, że przesądni, lękliwi tubylcy Turkiestanu po prostu nazywają to jezioro świętym, skoro wielu ludzi

umarło po spożyciu znajdujących się w nim trujących ryb.

Dalsza droga wymagała wielkiego trudu i uwagi, ponieważ na każdym niemal kroku wpadało się w głęboki śnieg. Wreszcie o godzinie czwartej po południu dotarłem do przełęczy leżącej dokładnie na wysokości 3.850 metrów nad poziomem morza. Ostatnie 200 metrów wspinania się przez potężną hałdę moreny wymagało dużego wysiłku płuc; zjawiły się skutki choroby górskiej: zawrót głowy i ból.

Sama przełęcz jest jakby korytarzem pomiędzy wąskimi ścianami skalnymi i z początku pozbawiona jest wszelkiego widoku. Tym potężniejsze było wrażenie, gdy wdrapałem się na ścieżkę wiodącą z prawej strony po skalnej ścianie. Roztoczył się przede mną rozległy widok na południo-wschód i zachód. Na południowym wschodzie piętrzyły się ku niebu, niby olbrzymie cudowne zamki, potężne szczyty płaskowyżu pamirskiego, Dachy Świata, ze swymi potwornymi lodowcami. Na wschodzie lśnił się niebieskawo-biały szczyt góry Kaufmanna, sięgający wysokości 7.100 metrów; obok na lewo Kizil-Agin, a z zachodu na wschód przebiegał łańcuch gór Zaałajskich, gdy na północnym wschodzie najwyższy szczyt Ałaju stanowiła 6.000 metrowej wysokości Góra Baba. Wreszcie na zachodzie widniało pasmo niebiesko-zielonawego lodowca Serafszanu, zmierzające ku dolinie.

Późną nocą dotarłem do leżącej już w prowincji Karateginu małej, na wpół rozwalonej glinianej wioski Artak, gdzie z trudem i od biedy znalazłem przytułek w *czajchana*. Każdy jako tako szanujący się bandyta słusznie zaprotestowałby, gdybym schronisko w Artaku nazwał pieczarą zbójczą. Chociaż podczas swych wędrówek nocowałem już nieraz w podejrzanych dziurach, to jednak ta herbaciarnia była już szczytem wszystkiego. *Czaj-*

chanczik dzielił jedyne swe pomieszczenie po spole z osłem, owcami i kurami. Aby jako tako móc znieść dokuczliwe zimno, pośrodku izby rozpalono wielkie ognisko. Gryzący dym jałowcowego drzewa mimo wielu dziur w dachu i w ścianach nie mógł się jednak należycie ulatniać i stale miałem pełne oczy łez.

Najchętniej rozłożyłbym się obozem na otwartym powietrzu, nie mogłem sobie jednak na to pozwolić ze względu na zimno.

W dziurze nie przekraczającej ośmiu metrów kwadratowych wraz z mymi dwoma osłami było tu razem cztery osły, trzy barany oraz kilkanaście kur.

Celem rozłożenia kółder musiałem przede wszystkim usunąć na stronę nawóz zwierzęcy, co wywołało niemałe zdumienie Kirgiza, który stale mnie zapewniał, że nawóz osli jest najlepszym środkiem przeciwko wszom i pluskwom.

Z Daraut-Kurganu prowadziła na północny wschód droga karawanowa przez mającą jakieś dwadzieścia kilometrów szerokości dolinę Kizil-Su.

Mniej więcej na wysokości 3.000 metrów droga ta rozchodzi się w dwie strony. Jedna jej odnoga prowadzi przez Kuldżę do Andiżanu, druga zaś przez Irkesztam do Kaszgaru w Chinach, przy czym przechodzi przez przełęcz Tauu-Muruh, położoną na wysokości 3.400 metrów.¹

Ciekawy jest fakt, że rzeka Kizil-Su nazywa się tak tylko na terenie turkiestańskim, gdy po stronie bucharskiej po zlaniu się z rzeką Muk-Su już dalej po drodze do Amu-Darii zwana jest Surchabem.

¹ Wg. Słownika Geograficznego E. Maliszewskiego i B. Olszewicza fort ros. Irkesztam położony jest na przełęczy Teret (pasmo gór Tian-Szan — republ. Turkiestańska na wysok. 2.600 m n. p. m.). Przepisek tłumacza.

Miałem więc do wyboru albo drogę na północny wschód przez dolinę Ałaju i Saridasz oraz przełęcz Kizil-Art, której mogłem dotrzeć na płaskowyż Pamiru, stamtąd zaś przedostać się przez Kara-Kul na teren bucharski, lub też dojechać do Buchary wzdłuż Kizil-Su z jej biegiem i dalej przez Dagant i Kurgan-Tiube.

W Daraut-Kurganie zatrzymałem się znów przez dwa dni w celu doprowadzenia do porządku dobrze podniszczonego już przyodziewku oraz należytego wypoczynku.

PRZEZ DOLINĘ AŁAJU NA PAMIR

Dobra stosunkowo droga karawanowa prowadzi wzdłuż Kizil-Su pomiędzy Ałajem i Transałajem przez najpiękniejszą dolinę Azji dosyć stromo w górę. Z lewej strony wysokie tereny skalne Ałaju spadają stromo w dolinę, gdy po przeciwległej stronie pną się najpierw do góry zalesione wzgórza, ażeby następnie przejść już w przepaści i lodowce gór Zaałajskich. W dolinie tej znajdują się niespodziewanie piękne, kwieciste pastwiska górskie. Gdy strome ściany skalne z lewej strony pokryte były głębokim śniegiem, tutaj w dolinie zieleniły się i kwitły rzadkie kwiaty o jaskrawych barwach.

Na łąkach stały setki czarnych namiotów kirgiskich. Wielbłądy i jaki pasły się zgodnie obok siebie, nieprzeliczone stada baranów wspinały się jak kozice wokół po zboczach górskich i grupkami zdążyły małe stadka konskie do wodopoju w rzece.

Był tutaj ostatni teren wolności Kara-Kirgizów, którzy zupełnie niesłusznie weszli do literatury pod nazwą dzikich Kirgizów.

Kara-Kirgizi podobni są do swych jaków, które wyglądają wprawdzie dziko i groźnie, ale są równie łagodne i nieszkodliwe.

Chętnie i po przyjacielsku przyjmują wędrowca jako gościa do swej jurty, jeżeli szanuje ich zwyczaje oraz prawa.

Bezdrożność i niedostępność tego terenu uchroniła ich dotychczas przed panowaniem Rosjan i Bucharów, zarówno jak i przed cywilizacją tych pierwszych, na pewno z korzyścią dla Kara-Kirgizów.

Już przed kilku laty (1919) przywędrowali przez Dengiz-Bej w dolinę Kizil-Su Austriacy, a mianowicie Schaufuss i kilku jego kamratów, którzy tą drogą uciekli z fergańskich obozów jeńców wojennych, ażeby przez Bucharę przedostać się do Afganistanu i dalej do ojczyzny. Atoli nieliczni tylko (z około trzydziestu ludzi zaledwie czterech) dotarli naprawdę do celu. Reszta częściowo zginęła z braku pożywienia i niewygód wędrowki, częściowo została napadnięta, ograbiona i wymordowana. Czyny ich graniczą z bohaterstwem, o czym, niestety, nie wspomina żadna kronika.

Z kilkoma garstkami ryżu i suszonymi morelami, bez mapy czy kompasu, zaledwie przyodziani, bez butów nieraz, mając za cały majątek kilka carskich rubli w kieszeni i przeważnie nie znając języka kraju, przez który szli, podejmowali walkę z górami Ałaju. Jakiż kontrast pomiędzy ich nędzną wędrowką, pełną niebezpieczeństw, a wspaniałą ekspedycją niemiecką, która w kilka lat po mojej podróży pod wodzą Rickmersa przeciągnęła przez Ałaj i Pamir.

Dwudziestu pięciu niemieckich i rosyjskich uczonych z kucharzami i lekarzami, pod wojskową osłoną, mając ze sobą około dwieście sztuk zwierząt jucznych i wierzchowych, wiele tysięcy kilogramów konserw, namioty, narzędzia tudzież instrumenty — oto była wyprawa, która wtedy przeszła tą drogą celem naukowego zbadania Pamiru. Podróżnicy ci korzystali z jak najdalej sięgającego poparcia rządu rosyjskiego i mieli do rozporządzenia wszelkie możliwe udogodnienia.

Nie ma się też czemu dziwić, kiedy Rickmers opisuje, że Kirgizi potrafili żądać potwornych po prostu cen za środki żywności i w ogóle za wszelkie usługi, i kiedy na zasadzie tego wnosił, że gościnność wśród Kirgizów wymarła. Trudno mi uwierzyć, żeby okres tych kilku lat po-

między moim pobytem a wyprawą Rickmersa zdołał wywrzeć taki radykalny wpływ na odwieczną tradycję Kirgizów. Należy raczej przypuszczać, że zaważyły tutaj bogactwa świetnie wyekwipowanej i zaopatrzonej obficie w gotówkę ekspedycji tudzież obecność żołnierzy znienawidzonej armii czerwonej.

Jeżeli bowiem o mnie chodzi, to wiele miesięcy żyłem tylko dzięki gościnności Kirgizów i pamiętam zaledwie kilka przypadków, kiedy żądano ode mnie wywdzięczenia się jakąś pracą lub zapłatą za to, co otrzymałem. Jednakże i wtedy byli to przeważnie ludzie, którzy odwiedzili Samarkandę, Bucharę, Taszkient lub Skobelew i stamtąd przywieźli handlarskie przyzwyczajenia.

Kreśląc życie w jednym z tych aułów, opisuję je jednocześnie we wszystkich innych aułach, ponieważ wszędzie bieg jego jest jednakowy. Kara-Kirgizi stosownie do swej skali życia są ogromnie bogaci. 300.000 mieszkających na terenie Ałaju Kirgizów posiada około 70.000 wielbłądów, 1.000.000 koni, równe 500.000 bydła i jakieś 10.000.000 baranów. Kłopotów i biedy nie znają tak samo jak pijaństwa i karciarstwa. Nie palą opium jak Bucharzy, ani *czawasu* jak Tadżykowie. Jedyłą ich namiętnością są gry jeździeckie oraz zażywanie korzenia *gulczemu*. Ma on zapach i smak gnijącego czosnku. Przy dobrej woli Europejczyk może się do tego również przyzwyczać. Chleb i ryż rzadko spotyka się w Ałaju. Produkty te muszą Kirgizi nabywać od mieszkańców doliny w zamian za swe barany oraz weinę. Ponieważ jednak niechętnie pozbywają się swych owiec, zadowolają się przeto korzeniem *gulczemu*, który po wysuszeniu go, zmielony na mąkę, daje ciasto na podpłomyki, zastępujące góralom kirgiskim chleb.

W lecie mężczyźni udają się na polowanie z oswojonymi sokołami i orłami lub zabijają ze swych przedpoto-

powych strzelb z widełkami ręczne koziorożce, które w Europie niemal kompletnie wyginęły, natomiast w Ałaju żyją jeszcze dziko w wielkich ilościach.

Często towarzyszyłem Kirgizom na tego rodzaju polowaniach. Zaopatrzony w żywność na dwa dni, wspina się myśliwy na strome ściany wąwozów i stara się przede wszystkim ustalić ścieżkę koziorożca. Skoro już ją odnalazł, ustawia wtedy swoją flintę na widełkach, trzyma ją w pogotowiu do strzału i ma przygotowaną zapalną do zapalenia lontu. Teraz żadna siła na świecie nie zdoła usunąć Kirgiza z raz obranego miejsca na czatach, dopóki koziorożec nie ukaże się na linii strzału, co często trwa kilka dni. Wtedy pada strzał z grzmotem niby z małej armatki i odzywa się stokrotnym echem wśród skał. Nie byłem jednakże nigdy świadkiem tego, żeby koziorożec mógł jeszcze uciekać po strzale, bo każdy strzał był celny.

Wszędzie niemal w Europie słyży się zdanie, że Kirgizi podobnie jak i inne ludy koczownicze wędrują z jednego miejsca na drugie po prostu z zamyłowania do włości. Jest to najzupełniej błędny pogląd.

Zmusza ich bowiem do tego jedynie konieczność przeżywania siebie oraz żywego dobytku. Wielkie stada potrzebują wielkich obszarów do wyżywnienia się. Warunki klimatyczne i właściwości gruntu Turkiestanu zmuszają Kirgizów do zmieniania miejsca pobytu. Na jesieni wędrują w najbardziej południowe okolice swego koczowniczego terenu, gdy na wiosnę wracają na połoniny górskie.

Każda rodzina kirgiska ma swoje ściśle określone pastwiska, bezwzględnie uznawane przez inne rodziny i plemiona. Toteż wśród Kirgizów prawie nie bywa sporów o pastwiska.

W okolicy Amu-Darii miałem często sposobność obserwowania Kirgizów na polowaniach na kozice z orłami. Za-

ledwie wytropione stado tych niewiarogodnie żwawych zwierząt zacznie uciekać, a już Kirgizi pędzą dziko za nimi na swych szybkich jak błyskawica koniach. Z orłów zdejmują kaptury i sadzają je sobie na ramieniu, a w czasie szalonego pędu ciskają je jak pociski w przestrzeń. Ptaki niby strzały dopędzają kozice, spadają na nie i natychmiast wydziobują im oczy. Ośleple kozice padają w kuczach z bólu, a dopędzający je myśliwi przytracają je do swych siodeł i odwożą do jurt.

W Burdaliku nadarzyła mi się pewnego dnia sposobność obserwowania, jak Kirgizi przyuczają orły do tego rodzaju polowania. Zatykano na drągi głowy świeżo zabitych owiec i Kirgizi uczyli młode orły wydziobywania tym głowom oczu, które ciągle zastępowano czerwonymi kawałkami mięsa.

Pewnego dnia w aule zapanowało wielkie poruszenie.

Otóż okazało się, że przybyła do aułu trupa wędrownych artystów Kumancza — aktorzy, tancerze i bazarz. Wędrowali oni od aułu do aułu, troszcząc się o rozrywki nomadów.

Wieczorem przed jurtą aksakala rozpalono wielkie ognisko. Wokoło niego rozłożono dywany i maty filcowe, w licznych kotłach, ustawionych na trójnogach, gotowała się woda na herbatę i z ust do ust przechodził *czilim* (fajka podobna do nargili). Bazarz usiadł w pobliżu ogniska i zaczął monotonnym głosem opowiadać swe baśni, które zawsze wywoływały w słuchaczach dreszcz zgrozy, chociaż słyszeli je już po sto razy. Spojrzenia wszystkich zebranych zawisły na ustach bezzębego starca, tak że oprócz jego głosu i trzaskania palących się gałęzi drzewa jałowcowego nie słyhać było żadnych innych dźwięków.

„O wy, dzielni bohaterowie! O wy, bogaci właściciele wielkich stad! O wy, pokonywacze niedźwiedzi! Opowiem wam dziś historię pięknej księżniczki Neppes. Hen wy-

soko na Pamirze, w pobliżu Kara-Kulu, mieszkał niegdyś książę kirgiski Sagur-chan, którego bogactwa i okrucieństwa znane były w całym Turkiestanie. Przy każdej rzece, przy każdym polu śniegowym i przy każdym lodowcu stali wartownicy chana i pozwalali czerpać wodę tylko tym ludziom, którzy z góry zapłacili za to księciu podatek.

„Wkrótce ludzie nie mieli już żadnych dziewcząt, którymi musieli opłacać wodę, i dlatego chan zażądał od nich skór i futer. A kiedy i to się już skończyło, zażądał baranów i wielbłądów. Toteż Kirgizi z Bam-i-Dumiah (Dachu Świata) w ciągu kilku lat zbiednieli i cierpieli niewypowiedziany głód.

„Pewnego dnia Neppes, córka Sagur-chana, jechała na polowanie. Niebawem zobaczyła barana i rzuciła się na niego z oszczepem. Gdy nadjechała i wyciągnęła oszczep z rany, nagle na ziemi na miejscu barana znalazł się przepiękny młodzieniec, w którym się natychmiast zakochała.

„W kilka dni potem znów przed chanem stanęło kilku biednych Kirgizów, prosząc o podarowanie im trochę wody. Na to nadeszła Neppes i ujrzała wśród proszących również swego kochanka. Chan rozkazał wypędzić batami biednych Kirgizów. Ale księżniczka zasłoniła swoją osobą kochanka i wojownicy nie śmieli go dotknąć. Kiedy chan to zobaczył, rozkazał natychmiast wrzucić do lochu młodzieńca wraz ze swą córką.

„W nocy młodzian wziął Neppes za rękę i wyprowadził z ciemnicy, przy czym ściany rozwarły się jak drzwi. Dopiero teraz przyznał się księżniczce, że jest synem potężnego czarnoksiężnika Buodina, którego wysłano na pomoc Kirgizom przeciwko okrutnemu chanowi. Następnie wyrekł jakieś straszne zaklęcie i zamczysko zapadło się wraz z chanem w wodach Kara-Kulu.

„I dlatego to wody Pamiru od tego dnia stały się dostępne dla wszystkich ludzi“.

Wstrząśnięci tą opowieścią mężczyźni w milczeniu patrzyli na starca. Tymczasem bazarz sięgnął po *czilim* i z rozkoszą wypuścił dym przez nozdrza, co wywołało wśród Kirgizów nieopisaną wesołość, albowiem ten sposób palenia był im nieznany. Po wypiciu kilku filiżanek herbaty z solą i baranym tłuszczem starzec opowiadał dalej.

„Czy znacie historię Abdullaha Besdika? Nie, nie znacie jej, ponieważ opowiedział mi ją Allah we śnie. W czasie panowania Tamerlana przy dworze w Samarkandzie żył pewien *mirza* (pisarz) nazwiskiem Abdullah Besdik. Mirza bardzo kochał zwierzęta i nie mógł patrzeć, jak cierpią. Zawsze chodził po karawanserajach Samarkandy i kupował te wielbłądy, które wracały z przepraw karawanowych chore lub ranne. Pewnego dnia wielki Timur dowiedział się o postępowaniu mirzy i kazał go wezwać. Tamerlan siedział w otoczeniu wielu imamów i mułłów, kiedy przyszedł mirza i kilkakrotnie padł na ziemię przed obliczem władcy.

„Wtedy Tamerlan go spytał, dlaczego, na miłość Allaha, skupuje chore wielbłądy, które nie mają przecież duszy i mniej są warte niż kobieta! Mirza zaprotestował twierdząc, że i zwierzęta mają duszę i czują ból. Usłyszawszy te bezczelne słowa imami i mułłowiem pobledli z oburzenia i zażądali, aby mirza udowodnił, że wielbłądy mają duszę, w przeciwnym bowiem razie zostanie stracony. Mirza oznajmił, że tego udowodnić nie może, ponieważ nie można udowodnić, że i ludzie mają jakąś duszę.

„Tamerlana jeszcze bardziej rozgniewała ta odpowiedź i rozkazał śmiałkowi ściąć głowę.

„Wtedy wystąpił przed władcę błazen dworski.

„Powiedz mi, o potężny Timurze, czy zmarły Diwan-begi miał duszę, czy nie?

„Na Allacha! — zawołał Timur — każę stracić każdego, kto śmiałyby temu przeczyć!

„A czy puścisz mirzę, jeżeli ci udowodnię, że wielbłądy mają duszę? — zawołał błazen.

„Na brodę proroka obiecuję ci zwolnić go. Ale jakże chcesz to udowodnić, ty, błaznie?

„Bardzo prosto, wybrańcu Allacha. Właśnie tyś przed chwilą powiedział, że Diwan-begi miał duszę, a jakże często, o panie, nazywałeś go wielbłądem!

„Timur, imami i mułowie śmieli się tak serdecznie, że aż drżały mury sali. I mirza został zwolniony“.

Głośnie oklaski i szczery śmiech, jakim tylko mogą się śmiać dzieci natury, był nagrodą dla bazarza.

Kiedy *czylim* znów obszedł wokoło, starzec zaczął na nowo.

„Powiem wam teraz historię o Mokhannie Zawoalowanym. Kiedy okryty nieprzeniknioną zasłoną prorok z Merwu musiał uciekać do Buchary, zbudował sobie fortecę, której nie mogłoby zdobyć nawet sto tysięcy wrogów. W tej fortecy zamknął się wraz ze swymi pięciuset żonami oraz młodym niewolnikiem, Murzynem. Nikt poza żonami oraz niewolnikiem nie widział nawet jego twarzy. Pewnego dnia przed fortecą zebrał się wielotysięczny tłum wierznych błagając Mokhanę, aby odsłonił przed nim swe oblicze. Prorok kazał im powiedzieć, że blask jego twarzy wszystkich ich poraziłby śmiertelnie. Ale wierni nie lękali się tego, uważając za rozkosz śmierć w obliczu ukochanego świętego.

„Wobec tego prorok kazał im oznajmić, że około wieczora pokaże się we wrotach fortecy, gdzie mają go oczekiwać. Kiedy promienie zachodzącego słońca padały niemal pionowo na wrota fortecy, prorok kazał wszystkim swoim żonom ustawić się z lustrami w rękach na dziedzińcu. Następnie kazał rozewrzeć wrota i promienie słoń-

ca załamały się w setkach zwierciadeł, oślepiając tak mocno wiernych, że z przerażenia padli na ziemię.

„Po zamknięciu wrót czciciele Mokhanny wiele dni jeszcze trwali w modlitwie przed fortecą, sławiąc nieodparty blask świętego“.

Bajarz zrobił dłuższą pauzę. Widać było, z jakim podziwu godnym przejęciem słuchacze jego po wielu setkach lat słuchali wszystkiego, co dotyczyło życia Mokhanny.

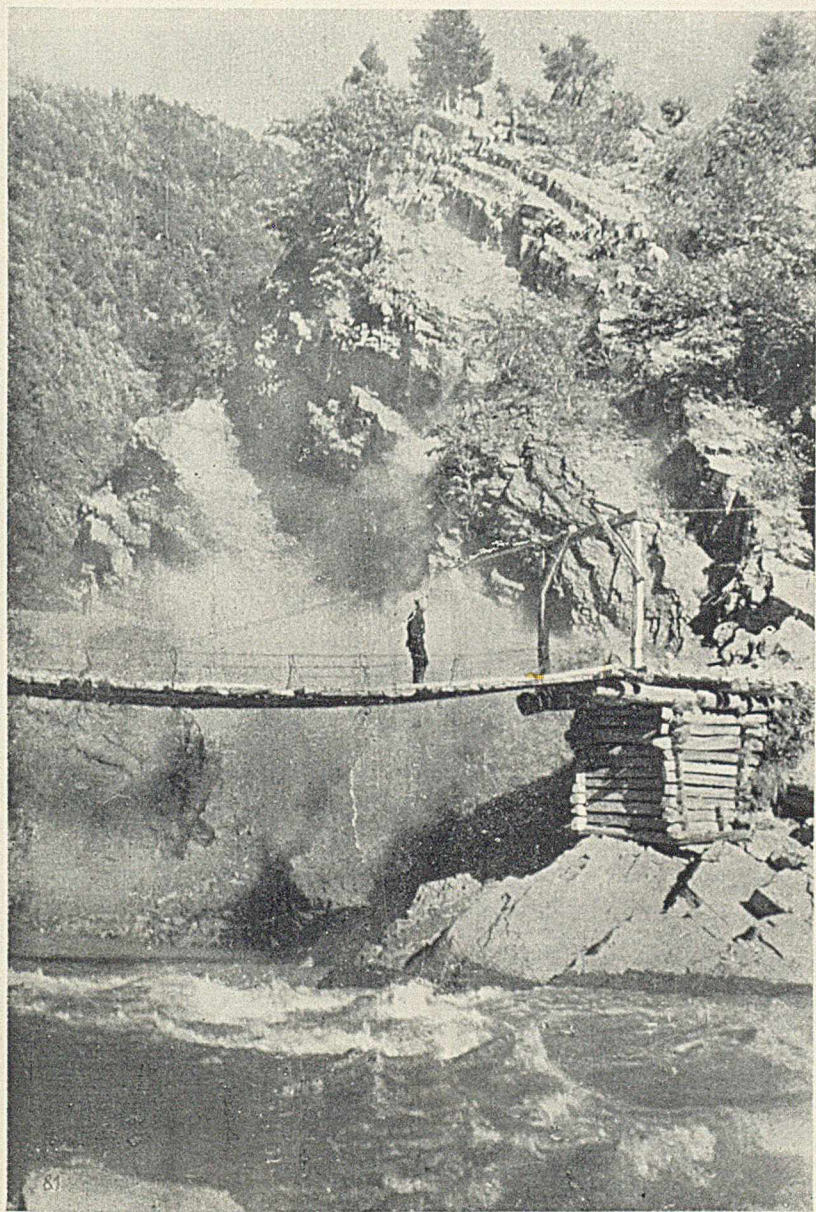
Starzec zaczął mówić dalej:

„Cały świat słuchał nauki Mokhanny i był mu oddany. Tylko ksiązę Said-i-Hirsi z Arabii sprzeciwiał mu się i groził wojną. Z niezliczoną ilością wojowników i niewolników przybył do Buchary i rozpoczął oblężenie fortecy, w której mieszkał prorok. Miasto oraz zewnętrzną część fortecy żołnierze Said-i-Hirsiego już zdobyli i tylko ta część, której Mokhanna sam bronił, opierała się wszystkim atakom. Przyjaciele jego uciekli ze strachu, gdy zobaczyli nieuniknioną porażkę, i Mokhanna stanął już oko w oko ze śmiercią.

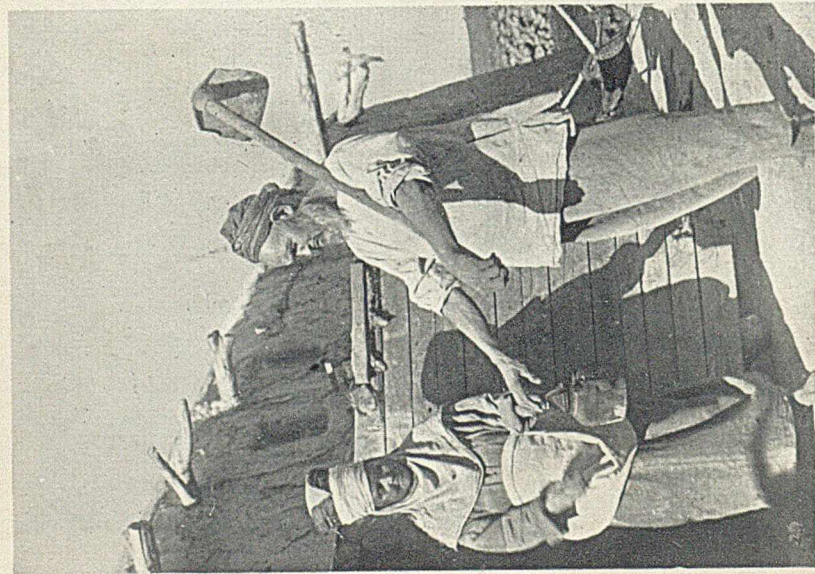
„Nie chciał jednakże żywcem dostać się w ręce nieprzyjaciela, ażeby nie zobaczono jego oblicza, którego nikt ze śmiertelników na ziemi nie widział. Zarządził więc ostatnią ucztę ze swymi żonami i dodał trucizny do wina. Wszystkie piły z wyjątkiem jednej, która zauważyła, jak prorok wsypywał truciznę do wina, i wylała sobie napój w zanadrze, ale udała, że umarła. Ta właśnie kobieta opowiedziała potem Said-i-Hirsiemu o tym, co się stało.

„Od trzech dni już Mokhanna kazał palić w wielkim piecu i znosił do niego wszystkie swoje skarby, następnie uciął swemu niewolnikowi głowę i z ciałem jego wskoczył w żar, gdzie też spalił się wraz ze wszystkimi swymi skarbami.

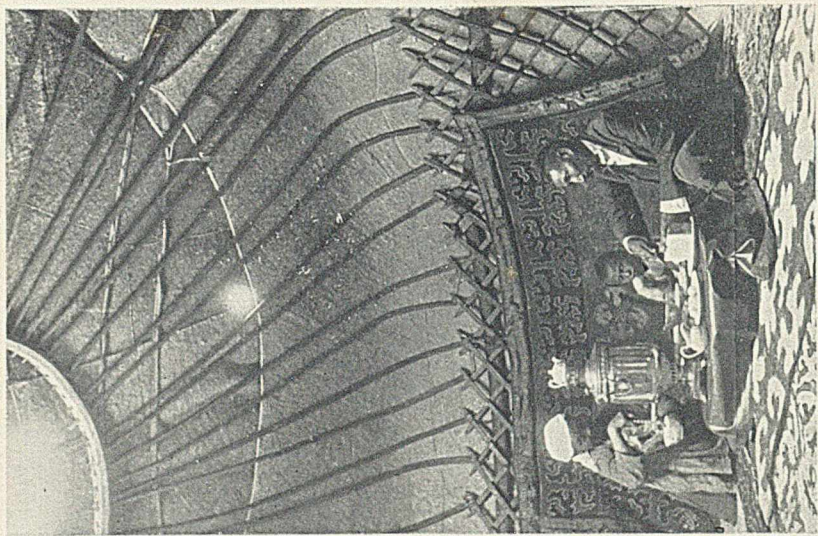
„Wiele dni czekał Said-i-Hirsi przed rozpalonym do



Most nad Izfairanem.



Osiadły rolnik turkmeński z Daraut-Kurganu z żoną.



Wnętrze jurty bogatego Kirgiza.

czerwonoci piecem na ukazanie się Mokhanny, ale prorok nie zjawił się już nigdy więcej.

„Kiedy następnie Allah zesłał na ziemię prawdziwego Proroka, pierwszym jego zarządzeniem był zakaz picia wina (szarab), od którego zginął Mokhanna“.

Starzec opowiadał przez długie godziny, aż wreszcie zmęczony położyłem się spać. Ale długo jeszcze słyszałem głos bazarza i jak mi opowiedział następnego dnia aksakal, słońce już wzeszło, kiedy słuchali ostatniej bajki.

Chętnie byłbym został dłużej jeszcze wśród tych wspaniałych ludzi, gdybym miał więcej czasu. Długo jednak zatrzymywałem się wszędzie i obawiałem się, że nie uda mi się już przedostać przez przełęcz Pamiru.

Na pożegnanie zaopatrzone mnie obficie w żywność i wyruszyłem w dalszą drogę, przy czym niemal połowa plemienia odprowadzała mnie daleko poza wieś.

Dopóki była dobra pogoda, obozowałem pod gołym niebem nad brzegiem rzeki Kizil-Su lub nad którymś z jej licznych dopływów, które wypływając przeważnie z Transałaju wpadają do Kizil-Su. Teren ten zamieszkują olbrzymie ilości świstaków. Gdziekolwiek tylko spojrzę, stały przed swymi norami na warcie, tak jak służą pieski, i gwiżdżąc głośno błyskawicznie znikają w swych norach, skoro mnie tylko ujrzały.

Rozwalone domy z gliny, grobowce, udekorowane buńczukami i rogami koziorożców, zapadnięte małe meczety oraz niezliczone ilości szkieletów zwierzęcych świadczyły o tym, że niegdyś droga ta była jedną z najważniejszych arterii komunikacyjnych Azji.

712 lat temu doliną tą uciekał Giczlik, cesarz Kara-Chotanu, ścigany przez Dżebego, wodza Dżingis-chana, który go dopędził przy Daraut-Kurganie i odciął mu głowę od tułowia. Dżingis-chan z głowy tej, oprawionej w srebro,

kazał zrobić dekorację swego tronu obozowego nad rzeką Kerulen.

Od kilku dni już wierzchołki Transałaju pogrążone były we mgle i wieczory stały się zimniejsze. Za wiele zużyłem czasu na dotychczasową drogę i postanowiłem całym poważnie dotrzeć możliwie prędej do Saridaszu, aby przynajmniej przedostać się przez przełęcz Taldik do Oszu, zanim spadną wielkie śniegi. Sto kilometrów drogi pomiędzy Daraut-Kurganem a Saridaszem mogłem śmiało przebyć w ciągu trzech dni. Jednakże wskutek moich zatrzymywań się w aulach kirgizkich zużyłem na przejście tego kawałka drogi prawie dwa tygodnie.

W Saridaszu spotkałem obozującą tam karawanę, która idąc z Kuldży przechodziła przez Taldik i zaskoczona została na samej przełęczy przez burzę śnieżną, przed którą z trudem udało jej się uratować. Przy czym mimo całej ostrożności i pośpiechu ofiarą burzy padło szesnaście zwierząt. Przewodnik karawany zapewniał mnie, że przed wiosną przez Taldik nikt już nie będzie mógł przejść.

I oto z całą moją mądrością stałem teraz jak przysłowiowy wół przed apteką.

Karawana udawała się dalej do Daraut-Kurganu, dokąd miała wyruszyć następnego dnia. Postanowiłem więc przyłączyć się do niej i wrócić.

NA DACHU ŚWIATA

Wczesnym rankiem kilkaset wielbłądów brzęczało już swymi dzwoneczkami i osły moje były również objuczone, gdy przed podziurawionym kulami rabatem powstał gorączkowy tłok. Podszedłem tam, aby zobaczyć, co się stało. Przybyła grupa Kirgizów i o ile udało mi się rozpoznać w szarym świetle zimnego ranka, drogą prowadzącą wprost na Pamir ciągnęły obok nas setki objuczonych wielbłądów. Przed naszym karawanbaszım stało kilkunastu przybyłych niedawno Kirgizów, a wśród nich aksakal aułu, w którym spędziłem ostatnie sześć dni.

Dowiedziałem się od niego, że Kirgizi pośpiesznie uciekają przed oddziałami czerwonej armii, złożonej z Tadżyków, oraz przed urzędnikami Sowietów, którzy przyszli w dolinę Ałaju, ażeby przeprowadzić wśród nomadów spis ludności.

Ponieważ Kirgizi wiedzieli, że taki spis ludności prowadzi do zapisywania ich nazwisk i plemion, a następnie grozi im obłożeniem podatkami, zerwali z pośpiechem tysiące jurt i oto znajdowali się teraz w drodze do Karakulu, gdzie woleli pozostawać mimo okropności zimy niż pozwolić się kontrolować urzędnikom.

Kiedy aksakal z całą powagą zaproponował, abym im towarzyszył i spędził z nimi zimę wysoko na Pamirze, nie zastanawiałem się długo, popuściłem wodze wrodzonej mi skłonności do przygód i chęci podróżowania, przyłączyłem swe osły do karawany i ruszyłem z Kirgizami.

Skoro orientujący się dobrze w warunkach górskich Kirgizi decydują się na walkę z Pamirem, dlaczegoż ja

niałbym nie zaryzykować tej walki razem z nimi? Tam gdzie może przeżyć tyle ludzi, na pewno nie zginę zostając pod ich opieką. Na pytanie, czy jego rodacy zechcą bez protestu żywić przez kilka miesięcy tak zwanego frengi (obcego), ponieważ nie mogą wiele zapłacić, zaśmiał się tylko i oświadczył mi, że będę jego osobistym gościem.

Aksakal wraz ze swym otoczeniem zatrzymał się przy nie opodal stojących kirgiskich jurtach, dopóki nie przejechało całe plemię.

Falowanie tej masy ludzi i zwierząt przypominało mi żywo pola bitwy podczas wojny światowej. Przechodziły długimi rzędami obok mnie objuczone wysoko wielbłądy i jaki, pomiędzy nimi uwijali się uzbrojeni ludzie, machając batami i przynaglając do pośpiechu.

W dolinach zostali tylko pasterze przy stadach, wszystko inne, co żyło i miało nogi, znajdowało się w podróży. W zdążający tłum karawany raz po raz wsuwały się inne plemiona i rody nadchodzące z licznych bocznych dolin Ałaju i zdążające również ku wyżej położonym okolicom.

Uderzyły mnie wielkie zapasy paszy; na pytanie moje aksakal oznajmił mi, że już od kilku miesięcy wiedzieli o jakichś planach Sowietów przeciwko wolnym Kirgizom i dlatego przygotowano wielkie ilości paszy dla wielbłądów i jaków. Z tych powodów właśnie nie można było wziąć ze sobą baranów, bydła i koni. Mimo to jednakże kilka tysięcy baranów musiało odbyć marsz wraz z karawaną aż do Kara-Kulu, gdzie zostaną zabite i zamrożone.

Wreszcie plemię Ajag-Kazaków (dolni Kirgizi) przeciągnęło obok nas i przyłączyliśmy się do pochodu.

Kiedy słońce weszło, spojrzałem poza siebie w dolinę. Niezmierzonym sznurem zdążyły za nami karawany wielbłądów. Cała horda stanęła na nogi, aby uciec przed urzędnikami Sowietów.

Wieża o ich przybywaniu musiała się roznieść z szybkością błyskawicy i gdy urzędnicy zjawili się na pastwiskach, znaleźli już tylko opróżnione tereny, a na pytanie zadane pasterzom stad, gdzie się podzieli ich właściciele, usłyszeli odpowiedź:

„Szunda-szunda! (Daleko! daleko!)

Po godzinie wydostaliśmy się na niewielkie wzniesienie, skąd droga szła w dół do rzeki Kizil-Su, którą przebyliśmy w bród. A ponieważ tak wielką ilość zwierząt należało przeprowadzić pojedynczo i ostrożnie przez rwącą wodę, powstało stąd duże opóźnienie i już było prawie ciemno, gdyśmy rozłożyli się jako tako obozem na wysokości 3.500 metrów przy schronisku Burtepe. Jurt nie ustawiano. Po wydaniu paszy wielbłądom i jakom każdy zawinął się w swe filcowe kołdry i wsunął pomiędzy zwierzęta, aby się ogrzać ich ciepłem.

Wczesnym rankiem trzeba było ruszać dalej.

Nie spałem długo w noc, z rozkoszą oddychałem czystym powietrzem górskim i przysłuchiwałem się wyciu wilków, które otaczały obóz, aż wreszcie uspiło mnie pluśkanie strumienia w Burtepe, wypływającego z lodowatych pól Kizil-Aginu.

Wczesnym rankiem obudziło mnie wycie i zawodzenie straszego wiatru pamińskiego. Toteż byłem już gotów, gdy Kirgizi zaczęli objuczać swe zwierzęta.

Droga tego dnia prowadziła przez ciasne wąwozy oraz liczne serpentyny stromo w górę. Po przejściu znajdującej się na wysokości 4.221 metrów przełęczy Kizil-Artu, która była już przykryta głębokim śniegiem, rozłożono się, podobnie jak i poprzedniego dnia, obozem obok stacji Kok-Sai. Poza tą przełęczą, dorównującą wysokością górze Mont Blanc, znajduje się kupa kamieni. Kilka słupów z buńczukami oraz wiele rogów pamińskich baranów wskazują na to, że pod kamieniami tymi spoczywa snem

wiecznym kirgiski święty, który miał się nazywać Kizil-Art. Tutaj karawany zatrzymują się i Kirgizi odbywają dziękczynne modły za szczęśliwe osiągnięcie „Bam-i-Dumiahu (Dachu Świata).

Noc na tej wysokości była dokuczliwie zimna, rankiem zaś schwyciła mnie z całą swą siłą choroba górską. Było mi trudno utrzymać się na zaofiarowanym mi wielbłądzie. Bez przerwy męczyły mnie torsje. I chociaż wypełniałem sobie nos śniegiem, nie mogłem opanować krwotoku. Wreszcie wskutek mocnego zawrotu głowy zsunąłem się z wielbłąda, szczęściem jednak nie uległem żadnym obrażeniom, gdyż wpadłem w miękki śnieg. Wtedy Kirgizi ułożyli mnie na noszach, przygotowanych naprędce z drągów od jurt, i przywiązali mocno powrozami.

Gdym się poczuł lepiej, wytknąłem głowę pomiędzy drągami i rozejrzałem się po okolicy. Po przekroczeniu przełęczy Jubi-Lak w oddali wynurzyły się położone w dole granatowe a prawie nawet czarne wody Kara-Kulu, w którego nurtach unosiły się bryły lodu metrowej grubości.

Przy schronisku Kara-Kul rozłożono się przedostatni raz obozem. Czułem się tak podle, że nie mógł po prostu patrzeć na żadne jedzenie. Ciągle zbierało mi się jeszcze na wymioty. Z troskani o mnie Kirgizi przynosili mi raz po raz herbatę, do której aksakal dodawał duże kawałki cukru, ponieważ kategorycznie odmówiłem picia herbaty z solą i tłuszczem baranim.

Im dalej droga spadała w dół, tym potężniejszy rozciągał się widok na olbrzymi płaskowyż, na którym znajduje się jezioro.

Po okrążeniu połowy jeziora zatrzymaliśmy się na wielkim acz pozbawionym niemal roślinności płaskowyżu, który swoją pustynnością sprawiał wrażenie księżycowego krajobrazu. W trójkącie pomiędzy zbiegającymi się

tutaj strumieniami Kizil-Dżikiem i Ak-Szilgą rozłożyliśmy się obozem, w którym miałem spędzić bez przerwy siedem miesięcy.

Na moją prośbę ustawiono mi własną jurtę, którą chciałem sobie urządzać możliwie wygodnie. Kiedym chciał pomóc kobietom przy ustawianiu filcowego namiotu, Kirgizi spojrzeli na mnie z uśmiechem. Aksakal Mahmed Szarejew oświadczył mi z naganą, że ustawianie namiotu jest zajęciem kobiet, niegodnym mężczyzny. Wobec tego usiadłem obok na ziemi i przyglądałem się obojętnie kobietom, jak przystoi mężczyźnie.

Jurta jest bezsprzecznie jednym z największych wynalazków Azji. Wobec swego okrągłego kształtu oraz kopulastego dachu łączy w sobie wygodę z największą statycznością. W styczniu podczas mego pobytu na Pamirze nad aulem bez przerwy wiały bardzo silne wiatry, a jednak nie przewróciły ani jednej jurty. Szkielet jurty składa się z mocnych, trzy lub czterocentymetrowej grubości prętów drewnianych, które wiąże się cienkimi rzemykami. Na te boczne ściany nakłada się wygięte pręty, które zbiegają się u góry w obręcz wielkości koła od wozu. Pierścień ten, jako najwyższa część dachu, służy za wentylator i ujście dla dymu. Wewnętrzna średnica jurty wynosi przeciętnie osiem metrów, wysokość — od dwóch i pół do trzech metrów. Ściany i dach przykrywa się z zewnętrznej strony grubymi filcowymi derami, które przywiązuje się mocno wokoło powrozami. Wewnętrzna ściana namiotu również przykryta jest derkami filcowymi w zwykłe kolorowe wzory.

Ponadto wewnętrzną ścianę obwiesza się jaskrawymi dywanami o niewymyślnych wzorach, które zyskały sobie sławę światową jako dywany samarkandzkie. Nazwa „samarkandzkie dywany“ pochodzi prawdopodobnie stąd, że jeszcze przed wojną dzielni kupcy kupowali od ko-

czowników tego rodzaju namioty i rozsyłali je z Samarkandy na cały świat.

Latem układa się na ziemi w jurcie cienką filcową derkę i w ten sposób podłoga jest gotowa. W zimie natomiast najpierw na gołej ziemi układają grubą warstwę filcowych dywanów, na to nasypują warstwę suchej trawy lub nawozu dziesięciocentymetrowej grubości i znów układają na tym warstwę filcu. Dzięki temu nawet przy najniższej temperaturze nie ma się w jurcie uczucia chłodu.

Pośrodku jurty pozostawia się okrągłe miejsce, przeznaczone na ognisko. Podczas pobytu w dolinach stoi tutaj mangan z węglem drzewnym, ale w górach, gdzie węgla drzewnego dostać nie można, przez całą noc i dzień tli się suszony nawóz zwierzęcy. Drzwi składają się z mocnej drewnianej ramy; w lecie są otwarte, natomiast w zimie zamyka się je kilkoma zasłonami z filcu i dywanów.

Po kilku miesiącach mieszkania w jurcie kirgiskiej najzupełniej zrozumiałem niechęć Kirgizów do zwykłych glinianych chat ludności osiadłej.

Domy z gliny w zimie wystawione są na mróz a w lecie na inwazję wszelkiego rodzaju pasożytów, gdy w jurtach nie widziałem nigdy oprócz wszy żadnych innych pasożytów, a więc ani skorpionów, ani tarantul. Kirgizi twierdzą, że ani ten olbrzymi pająk, ani skorpion nie zaryzykuje wejścia na filc. Aksakal przydzielił mi do obsługi dwie młode dziewczyny kirgiskie. Gdym męczony chorobą górską przewracał się na kołdrach, siedziały obok ogniska i szyły dla mnie wspaniałe futro ze skór koziorożców oraz ciepłą zasłonę na mroźne dni, z niezliczonej ilości skórek świstaków.

Codziennie o wschodzie słońca kobiety wyruszały z wielbłędami i zbierały w okolicy obozu jako też wokoło jeziora rosnące tu mizerne gatunki krzewiny na opał.

Wkrótce też pomiędzy jurtami piętrzyły się góry opału, który tak układano, że leżał albo osłonięty jurtami, albo stromymi skałami, ażeby go nie zmiotły gwałtowne burze.

Po trzech tygodniach choroby mogłem wreszcie opuścić jurtę. Niestety, nie posiadałem termometru do mierzenia temperatury powietrza i musiałem jedynie polegać na przypuszczeniach. Im bardziej miało się ku listopadowi, tym było zimniej. Wkrótce już trzeba było przez cały dzień palić ogień w jurcie, ponieważ zarówno woda jak i mleko stale zamarzały.

Dopóki panowała jaka taka pogoda, mężczyźni udawali się na polowanie i ja wraz z nimi. Cała kotlina sprawiała jakieś martwe, nierzeczywiste wrażenie. Wszystkie odłamy i występy skalne są okrągławe i oszlifowane. Trwające tu bez przerwy burze piaskowe wypolerowały skały na gładko. Żółty, miarki piasek wypełniał wszystkie rysy i szczeliny w skałach, i wydawało się, że cała ta okolica pokryta jest żółtym szkliwem. Otoczony żółtymi blokami łodu brzeg jeziora Kara-Kul, mającego okrągło dwieście kilometrów kwadratowych powierzchni, potęgował jeszcze to wrażenie.

Tylko tam gdzie niemal do samego jeziora sięgają języki lodowców i gdzie brzeg otaczają tereny bagniste, węgowała jaka taka roślinność.

Wokoło jeziora widać leżące wszędzie szkielety wielbłądów i koni, które tu rozszarpały wilki lub które zdechły z głodu. Codzienną naszą zdobycz stanowiły wielkie ilości koziorożców, baranów pamińskich i świstaków. Podczas takich konnych wycieczek myśliwskich, które trwały nieraz po kilka dni, docierałem z moimi towarzyszami daleko na południe aż ku granicy indyjskiej i do źródeł Amu-Darii, torującej sobie drogę na zachód przez dzikie, romantyczne doliny, nie dotknięte jeszcze stopą człowieka.

Kobiety pozostające w obozie doglądały dzieci, doily

wielbłądy i osły, szyły odzież i zbierały nawóz zwierzęcy na opał. Co wieczór musiałem wypraszać z mej jurty dziewczęta, zaczynały już bowiem zbyt u mnie zadomawiać.

Pewnego dnia jednak nadeszła przykra chwila. Aksakal przyszedł do mnie wieczorem do jurty, usiadł przy ognisku i popijając podaną mu herbatę zaczął mi przekładać:

— Nie jesteś już obcym człowiekiem w naszym aule!

Przeczulem, do czego zmierza chytry starzec. Ponieważ jednak przewidziałem to, miałem już gotowy plan obrony.

— Powiedziałeś, ata (ojcze).

— Czy masz w domu w swej ojczyźnie chanum (żonę), która na ciebie czeka?

— Tak, ata — skłamałem.

— Niedobrze, że sam mieszkasz w swej jurcie. Dni są krótkie a noce długie. Twoja chanum zrozumie, żeś wziął sobie na derki służebnicę.

— W mojej ojczyźnie nie ma tego zwyczaju, ata. Poza tym jestem biedny, nie mogę dać ani wielbłąda (szuter), ani konia (at), żeby zapłacić *kalim*.

— Nikt od ciebie nie będzie wymagał żadnego *kalimu*. Wielka dziewczyna, która jest twoją służebną, ma tylko *bibi* (babkę) jako krewną. I ona ci oddaje dziewczynę darmo. Już z nią rozmawiałem.

— Muszę się zastanowić, ata.

— Polowałeś z naszymi mężczyznami na koziorożce (kiik) i na świstaki (suur). Jesz nasze barany i pijesz naszą herbatę, żaden Europejczyk (urus) nie żył nigdy tak wśród nas jak ty. Kochamy cię wszyscy i wiemy, że nie zostaniesz u nas na zawsze, ale dziewczęta płaczą i chcą mieszkać w twojej jurcie.

— A ja chcę zostać sam i sam wolę robić to, co jest do zrobienia.

Powiedziałem to energicznie i głośno, co sprzeciwia się wyraźnie pojęciom Kirgizów o grzeczności. Poważne bowiem sprawy pomiędzy mężczyznami załatwiać należy cicho, jakby mrużąc do samego siebie.

— Mężczyźni wyśmieją cię.

— Zastanowię się i po kilku dniach dam ci odpowiedź. Przede wszystkim muszę poradzić się mego Boga.

Starzec uniósł czubeczek dywana i mocno pod niego splunął, co miało znaczyć, że uważa mnie za beznadziejnego durnia.

Wygrać na czasie — znaczy w ogóle wygrać. Przyczyną mej odmowy była obawa przed chorobami, którymi wszyscy mieszkańcy Azji Centralnej obdarzeni są szczerze. Poza tym Kirgizki nie odpowiadają ani naszym ideałom piękności, ani naszym pojęciom o czystości. Gdym się im nieraz przyglądał, jak siedząc w słońcu iskały się wzajemnie i schwytaną zdobycz z błyszczącym wzrokiem brały do ust, zdejmowało mnie takie obrzydzenie, że najchętniej przepędziłbym te dziewczęta i na dzień z mej jurty.

Przez kilka dni miałem spokój. Potem aksakal przyszedł znów. Kilkakrotnie siadał przy ognisku, brał sól i tłuszcz do herbaty, pił ją z głośnym ciamkaniem, aż wreszcie zaczął:

— Kilka dni temu byłem w twej jurcie jako gość.

— Pamiętam o tym, ata.

— Mówiłem wtedy z tobą o Maimasze.

— Tak, ata.

— Bibi mówi, że Maimacha ma piętnaście lat i nie chce dłużej być bez męża, jest to bowiem dla niej nieznośna hańba.

— Niechże więc wyjdzie za mąż za innego.

— Kiedy ona chce ciebie, Aka!

— Od kiedy to wśród Kirgizów panuje taki obyczaj,

że dziewczęta wybierają sobie mężczyznę, za którego chcą wyjść za mąż?

Przez długi czas starzec siedział w milczeniu, rozważając bez ruchu i patrząc w płomień.

— Weź bat i wybij jej tę myśl z głowy, a będziesz miał spokój.

— Zapominasz, że jestem urus. U nas kobiet się nie bije.

Znów nastąpiła dłuższa pauza. Napchałem *czilim* tytoniem z Fergany i podałem go starcowi. Następnie zacząłem znów mówić, aby wreszcie zakończyć tę sprawę.

— Ata, czy wiesz, co to jest *kafir*?

— Tak, niewierny.

— A więc widzisz, jestem *kafir* i w dodatku grzesznik, który złożył uroczyste ślubowanie, że przez trzy lata nie dotknie żadnej kobiety. Czyż mam dla Maimachy złać moje śluby? Tego chyba nie możesz ode mnie wymagać.

Starzec kiwnął głową i wstał. Zawinął się w futro i wyszedł z jurty.

Od tego wieczoru dano mi spokój z planami ożenku, a w kilka tygodni potem dowiedziałem się, że Maimacha pocieszyła się i za parę dni wyjdzie za mąż. I przy tym nie za takiego biedaka jak ja, lecz za młodego Kirgiza, który mógł wypłacić nawet dosyć duży *kalim*.

Gorliwie przygotowywano wszystko na uroczysty dzień. Kobiety robiły *buse*, napój alkoholowy z kumysu o wstrętnym zapachu i smaku, którym ludzie upijają się z piorunującą szybkością, ale który pije się tylko podczas wielkich uroczystości, ponieważ Kirgizi są w ogóle bardzo wstrzemięźliwi.

Ustawiono dwa wielkie żelazne kotły i przykryto je świeżymi, krwawiącymi jeszcze skórami baraniami. Po wyschnięciu skóry szczelnie przywierają do kotłów i za-

mykają je prawie hermetycznie; następnie oprócz tego brzezi okleja się jeszcze gliną. Pośrodku skór wycina się dziury i łączy się oba kotły rurą. Większy kocioł przedtem prawie pod wierzch napełnia się kumysem. Z kolei rozpala się pod pełnym kotłem ogień i para z niego uchodzi przez rurę do mniejszego kotła, gdzie skrapla się w postaci mlecznego płynu o dużej zawartości alkoholu.

Busa posiada tę bezsporną wyższość nad innymi trunkami, że po jednorazowym jej użyciu można upić się dwa razy pod rząd. Kiedy Kirgizi następnego ranka, prześpawszy się już po upiciu, napili się wody, w kilka minut potem już zataczali się wokoło pijani. Dziwny ten stan powstaje stąd, że stałe, pozostające w żołądku części *busy* rozpuszczają się w wodzie i znów wydzielają alkohol.

Rano uroczystość rozpoczęła się czymś w rodzaju wstępu. Otóż odbyła się *baiga*, w której wzięło udział około trzystu jeźdźców. Miałem przy tym okazję przekonania się, że Kirgizi są chyba jeszcze lepszymi i wytrwalszymi jeźdźcami niż Turkmeni. Z dzikimi okrzykami i wrzaskiem w galopie zdobywają najbardziej strome zbocza, co pociąga za sobą wiele upadków. Obawiałem się już, że będę musiał kłaść w łupki połamane ręce i nogi, jednakże skończyło się na kilku zdrapaniach naskórka.

Następnie zaprodukowano śpiewy przy akompaniamencie niezwykle monotonnej muzyki, którą wydobywało ze swych instrumentów kilku grajków na *czermeku*, *du-tarze* i *girszeku* (prymitywne gitary i skrzypce).

W ślad za tym uroczyście wręczono *bibi kalim*, składający się z dwóch wielbłądów i dwóch jaków.

Był to sygnał do ogólnego pijaństwa. Zaczęto pić *busę* i po godzinie w całym aule oprócz mnie nie było ani jednego trzeźwego człowieka. Odrażająco kwaśny smak *busy* uratował mnie od picia razem z mymi gospodarzami. Kpiono ze mnie powszechnie, żem pogardził piękną na-

rzeczoną, która tak dumnie na pokaz nosiła swój *sakele* (strój na głowę dla narzeczonej), a którą mogłem mieć zupełnie darmo.

Nowożeńca nic to zgoła nie obchodziło, że ja, głupi *frenği*, pogardziłem tak piękną dziewczyną.

Na pytanie moje, czy Maimacha wstępuje w związek małżeński jako dziewica, wyjaśniono mi, że nikt nie może ani marzyć o znalezieniu piętnastoletniej dziewczyny, która byłaby jeszcze niewinna.

Gdy mężczyźni i kobiety leżeli popici wokoło, nowo-upieczony małżonek ujął swą narzeczoną za rękę i wyprowadził chwiejącą się postać do swej jurty.

Takie było zakończenie obrzędu zaślubin. Innych ceremonii Kirgizi nie znają.

Całkowicie biedni chłopcy wśród Kirgizów nie mogą założyć sobie domowego ogniska, dopóki nie zapłacą *kalimu*. Wobec tego wynajmują się u swych jedнопlemięńców za pasterzy i zbierają sobie sumę potrzebną na kupno żony, albo też czekają, dopóki nie zdobędą wymaganego *kalimu*, składającego się ze zwierząt, napadając i ograbiając inne plemiona.

Jeżeli umiera mąż, to żona nie ma prawa wrócić do swych rodziców albo wziąć sobie za męża innego mężczyznę. Przeciwnie, pozostali krewni nieboszczyka przyjmują ją jako dziedzictwo wraz ze stadami i namiotami. I nikogo to nic nie obchodzi, że staje się teraz własnością brata lub ojca swego męża i do końca swego życia zależy od ich chęci i woli ma być jucznym zwierzęciem spadkobierców albo służyć im za konkubinę.

Ponieważ Kirgizi nie znają pojęcia kazirodztwa, żenić mogą się ze sobą nawet bliscy krewni.

Po weselu Maimachy, która aż do ostatniego dnia wykonywała swe czynności w mym namiocie, pozostała mi tylko brzydka, ale niepospolicie pracowita i posłuszna Be-

lem. Regularnie jakby według zegarka zjawiała się w jurcie o świcie i wychodziła wieczorem, gdy dał jej do zrozumienia, że chce położyć się spać.

Choroba górska przeszła mi zupełnie i czułem się szczęśliwy i zadowolony jak ryba w swym żywiole. Zrobiłem sobie świece z baraniego łożu i bawełny i kiedy na zewnątrz wiał taki wicher, że nawet przyzwyczajeni do niewygody Kirgizi nie udawali się na polowanie, zapalałem sobie kilka takich własnoręcznie wyprodukowanych świec i naprawiałem prymitywnymi narzędziami, jakie miałem pod ręką, wszelkie możliwe sprzęty domowe dla całego plemienia. A więc naprawiałem flinty, rewolwery, zamki do skrzyń i sprzączki do pasów, nitowałem dziury w garnkach i reperowałem mangaly.

Przychodziło do mnie w odwiedziny tyle ludzi, ile namiot mógł zmieścić, i ze zdumieniem przyglądano się, jak robiłem to wszystko.

Pewnego dnia skonstruowałem pułapkę do chwytania świstaków, a kiedy okazało się, że jest doskonała, robiłem je na zamówienie dalej.

Kiedy burze nieco zelżały, pociągnęło mnie polowanie na koziorożce i jezioro Kara-Kul, w którym na próżno szukałem ryb. Całe jezioro jest zupełnie bezrybne i zamieszkuje je tylko niezliczone ilości wszelkiego gatunku raków. Kirgizi opowiadali mi, że w lecie wszędzie naokoło jeziora zakładają gniazda wielkie ilości ptaków, których nazwy nie znali. Na jesieni ptaki te znikają. Jezioro poważnie było pokryte cienką skorupą lodu; kiedy ją raz rozbił i spróbował wody, poczułem słaby smak soli i saletry.

Mijały miesiące. Poziom mojego życia spadł do poziomu życia Kirgizów. Dewizą moją było jeść, polować i spać; zacząłem poważnie tyć. Kilka miesięcy temu już powinienem był być w Tabrysie. Kanadi na pewno myślał już od

dawna, żem padł ofiarą swej chęci przygód, toteż wyobrażałem sobie jego minę, kiedy mnie znów zobaczy. Ale na to musiał jeszcze długo czekać.

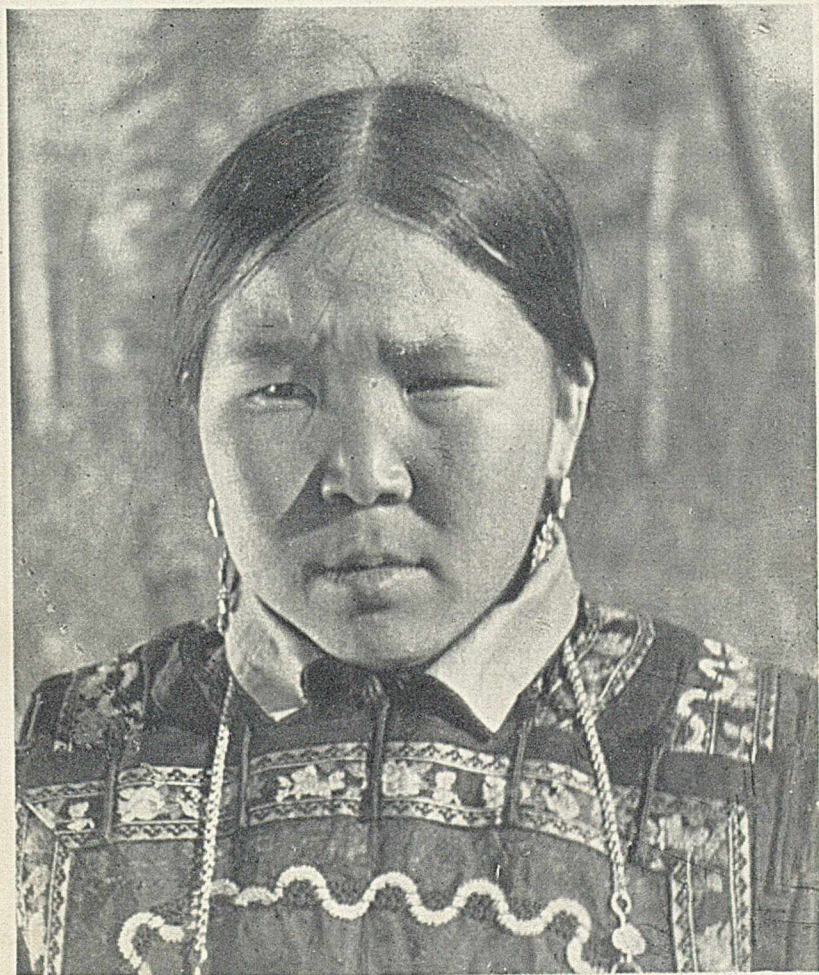
W wigilię Bożego Narodzenia zrobiłem sobie osiemnaście małych świeczek i udekorowałem nimi ustawiony w namiocie krzak tarniny. Następnie ugotowałem z resztek ryżu i cukru miskę ryżu z mlekiem i zaprosiłem najlepszych swych przyjaciół do namiotu. Krzak ubrany palącymi się świeczkami wzbudził ogólny zachwyt i bardzo żalowano, że każdemu przypadło tak mało ryżu, który świetnie smakował. Z okazji świątecznego dnia wydobyłem maszynkę do golenia i ogoliłem sobie brodę, która mi dobrze już wyrosła, przy czym zmieniłem się tak dalece, że moi goście prawie mnie nie poznali.

W początkach marca zaczął padać śnieg, a w kilka dni cała okolica zamieniła się we wspaniałą krajobraz polarny. Głęboki śnieg przykrył piargi i zbocza górskie oraz całe jezioro. Akurat naprzeciwko wejścia do mego namiotu zsunęły się lodowce z gór Uszba i sięgały niemal obozu, gdy na zachodzie błyszczały w słońcu lodowe pola łańcucha górskiego Tanima. Po spadnięciu śniegu ociepliło się i burze osłabły.

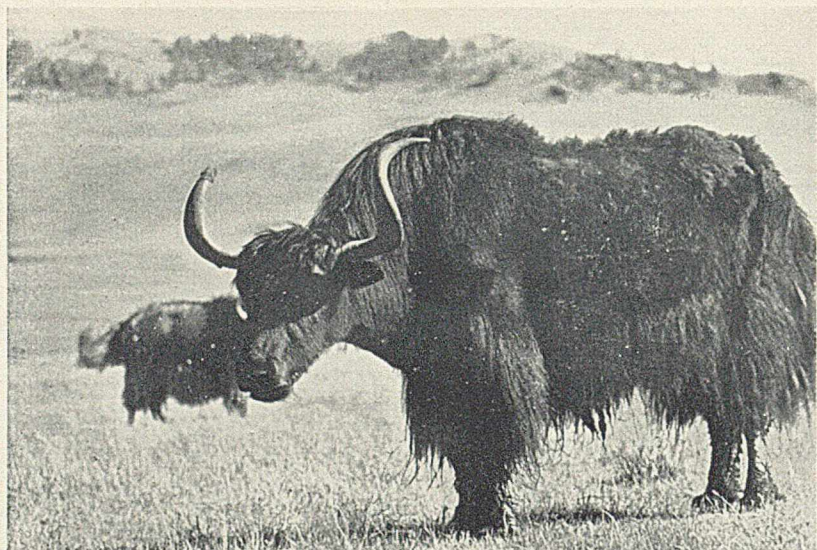
Wkrótce wszystkie nie przykryte części ciała zaczęły mi się łuszczyć, bo przed mocną operacją słońca nie ratowało nawet obfite smarowanie się tłuszczem baranim.

W ten sposób minął marzec i kwiecień. W początkach maja śnieg zniknął równie prędko jak spadł i po kilku dniach spomiędzy kamieni wyrzała świeża zieleń; było jej jednak tak mało, żem się cieszył z każdej poszczególniej roślinki, którą znalazłem.

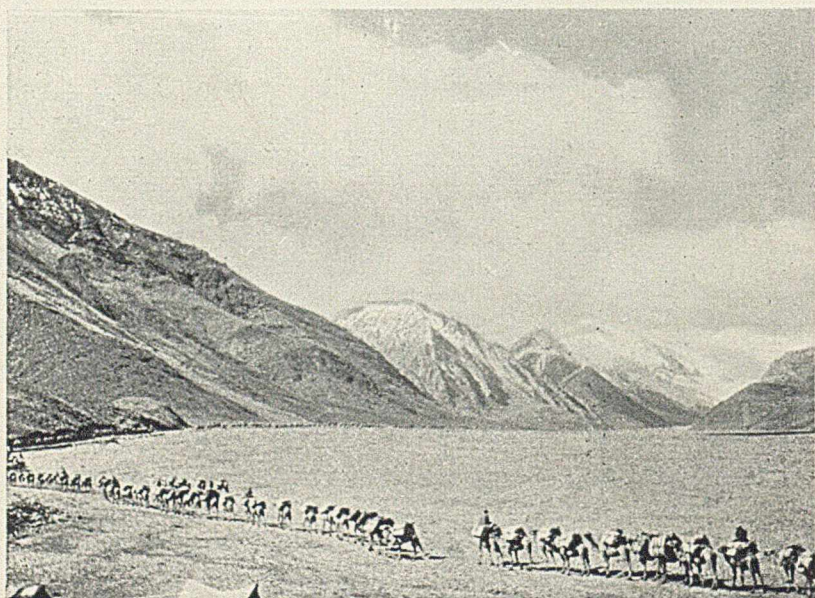
W połowie maja zaczęto związać obóz. Kirgizi chcieli jechać w dolinę Kizil-Su, a stamtąd na wschód, na teren chiński, ja zaś zamierzałem udać się znów w dół rzeki Kizil-Su aż do Amu-Darii. Wiele dni przedtem wyruszyło



Maimacha, mloda Kara-Kirgizka.



Jak, uniwersalne zwierzę górskich Kirgizów.



Kirgizi uciekający w okolice Pamiru.

kilku jeźdźców na wielbłądach, ażeby sprowadzić na miejsce spotkania olbrzymie stado z doliny Ałaju.

24 maja wszystko było już gotowe. Wszyscy byli zadowoleni i pełni nadziei. Nawet wygłodniałe zwierzęta wiedziały, że idą znów na soczyste pastwisko i spokojnie przyjmowały na grzbiety najcięższe juki.

W dwa dni potem zatrzymaliśmy się w dolinie Kizil-Su obok ruin Saridaskiego rabatu. Leżało tu znacznie więcej śniegu niż o 1.500 metrów wyżej, wobec tego przy ustawianiu jurt trzeba było go najpierw odrzucić łopatami. Przed rozstaniem się z Kirgizami zamieniłem jeszcze swe osły na dobrego wielbłąda i potem całe plemię odprowadziło mnie dosyć daleko. Koło Urszanu spotkałem wlokące się pod górę stado. Przez długie godziny przeciągała obok mnie szeroka rzeka baranów, bydła i koni, strzeżona przez psy i pastuchów. Wreszcie wszystko to przeszło i kiedym żegnał się z synem aksakala, który zamykał transport, nagle w oczach poczułem łzy, nie przeczuwając zgoła, że żegnał ostatni pochód prawdziwie wolnych Kirgizów.

O jakieś trzydzieści kilometrów dalej na zachód zobaczyłem niemal tuż przed sobą wynurzającą się wielką gromadę jeźdźców, w których z łatwością rozpoznałem wojskowych. Towarzyszyły im wielbłądy i muły objuczone olbrzymią ilością żywności.

Przed wszystkim bardzo dokładnie zrewidowano mnie i mój bagaż. Z niedowierzaniem słuchali mego opowiadania, gdym kłamał, że całą zimę spędziłem w Saridaszu. Powoli też dowiedziałem się celu ich wyprawy. Jechali z Duszamby, stolicy Tadżykistanu, i mieli się spotkać pod Saridaszem z kolumną wojskową, idącą z Fergany przez Osz; następnie zamierzali wspólnie udać się do placówki Pamirskiej (Pamirskij post), aby zrobić wreszcie porządek ze znajdującymi się tam powstańcami i rabusiami. Oddział był uzbrojony, jakby zdążył na oblężenie jakiegś

wielkiej twierdzy, nie zaś po to, by zająć mizerny fort, okupowany przez bandę nie zdyscyplinowanych rozbójników.

Gdyby Sowiecom udało się usadowić mocno na Pamirze, byłby to koniec wolności Kirgizów. Rządowi radzieckiemu nie wymknie się już wtedy tłusty kęs podatku, który może ściągać z bogactwa Kirgizów w bydło. Poza tym postara się przykrócić również gospodarczą i polityczną wolność ostatniego naprawdę wolnego ludu w granicach Unii Sowieckiej. A może i zupełnie zawiesić tę wolność.

Rząd carski dwa razy tylko próbował narzucić swoją wolę turkiestańskim plemionom koczowniczym i przeprowadzał to z wielką ostrożnością, która miała stopniowo stworzyć warunki do całkowitego ich pokonania. Przede wszystkim zbudowano księżętom plemiennym na koszt państwowy małe pałace i zamki, licząc na to, że tą drogą można będzie Kirgizów skłonić do życia osiadłego. Ale chanowie ustawili wokoło pięknych nowowypbudowanych domów swe jurty, w których mieszkali dalej, kiedy zatrzymywali się w pobliżu tych osiedli. Wspaniałych budynków natomiast używali na stajnie dla swych wierzchowców.

Druga próba schwywania Kirgizów na przynętę religijną również się nie udała. Rząd rosyjski posłał plemionom Kirgizów, którzy początkowo byli poganami, setki mahometańskich mułłów, w tej myśli, że wszyscy mieszkańcy Azji wyznają islam. Kirgizi, którzy bardzo chętnie słuchają różnych opowiadań, pozwalali mułłom mówić i nic nie mieli przeciwko temu, gdy mułłowie zaproponowali im przystąpienie do wyznania muzułmańskiego. Następnie prawie wszystkie ludy i plemiona oświadczyły, że uznają się za mahometan. Ale duchowni nie zdobyli przy tym na nich żadnego wpływu, a właściwie to

tylko było celem Petersburga. Wobec tego rząd carski zaniechał dalszych prób i pozostawił Kirgizów w spokoju.

Oczywiście takiej tolerancji pod panowaniem Sowie-
tów nie można było oczekiwać. To co pod tym względem
przeżyła osiadła ludność, działało na Kirgizów odstrasza-
jąco i potrafili aż dotychczas zachować swoją wolność,
przebywając na trudno dostępnych terenach Pamiru. Dla-
tego też powstańcy, którzy osiedlili się w wojskowych
placówkach carskich, popierali ich w miarę swych moż-
ności. Skoro jednak punkty te dostaną się w ręce Sowie-
tów, tym samym los Kirgizów zostanie przypieczętowany.

Dziwnym zbiegiem okoliczności przeżyłem w Turkie-
stanie ostatni akt tego dramatu kirgiskiej wolności.
W kilka tygodni potem dowiedziałem się w Duszambie,
że posuwający się na przód żołnierze sowieccy zastali ko-
szary i posterunki graniczne Pamiru najzupełniej puste.
Najwidoczniej załogi przeszły już w jesieni na teren chiń-
ski, przekonawszy się, że nie będą się mogły dalej opierać
coraz bardziej skonsolidowanej armii i potędze sowieckiej.
A może im również zabrakło już środków żywności i amu-
nicji.

Przybyłem znów do Daraut-Kurganu, który niegdyś
był najbardziej uczęszczaną miejscowością graniczną
i celną pomiędzy Bucharą a rosyjskim Turkiestanem, dzi-
siaj jednak dzięki związkowi celnemu pomiędzy turkie-
stańskimi państwami Unii nie ma żadnego znaczenia.

W chwili mego przybycia w namiotach obozowała wiel-
ka ilość sowieckich wojskowych, którzy zatrzymali się
tutaj w charakterze rezerwy dla przedostających się
w głąb Pamiru oddziałów.

Europejskie moje ubranie dawno już musiałem wymie-
nić na kirgiskie, ponieważ było tak porwane, że po prostu
spadało ze mnie.

Daraut-Kurgan leży o jakieś dwa tysiące metrów ni-

żej niż przełęcz Kizil-Art i ta różnica wysokości dzięki promieniom słońca dawała mi się mocno odczuwać. Mając bowiem na sobie futro kirgiskie, ociekałem po prostu potem przy najmniejszym ruchu. Musiałem więc moje futro ze skóry koziorożca i futrzaną czapkę zamienić na chałat tadżycki oraz turban, zwany tutaj „*tiubeteka*“. Ponieważ nie mogłem znaleźć żadnych odpowiednich *iczig* (skórzane pończochy Sartów), nabyłem parę zapinanych pończoch, robionych podobnie jak dywany z wełny wielbłądziej i bardzo mocnych.

Za Daraut-Kurganem dolina Ałaju jest nieco węższa. Wzrok pieści piękny drzewostan oraz kwitnące krzewy wszelkiego rodzaju. Osiedla spotykałem już coraz częściej, a wkrótce ukazały się uprawne i zieleniejące pola, co było znakiem, że się zbliżałem do okolic zamieszkałych.

Przez Kurg-Su, Sau-Ur, Sarigul, Adzi-Chalma i Ak-Sai dotarłem do Damburdzi, które leży przy spływie rzek Muk-Su, powstałej z wód lodowca Tanima, oraz Kizil-Su, zwącej się już odtąd Surchabem.

Z rzadka tylko spotykałem tutaj jurty i koczowników, wszyscy bowiem uciekli przed czerwoną armią. Pozostali jedynie Tadżykowie i Sartowie. Spotykałem również coraz więcej schronisk i herbaciarni i po ośmiomiesięcznej niemal przerwie najadałem się znów do syta szaszłykiem. Udało mi się też uzupełnić zapasy cukru i herbaty. Powitałem wreszcie z radością papierosy, bez których obywatłem się tak dawno, zadowalając się z konieczności przez cały czas *czilimem*.

Za rzeką Muk-Su zaczęła się okolica Karateginu (Kraj Czarnych Gór) — jedna z najżyźniejszych części wschodniej Buchary. Jałowce spotykałem coraz rzadziej, wszędzie natomiast stały wielkie grupy srebrzystych topoli oraz czarnego wiązu.

Nie potrzebowałem już żyć teraz jak dziki człowiek.

Myłem się i goliłem regularnie, co dla mieszkańców wsi zawsze było *tomasza* (zabawą ludową), gdy przyglądali się, jak mydlę twarz i małym aparatem zdejmuję sobie z policzków włosy. Turkiestańczycy nie mydlą twarzy przed goleniem, moczą sobie tylko nieco brodę wodą i obskrobują ją. Również zabronione jest wszelkie mycie się z wyjątkiem ablucji religijnych, które ograniczają się do obmywania czubków palców i ust.

Za Damburdzi dolina Surchabu staje się znów szersza. Rzeka otrzymuje potężne zasilki wody ze strumieni, które spadają w dolinę przez liczne wąwozy z języków lodowcowych Gór Piotra Wielkiego, tworząc po drodze wiele wodospadów.

Przed Jarai spotkałem górskich Tadżyków, zdążających pieszo przez Dengiz-Bej do Fergany. Niektórzy z nich poznali mnie i zatrzymali się, żeby trochę pogadać. Byli to ludzie, których spotkałem poprzedniej jesieni w schronisku pod Dengiz-Bej, gdy udawali się w powrotną drogę do Karateginu. Kilku z nich niosło ciężary nie mniejsze niż te, jakie noszą zwykle osły, a mimo to ludzie ci przechodzili dziennie po czterdzieści kilometrów.

Jarai jest wielką wsią, w której mieszkają Uzbegy i Tadżykowie. Bogate plantacje owocowe jaśniały bukietami kwiecia. Przez tyle miesięcy widziałem tylko czerwone skały, śnieg oraz brudnobrązowe ściany jurt, nic więc dziwnego, że ta wioska z gliny wydała mi się rajem. Kwitły miliony polnych róż, a łąki usiane były pierwiosnkami. W przeciwstawieniu do Kirgizów, Tadżykowie i Uzbekowie pracują w polu, za to kobiet prawie się nie spotyka. Wszędzie widać *ariki*, czyli małe nawadniające kanały. Gdzie okiem rzucić, pełno kosiarzy koszących wysoką koniczynę. W powietrzu unosi się mnóstwo motyli o przepysznych barwach. Pełno ich zwłaszcza w tej części Buchary. Ruch bolszewicki jednakże mimo bliskości sto-

licy nie znalazł tu jeszcze wśród ludności pewnego poparcia. Kobiet z odsłoniętymi twarzami nie spotykałem prawie wcale.

Gdy nocowałem w Liangaraszu, *czaj-chanczik* obudził mnie bardzo wcześnie i zażądał, żebym opuścił jego dom. Zapytany o powód, oświadczył mi, że właśnie jest piątek (mahometańska niedziela) i aksakal kiszłaku nie chce, żeby niewierny przez piątek pozostawał we wsi. Kazałem pokazać sobie, gdzie mieszka aksakal, i zaprotestowałem przeciwko wydalaniu mnie. Okazało się, że namówił go mułła, żeby mi nie udzielił dłużej prawa pobytu w kiszłaku, w przeciwnym bowiem razie wieś spotka nieszczęście. Nie sprzeciwiając się dalej włożyłem juki na wielbłąda i ruszyłem w drogę do Harmu.

Surchab płynie tu szeroko i potężnie, tworząc liczne wyspy, pełne wszelkiego rodzaju ptactwa.

O głębokiej religijności mieszkańców można wnosić już chociażby z tego, że nawet w najmniejszym kiszłaku znajdował się meczet. W przeciwstawieniu do całego Turkiestanu meczety są budowane nie z gliny, lecz bardzo misternie wykończone z drzewa, przy czym filary w tych meczetach bywają częstokroć pięknie rzeźbione i malowane. Stojący na uboczu minaret wykonany jest również z drzewa lub zbudowany z kamienia.

Po obu stromych zboczach doliny Surchabu zauważyłem wiele zamieszkałych pieczar, które znajdowały się na niedostępnych niemal miejscach o kilkaset metrów nad poziomem doliny. Były one wszystkie zamieszkałe, a więc według moich obliczeń musiało tam się mieścić kilka tysięcy troglodytów. Tak czy owak, nie mogłem znaleźć przyczyny zmuszającej do mieszkania w pieczarach, ponieważ w dolinie było dosyć miejsca do postawienia kilku tysięcy domów. Dopiero w Harmie dowiedziałem się, że mieszkańcy pieczar należą do bucharskiej sekty wyzna-

niowej, która niegdyś była prześladowana przez islamistów i cofnęła się na skały. A chociaż dzisiaj panuje tu zupełna swoboda pod tym względem, ludzie ci jednak wolą w dalszym ciągu mieszkać w pieczarach i po każdą kroplę wody schodzić po niebezpiecznych kamieniach w dolinę.

Chociaż Harm jest siedzibą bega i głównym miastem wschodniej prowincji Karateginu, mimo to jest to jedna z najnędniejszych i najbrudniejszych dziur, jakie w ogóle widziałem w Azji Centralnej.

Zawalone domy, uliczki i drogi pełne błota sięgającego po kostki, nieszczęsny bazar, na którym nie można dostać ani papierosów, ani suszonych owoców, nie posiadający okien i brudny budynek rządowy, mrukliwi mieszkańcy — oto jak wygląda ta stolica prowincji.

Dalsza moja droga prowadziła przez liczne wąskie mosty i stromo w górę do Obi-Harmu, który odwiedzałem już w 1919 roku. Niedaleko od miasta w niedostępnych prawie, skalnych kotlinach trzydziestu sześciu Austriaków podczas wojny światowej wyrabiało w interesie własnej ojczyzny broń przeciwko Rosjanom, w dosłownym znaczeniu tego słowa.

W roku 1916 agenci emira Buchary porozumieli się z jeńcami wojennymi w obozach w Katta-Kurganie, Samarkandzie i Taszkencie i zwerbowali pierwszorzędne siły, przeważnie dobrze wyszkolonych rusznikarzy, którzy uciekli z obozów przy pomocy Bucharów i Sartów i tajemniczymi drogami przeprowadzeni zostali najpierw do Buchary a stamtąd do Obi-Harmu, gdzie wielkim nakładem pracy zmontowali prawdziwy arsenał, który wytwarzał amunicję karabinową i pociski armatnie.

Maszyny i surowce sprowadzono do kraju okólnymi drogami, ponieważ Chiny i Afganistan montowały tu również karabiny maszynowe i karabiny ręczne, które nadchodziły do Obi-Harmu rozebrane na części.

Atoli podczas nagłego napadu Rosjan na Bucharę emir, jego ministrowie i generałowie kompletnie stracili głowy i najkrótszą drogą umknęli do Afganistanu.

Drugiego dnia mego pobytu w Obi-Harmie wypożyczyłem sobie konie od *czaj-chanczika* i pojechałem w góry do ruin arsenału. Wyszadzono go w powietrze. Nie został kamień na kamieniu. Wodociągi stanowiły jedno rumowisko. Pomiędzy szczątkami murów bieleły się jeszcze w nieładzie części przewodów, dynamomaszyny, transmisje. Nie opodal Tadżykowie zbudowali sobie z gruzów kamienne budowle, w których mieszkali. Z wielkim trudem udało mi się wzbudzić w nich tyle zaufania, że opisali mi upadek arsenału.

Według ich opowiadań czterestu pozostałych Austriaków wraz z sześciuset ludźmi regularnej armii bucharskiej oraz wrogami Sowieców, ochotnikami, którzy tu zbiegli, stawili zacięty opór atakującym ich Rosjanom.

Dzięki obfitym zapasom amunicji oraz lepszej broni mogli przez cztery miesiące przetrzymać napór źle uzbrojonych Rosjan.

Nie cierpieli również na brak żywności, ponieważ zaopatrywano ich obficie od strony położonych z tyłu dolin.

Kiedy Rosjanie zrozumieli, że nie mogą złamać tego oporu, sprowadzili z Taszkientu na pomoc dwa aeroplany i dopiero wspomagani ich atakami zdołali zawładnąć arsenałem.

Pozostała załoga została wycięta w pień. Tragiczny los zrządził, że główny udział w zdobyciu arsenału przypadł żelaznej brygadzie międzynarodowców (jeńcy austriacko-węgierskiej armii). Tak więc i tutaj austriaccy żołnierze mordowali się wzajemnie dla obcej im sprawy.

Długo siedziałem przed gruzami tego budynku, gdzie niegdyś budowano maszyny do wytwarzania złotej i srebrnej blachy, z której biłem monety dla emira w Bucharze,

dopóki praktyczni mułlowie i mufti nie wypowiedzieli się przeciwko temu, żeby w świętej wówczas Bucharze wytwarzano pieniądze za pomocą maszyn pochodzących od szatana. W nocy musiałem uciekać przez granicę.

Za Obi-Harmem porzuciłem Surchab, który tak długo był mi towarzyszem podróży, i jadąc wzdłuż brzegów jednego z dopływów tej rzeki wspinałem się na wyżyny, gdzie leży Fajzabad, największe miasto wschodniej Buchary, składające się z około 2.000 domów.

Niezwykle bogata w owoce dolina dostarczała już pierwszych w tym roku wiśni i moreli, których spożywaniu oddałem się z całą rozkoszą.

Płaskowyże i doliny leżące pomiędzy górami Hissar a łańcuchem górskim Darwas są najżyźniejsze w całym Turkiestanie. I tu już zaczynają hodować jedwabniki, a niezliczone ilości drzew morwowych nadają temu krajowi specyficzny wygląd.

PRZEZ UZBEKISTAN

Pod Fajzabadem bierze swój początek jeden z dopływów Kafirnaganu. Otóż przez pewien czas droga biegnie wzdłuż tego dopływu, następnie wijąc się licznymi serpentydami pnie się w górę wzdłuż stromych ścian górskich, wysoko ponad rzeką.

Kafirnagan leży nad rzeką tej samej nazwy w rozległej kotlinie wysokogórskiej. Podczas pierwszej mojej podróży do Obi-Harmu kusz-begi, w którego towarzystwie znajdowałem się, przyjmował tutaj bega oraz dygnitarzy tego okręgu, gdy ja musiałem chować się w mym namiocie. Nie widziałem więc prawie tej miejscowości.

Kafirnagan tworzy jakby wyspę w islamskim morzu Buchary, zamieszkaną jest bowiem (jak to mówi jego nazwa) przez kafirów (niewiernych), którzy mniej więcej sto lat temu przywędrowali tu z Kafiristanu w Afganistanie, by założyć osiedle.

Podanie mówi o kafirach, że stanowią oni ostatnią pozostałość po rozległym niegdyś ludzie chrześcijańskim w Azji Centralnej. Dzięki swej skromności i zdolności przystosowywania się nie tykani byli przez mahometan (z wyjątkiem przygodnych pogromów). W przeciwstawieniu do żydów mogli w Bucharze nabywać ziemię i posiadali równe z mahometanami prawa. Kafirnagan jest czystą miejscowością, posiadającą rozległe winnice.

Przez szeroką, niezwykle żyzną dolinę droga prowadzi stąd do Duszambu (dzisiaj Stalinabad). Duszamba była pierwszą większą miejscowością, do której zajechałem po opuszczeniu Skobelewa. Od chwili powstania tutaj urzędów władzy okręgowej i rady Tadżyków miasto bezspornie

wygrało wiele. Zbudowano wiele gmachów w stylu europejskim, a w tej liczbie zupełnie możliwy hotel, oczywiście przeznaczony tylko dla przejeżdżających tędy komisarzy lub delegacji sowieckich, jednakże odwiedzany również za specjalnym pozwoleniem miejscowego sowietu i przez zwykłych śmiertelników. Ulice, będące zresztą w całym Turkiestanie udęką wszystkich podróźnych, są tutaj w dobrym stanie, a podczas mego pobytu akurat inżynierowie rosyjscy zajęci byli urządzeniem małej stacji elektrycznej dla zaopatrywania miasta w prąd.

Bazary Duszamby zaopatrzone są obficie w azjatyckie towary wszelkiego rodzaju, natomiast widać tu kompletny brak produktów pochodzenia europejskiego. Na pytanie moje w tej sprawie rosyjski polityczny „doradca“ tadżykowskiego sowietu wyjaśnił mi, że zgodnie z „pięcioletnim planem“ bazary turkiestańskie w przeciągu krótkiego czasu będą obficie zaopatrzone w produkty krajowego przemysłu. Tymczasem dziś jednak odczuwa się głównie wielki brak towarów metalowych wszelkiego rodzaju, ponieważ zapotrzebowanie pokrywane jest przez lokalną wytwórczość w bardzo małej części.

Gdym jechał przez bazar, zauważyłem sprzedawcę ptaków drapieżnych, który tresował i sprzedawał orły, sokoły i myszołowy do celów myśliwskich.

W dniu przybycia do Duszamby objuczyłem wielbłąda dwoma woreczkami z próbkami minerałów i udałem się do „Tadżsowu“ (Tadżykowskiego Sowietu), aby je tam złożyć w celu dalszej ekspedycji do Samarkandy. Sądziłem, że na widok tego zbioru kamieni sowiety ocenią moją pracę, ale się omyliłem. Przede wszystkim kilku urzędników przeglądało nieprzyzwoicie długo moje papiery, a następnie zapytano mnie, jak mogłem przyjechać do Tadżykistanu nie mając na to pozwolenia tutejszego sowietu. W odpowiedzi na moje wyjaśnienie, że je-

stem do tego upoważniony przez „Gossowgordiel“ w Samarkandzie, oświadczyli mi, że niech „Samarkandczycy leją swoją wodę w swoje garnki“ (sartowskie przysłowie), ale nie mieszają się w sprawę wolnego sąsiedniego państwa. Wzruszyłem ramionami i oznaajmiłem im, że nie mnie nie obchodzą domowe sprawy poszczególnych sowie-tów, przybyłem do Tadżykistanu i proszę towarzyszków, aby przyjęli to do wiadomości.

Mam wrażenie, że w całej Duszambie nie było ani jednego prezesa wydziału, ani jednego zarządzającego lub komisarza, a nawet ani jednego woźnego, który by nie interesował się moją obecnością, niebezpieczną dla państwa. Przez długie dni pracował telegraf pomiędzy Samarkandą a Duszambą, by wyjaśnić wzajemne pretensje. Najchętniej byłbym uciekł i pozostawił tym panom chociażby rok czasu do uzgodnienia tej sprawy, gdyby urzędnicy nie byli zabrali mi papierów.

Skłamałbym, gdybym twierdził, że z zimną krwią przyglądał się temu telegrafowaniu tam i z powrotem. Wręcz przeciwnie. Obawiałem się poważnie, że albo moje oszustwo zostało w Samarkandzie ujawnione i nakaz aresztowania mnie może nadejść każdej sekundy, albo też że ktoś wpadł na pomysł zapytania o mnie w Kizil-Arwacie. Ale nic podobnego się nie stało.

Pewnego dnia zjawił się milicjant i poprosił mnie bardzo grzecznie, abym udał się z nim do sovietu. Przewodniczący Rady Tadżyckich Komisarzy przyjął mnie z uprzejmym uśmiechem i zapewniał raz po raz, że zalał tym gał-ganom w Samarkandzie sadła za skórę i że odechce im się na przyszłość udzielać pozwoleń wjazdu do obcego państwa. Następnie otrzymałem moje pozwolenie na prawo zatrzymania się w kraju Tadżyków i uroczyste zapewnienie, że moje próby minerałów zostają zaaresztowane jako własność Tadżykistanu i nie będą wysłane do Uzbekistanu.

Na próżno próbowałem wytłumaczyć naczelnikowi Tadżykistanu, że przy takim postępowaniu żaden z obu tych krajów nie osiągnie korzyści z mej podróży, gdyż notatki dotyczące miejsc znalezienia minerałów oraz szkice terenu wysłałem już pocztą do Samarkandy; bez prób jednakże nie mają one żadnej wartości, ponieważ próby te odpowiadają numerom notatek.

Tak samo Tadżykistan nie będzie miał żadnego pożytku z tych próbek, skoro nie ma danych co do miejsca znalezienia odpowiednich minerałów. Wbrew moim oczekiwaniom wiadomość ta tak dalece ucieszyła wysokiego dygnitarza, że wybuchnął głośnym śmiechem i z nie dającą się naśladować grandilokwencją rzucił jedno rosyjskie słowo na oznaczenie wszystkiego i niczego: „Niczewo!“¹

Sowiecki biurokratyzm zabrał mi siedem dni czasu, chociaż w ciągu dwóch dni mogłem bez pośpiechu wy dostać się poza granicę Uzbekistanu. Prowadzi stąd nowo wytknięta droga przez Hissar do Deh-i-Nau, przecinająca teren zaludniony przez Cyganów Masang. Cóż za komiczne kontrasty spotyka się na tym świecie! W Europie Cyganie są ludem niespokojnym, włóczącym się po całym kontynencie w swych wozach. Tutaj zaś, w kraju koczowników, Cyganie są ludnością osiadłą.

Podobnie jak i u nas są oni tu pogardzani i uważani za ludzi gorszych i to tak dalece, że dawniej żadna cygańska dziewczyna nie mogła dostać się do haremu, choć właśnie kobiety z plemienia Masang słyną ze swej piękności. Dlatego też są czystej krwi i absolutnie z nikim nie spokrewniają się. Cyganie Masang są to fenomenalni rzemieślnicy i artyści, jeżeli chodzi o odlewy z żelaza, wyrób kotłów oraz roboty jubilerskie.

¹ Fonetycznie — *niczewo*; — pisze się — *niczego*. — Przypis tłumacza.

Wytwarzana przez tych Cyganów broń, a zwłaszcza szable, sztylety i toporki, znana jest w całym kraju.

Doliny leżące wokół Hissaru słyną jednakże jeszcze z czegoś innego w całym Turkiestanie. Są one najbardziej obfitującą w skorpiony dzielnicą Azji.

Po prostu trudno sobie wyobrazić podobne mnóstwo tych owadów. Gdym nocowałem w *czaj-chanie* w Hissarze, setki tych wstrętnych bestii roilo się wszędzie w izbie, co wywoływało taki hałas, jakby całe gromady pasikoników tańczyły na bębnie. Tutaj właśnie po raz pierwszy mogłem sprawdzić zapewnienia tubylców, że skorpion nigdy nie wejdzie na filcową kołdrę. Istotnie spałem właśnie na filcowej derze i nie wlaźł na nią ani nie ugryzł mnie żaden skorpion.

Na ogół biorąc skorpion atakuje człowieka tylko wtedy, gdy czuje się zagrożony. Zdarza się jednak często, że skorpiony w nocy wślazą do butów lub do rękawów ubrania. Jeżeli się wtedy podczas ubierania człowiek dotknie skorpiona, rzecz zrozumiała, że będzie ugryziony. To samo może się zdarzyć i podczas snu; jeżeli się człowiek obraca i rozgniała skorpiona, owad nie omieszka go ugryźć.

Turkiestański skorpion ma naukową nazwę „*Androctonus Asiaticus*“ (azjatycki morderca człowieka), co może świadczyć o grożącym człowiekowi niebezpieczeństwie.

Tam gdzie są skorpiony, spotyka się przeważnie i tarantulę (*Phalangane*) w wielkich ilościach. Turkiestańczycy więcej obawiają się tego pająka niż skorpiona, ponieważ ukąszenie jego ma być bezwzględnie śmiertelne.

Pewnego razu urządziłem sobie na brzegu Duszamby rodzaj kuchenki i znosiłem w tym celu kamienie. Pod jednym z nich znajdowało się całe gniazdo tych pajaków. Mogłem więc po przewyciężeniu pierwszego uczucia strachu obejrzeć je dokładnie. Na jajowatym tułowiu długości 5—6 centymetrów znajdują się mocno owłosione dziesięć

ciocentymetrowe nogi. Zarówno tułów jak i nogi są jasno-żółte lub brązowe. Uzbrojony w ostre żądło pyszczek składa się z czterech żuchw, chwytających z błyskawiczną szybkością i robiących jednocześnie cztery ranki, w których pozostaje jad.

Jadąc kiedyś arba przez południową Bucharę spotkałem karawanę, która przejeżdżała przez wielką i niezwykle żyzną oazę bez zatrzymania się. Kiedym zaproponował przewodnikowi karawany rozłożenie się tutaj obozem, oświadczył mi z całą stanowczością, że następnego dnia nikt z członków karawany nie żyłby już, gdybyśmy się w tym miejscu zatrzymali, ponieważ znajdowaliśmy się właśnie w okolicy pajaków-karakurt. Poprosiłem go tedy, aby mi pokazał tego pająka, o którym tak wiele już dotychczas słyszałem. Przewodnik zsiadł ostrożnie z wielbłąda, następnie nadział na cierń coś małego i czarnego i podał mi. Był to właśnie budzący postrach pająk-karakurt, nie większy niż paznokieć, a jednak zdolny zabić każdą istotę żyjącą w ciągu niewielu minut. Jad tego pająka jest bezwarunkowo śmiertelny i z tego powodu niektóre kwitnące i żyzne połacie Turkiestanu, przeważnie w dolinie Ili i nad Amu-Darią, są niezamieszkałe.

Jak już wspominałem poprzednio, po wyjeździe z Kara-Kumu nabawiłem się nad brzegiem Amu-Darii malarii, z którą aż do gór Ałaju miałem wiele kłopotu. Skorom wy dostał się w wyżej położone okolice, malaria ustąpiła sama przez się. Atoli dnia następnego po przyjeździe do Hissaru tak mocno jęła mną trząść, że nie mogłem już po prostu wstać. W aptece mej znajdowało się jeszcze trochę chininy, którą zażyłem. Niestety, nic mi nie pomogła. Na czwarty dzień, kiedy febra opuściła mnie na chwilę, poprosiłem właściciela seraju, aby mi sprowadził jakiegoś lekarza. Ale ani w Hissarze, ani w całej okolicy nie można było znaleźć żadnego rosyjskiego lekarza a nawet sartow-

skiego *hakima*. Nie pozostawało mi więc nic innego do zrobienia jak wrócić do Duszamby, gdzie było coś w rodzaju szpitala i gdzie był europejski lekarz. Ułożono mnie na arbie, przywiązano sznurami i ruszono w powrotną drogę.

Przez cztery tygodnie męczyła mnie febra. Ciało moje stało się po prostu składem chininy, ale dzięki tej chininie oraz dużej ilości wódki stanąłem znów na nogach.

Potem, kiedy już mógł myśleć trzeźwo a nawet miałem niezły apetyt, lekarz cały swój wolny czas spędzał przy moim łóżku i rozmawialiśmy sobie przez długie godziny.

Dzięki opiece tego lekarza oraz zdrowemu organizmowi febra powoli ustąpiła i pewnego dnia poczułem się tak dobrze, że mogłem wstać z łóżka. Właściciel serażu w Hissarze nie poznał mnie, tak dalece zmieniła mnie choroba, która ostatecznie opuściła mnie dopiero w roku 1932, doprowadziwszy swoją uporczywością do rozpaczki wielu wiedeńskich lekarzy.

Dzięki troskliwości doktora w Duszambie miałem teraz ze sobą ćwierć kilograma chininy i co rano, klnąc na czym świat stoi, połykałem ten najbardziej gorzki ze wszystkich proszek, co jednak miało ten pożądaný wielce skutek, że w przyszłości miewałem już tylko krótsze znacznie i o wiele słabsze napady.

Z Hissaru wędrowałem teraz przez Kara-tag, Sar-i-Assija, Jurtszaj i Deh-i-Nau, gdzie rozegrał się ostatni akt katastrofy Enwera-paszy. Jurtszaj było miejscem urodzenia ostatniego kusz-bega Buchary, toteż spodziewałem się dowiedzieć tutaj czegoś bliższego o człowieku, który postąpił ze mną tak szlachetnie. Ostrożnie dopytałem się o ówczesnych bogaczy kizlaku i gdym się z nimi zaznajomił, odwiedziłem ich w domu. Powoli dowiedziałem się, że kusz-beg odprowadził swego pana, emira bucharskiego, do Afganistanu i ma tam żyć jeszcze dotychczas. Kiedy

1



U źródeł rzeki Amu-Darii na wysokości 3.000 m. W dali góry Hindukusz.



Pik Stalin (Harmo) w Pamirze, mający 7495 m. wysokości. Z przodu lodowiec Harmo.



Dziwaczne, sięgające wielu metrów wysokości twory lodowe lodowca Kizil-Agin.



Wieża strażnicza w górach przy drodze do Tebrysu.

bolszewicy rozwiązali harem emira po ucieczce jego właściciela, córka kusz-begi wróciła do swych krewnych w Deh-i-Nau, gdzie podobno mieszka jeszcze obecnie. Niestety, nie udało mi się odszukać jej w Deh-i-Nau. Bucharczycy obawiali się zapewne, że mogę swoją obecnością sprawić jej jakiś kłopot.

Poszukując byłej faworyty haremu musiałem rozmawiać z wieloma ludźmi, toteż wkrótce dowiedziałem się, że wspomniany przez dozorcę leśnego w dolinie rzeki Izfairanu Agabekow jest jednym z większych kupców bazaru. Reszta poszła już łatwo. Znalazłem go najzupełniej przypadkowo i również przypadkowo jakoś zgadało się z nim o walkach pod Deh-i-Nau i Jurtszaj. Dumny ze swego bohaterstwa wyczynu, opowiedział mi Agabekow to, co chciałem wiedzieć o śmierci Enwera. Gdym się znów żegnał, nie zauważyłem wyciągniętej ręki, chociaż go to bynajmniej nie dotknęło. W parę lat potem i jego spotkał niemniej tragiczny los, musiał bowiem ze względów politycznych uciekać za granicę, gdzie zginął marnie.

Z Deh-i-Nau jedna droga karawanowa prowadzi na południe przez Sar-Mak i Szirabad do Czuszka-Husaru nad Amu, gdy druga na zachód przez Baissun do Tenga-Charam, stamtąd zaś na północ przez Husar do Samarkandy. Bardzo chciałem zwiedzić byłą rezydencję letnią emira w Szirabadzie, ale jeszcze bardziej pragnąłem udać się do Husaru a stamtąd do Kelifu. Przynajmniej raz w życiu chciałem zobaczyć to miasto, które już wiele lat temu we śnie czy na jawie było celem moich marzeń.

Ponieważ drogi poczynając od tego miejsca były w dobrym stanie, zamieniłem wielbłąda, którego na pamiątkę ojczyzny nazwałem „Schurl“, u pewnego znanego hodowcy wielbłądów na arbę z koniem, co pochłonęło resztę mojej gotówki.

Turkiestańskie arby są osobliwymi wehikułami. Na

dwóch wiecznie piszczących kołach wysokości dorosłego człowieka spoczywa masywna rama, której przednie końce stanowią hołoble na konia. Osie kół, mające od dwóch do trzech metrów długości, nie są nigdy bezpośrednio połączone z ramą, lecz przymocowywane do niej za pomocą drewnianych listew o własnościach sprężyny. Przy zaprzęganiu jednocześnie wkłada się na konia siodło, na którym siedzi kierowca z podciągniętymi nogami, ponieważ stopy jego spoczywają na hołoblach.

Koła nie mające żelaznych obręczy i wobec tego zużywające się bardzo prędko zapewniają przy właściwościach gruntu tego kraju olbrzymie korzyści. W głębokim błocie miast turkiestańskich każdy inny wóz ugrzązłby niechybnie aż po osie i nie mógłby dalej ruszyć z miejsca. Również i przy przebywaniu w bród rzek i strumieni, co wobec braku mostów jest jedynym sposobem przeprawy, wysokie koła arby oddają nieocenione usługi.

Od Deh-i-Nau droga prowadziła znów przez głębokie wąwozy oraz wzdłuż wysokich ścian skalnych. Przy źródle Ak-Su, gdzie został zamordowany Enwer-pasza, zatrzymałem się na wypoczynek obiadowy.

Pośrodku stepowej doliny na lewo od drogi karawanowej znajduje się mały lasek, a przed nim źródło, gdzie odbył się ostatni akt dramatu. Na miejscu, gdzie jeden z najznakomitszych wodzów wojny światowej znalazł śmierć, nie ma ani nagrobka, ani nawet tablicy.

Baissun był przedtem wielką twierdzą bucharską, która zamykała dolinę Surchabu od strony północno-wschodniej. Miejscowość tę otaczają wysokie mocne mury z gliny, w których znajduje się sześć potężnych bram. W Baisunie dziś jeszcze stacjonuje uzbekski garnizon kawalerii, liczący tysiąc ludzi. Niestety, chociaż bolszewicy zrobili wiele dobrego pod względem militarnym, pozostawili jednakże dawną muzykę wojskową. Na nieszczęście moje

czaj-chana, w której spędziłem trzy noce mego pobytu, znajdowała się akurat na tej ulicy, przez którą wojsko wczesnym rankiem udawało się na ćwiczenia, i dlatego tę kocią muzykę miałem codziennie z pierwszego źródła.

Przede wszystkim więc jechało trzydziestu doboszów, za którymi posuwało się tyluż muzykantów dmuchających z całych sił w tzw. *surnoi*, czyli piszczałki, na końcu zaś znów jechało dwudziestu doboszów z małymi bębnami. Otóż tych osiemdziesięciu „muzyków“ waliło i dmuchało w swe instrumenty, jak im się żywnie podobało, wskutek czego powstawał chaos piszczących i skrzeczących tonów, rozbijanych w dodatku głuchym dudnieniem wielkich kołtów i terkotaniem małych bębenków.

Niezrozumienie sztuki było zawsze moją słabą stroną, ale ta „muzyka“ doprowadzała mnie do wściekłości.

W Baissunie dowiedziałem się przypadkowo od pewnego Rosjanina, mieszkającego tam już od 1920 roku, kim był dawniej właściciel herbaciarni, u którego zatrzymałem się. Otóż był to wszechmocny beg okręgu Derhend, który urzędował kiedyś w Baissunie. Był to jeden z niewielu wielkich dostojników Buchary, który po zbolszewizowaniu kraju nie uciekł. Potrafił on przystosować się do zmienionych warunków, a ponieważ w przeciwieństwie do większości swych kolegów na państwowych urzędach cieszył się pewną sympatią u ludności, przeto pozostawiono go w spokoju.

Zbudował więc sobie własnoręcznie bardzo piękną i czysto utrzymaną herbaciarnię i zaparzał teraz również własnoręcznie dla swych gości herbatę, smażył szaszłyki i dusił piław ku ogólnemu zadowoleniu.

Gdy się pomyśli, że jeszcze kilka lat temu człowiek ten miał w swym rozporządzeniu sztab służby liczący kilkuset ludzi i że nie opodal stoi widoczny dobrze z *czaj-chana* dawny jego pałac, w którym mieści się obecnie miejscowy

sowiec, podziwiać należy psychiczną wytrwałość i fizyczną moc tego człowieka.

Wobec tego zwróciłem teraz większą uwagę na byłego bega. A ponieważ i on dowiedział się wkrótce, że nie jestem Rosjaninem ani bolszewikiem, przeto udało mi się pozyskać jego zaufanie. Tej właśnie okoliczności zawdzięczam wiele ciekawych wiadomości o starodawnej politycznej strukturze emiratu, która znana jest tylko prawdziwie wtajemniczonym.

Begowie byli namiestnikami i najwyższymi sędziami tych okręgów, które im przydzielał emir.

Mianowali oni na powierzonym im terenie całkowicie samodzielnie urzędników i sędziów, oczywiście tylko swych faworytów i krewnych. Dlatego też w razie śmierci bega lub odwołania go wszyscy urzędnicy i dworacy tracili zajęcie, ponieważ nowy beg z kolei obsadzał na urzędach i obdzielał godnościami swych własnych krewnych i przyjaciół.

Obowiązkiem bega było również doroczne wpłacanie haraczu emirowi, który go wyznaczał według własnego widzi mi się. Chcąc zadośćuczynić żądaniom emira, beg musiał wyciskać ten haracz z mieszkańców swego okręgu. Niezależnie od tego musiał jeszcze zdobywać środki egzystencji dla siebie i na utrzymanie swego dworu, ponieważ nie otrzymywał od emira żadnej pensji ani zapłaty, a obowiązany był opłacać z własnych funduszy jego wojsko, policję, nadzorców wodnych, budowniczych dróg itp.

Begowie zdając sobie dobrze z tego sprawę, że czas ich panowania zależy całkowicie od woli emira, spieszyli przede wszystkim zebrać sobie możliwie największe bogactwa kosztem swych podanych.

Ponieważ poszczególne oazy Buchary oddalone są od siebie nieraz o setki kilometrów, przeto każdy beg posiadał dużą samodzielność. A samodzielność ta sięgała nieraz

tak daleko, że begowie celem powiększenia swego terenu wyzysku niejednokrotnie na własną rękę prowadzili ze sobą wojny.

Dwór bega pod każdym względem wzorował się na rezydencji emira bucharskiego. Każdy beg posiadał swego własnego ministra. tzw. *diwan-bega*; najbliższą rangą stał *toksaba* (podczaszy i poborca podatków), za nim szedł *mirachur* (koniuszy), z kolei *karaul-beg* (komendant gwardii pałacowej) i *mirza-baszi* (sekretarz prywatny). Oczywiście, każdy z tych wysokich urzędników posiadał na swe potrzeby tłum służby. Sam beg miał również sztab służby, jak: pisarzy, kucharzy, pacholków, astrologów, policjantów, czyścicieli butów, woźniców, chłopców do siodłania wierzchowców, tancerzy, muzykantów i wielu, wielu innych.

Ten cały ciężar rozgałęzionej administracji i służby musiała utrzymać nieraz niewielka prowincja, licząca kilkadziesiąt tysięcy mieszkańców.

Można sobie też łatwo wyobrazić, że idea państwa komunistycznego trafiła na żyzny grunt wśród biednych Bucharów.

Pańskość w Bucharze wyraża się głównie powolnym, zrównoważonym ruchem, co należy zachować również w podróży. Przeciętny dystans dziennej podróży bucharskiego dostojnika wynosił przedtem *tasz* (c-a osiem i pół kilometra). Jednostka ta nazywała się *taszen* (kamień, pagórek), ponieważ jadący zwykle na przedzie żołnierze usypywali co jakieś osiem i pół kilometra kopce wysokości jednego metra, na których dla bega rozbijano na noc namiot. Stąd też *tasz* jest bucharską miarą długości ulic i dróg.

Dystyngowany Buchar dzisiaj jeszcze nie może podróżować prędzej, nawet w razie grożącego mu niebez-

pieczeństwa. Ciekawy również jest sposób płacenia emirowi rocznego haraczu przez begów.

Informator mój, ostatni beg Baissunu, powiózł swój ostatni haracz od Buchary 16 kwietnia 1920 roku.

Składał się on z następujących pozycji:

70 koni z obitą srebrem uprzężą oraz strzemionami wysadzanych turkusami;

100 chałatów, a mianowicie: po 20 atlasowych, jedwabnych, ze złotego brokatu, z kaszmiru i perkalu;

500 arszynów materiału jedwabnego;

5.000 tengów w złocie i srebrze;

25 pasów ze srebra wysadzanych turkusami;

100 batmanów (po 131 kilogramów) ryżu, dżugari, pszenicy i jęczmienia;

50 jucznych wielbłądów;

2 daziry (po 33 kg) czystego złota;

5 dazirów czystego srebra.

Prowincję Baissuna zamieszkuje 90.000 ludzi, którzy muszą się zdobyć nie tylko na dwór bega, ale również i na ten poważny haracz. Beg podkreślał przy tym, że haracz z jego kraju bynajmniej nie był najcięższy i najkosztowniejszy.

Otóż tych wypraw z haraczem begowie bali się więcej niż samego diabła. Nikt nie wiedział, czy powróci do swego miasta. Życie jego zależało od łaski emira, od podszeptów jego faworytów oraz od tego, czy był zadowolony z dostarczonego mu haraczu.

Niektórzy begowie, na przykład, jechali w blasku łaski emira do Buchary i nie wracali już stamtąd. Albo kat otrzymał nakaz „kelti baszka“ („ściąć łeb“), albo nieszczęśliwiec zginął w jednym z więzień, skąd już nikt nigdy nie wychodził na wolność. Aby utrzymać się w łaskach emira, begowie musieli solidnymi podarunkami zaskarbiać sobie względy wysokich dworaków oraz faworytów, często bo-

wiem wystarczyło jedno słóweczko takiej osoby, ażeby pogrozić bega w przepaść niełaski emira. Oczywiście i na te prezenty musieli starczyć poddani.

Gdy w roku 1886 umarł emir Seid Mossafar Eddin, następca jego Seid Ahad Chan kazał wezwać do Buchary wszystkich begów i z liczby trzydziestu dwóch przybyłych na wezwanie osiemnastu stracił, a trzynastu zamknął w ciemnicy, ażeby móc obsadzić ich placówki swymi faworytami. Jeden tylko z tej gromady wrócił na swój urząd. Zupełnie zrozumiałe, że przy okazji skonfiskowano i majątki byłych begów.

Gdym znów wyruszył w drogę, jechałem przez piękną górzystą okolicę Hissaru, przez Kara-Chowal do Tenga-Charamu i przez ostatnie odnogi gór w żyzną dolinę Amu-Darii do Kelifu.

W roku 1916 uciekłem z Katta-Kurganu, zabłądziłem na południe od Hissaru i zamiast dojść do Kelifu wpadłem w ręce bucharskiej policji, która mnie wydała Rosji. Otóż skierowałem teraz mą arbę tą drogą karawanową, która wtedy miała mnie wyprowadzić na wolność. Przy źródle Kuczi-Tang, w którego okolicy mieszka trochę Sartów w nędznych glinianych chatkach, znów zatrzymałem się na pierwszy wypoczynek nocny pod gołym niebem, ponieważ brudne chatki budziły we mnie wstręt. Następnego dnia późną już nocą arba moja zadudniła na moście nad strumieniem i w pół godziny potem zatrzymałem się przed serajem w Kelifie.

Po drodze spotkałem wiele arb z czerwoną solą kamienną, wiozących naturalne bogactwo gór w dolinę. Południowe zbocza od strony Amu posiadają również wiele rud. Wydobywa się tu już od wieków: złoto, żelazo, miedź i ołów, siarkę i turkusy, ale o racjonalnej eksploatacji bogactw górskich nie ma jeszcze mowy. Czego nie można wydobyć łatwo, pozostaje nie ruszone dla następnych pokoleń.

Powyżej Kelifu Amu-Daria tworzy wielkie, nieprzewyżnione progi i dlatego to parowce na Amu dopływają tylko do tego miejsca. W chwili mego zatrzymania się tutaj statek odbywał właśnie ostatnią swoją podróż w tym roku. Poczynając od sierpnia komunikacja możliwa jest tylko do Kerki, ponieważ nawet jak najpłycej zanurzone statki osiadają na łąkach piasku i mule. Mimo swej szerokości Amu-Daria posiada niewielką głębokość i w swym biegu od położonego na wysokości 4.000 metrów Jeziora Wiktorii (Zur-Kul) każdego roku w okresie wezbranych wód niesie setki tysięcy metrów sześciennych piasku i szlamu, osadzając go w swym łożysku. Utrzymanie żeglugi na tej rzece nie bardzo się opłaca, ponieważ brzegi jej są słabo zaludnione. Toteż żeglugę tę uruchomiono stosunkowo późno.

Kursujące wówczas na Amu-Darii parowce pływały przedtem na Syr-Darii, której zapiaszczenie postępuje jeszcze szybciej. Pierwotnie statki te, zbudowane w Niemczech, już przez rosyjski rząd carski były zamówione z podaniem nieodpowiednich wymiarów. Miały za duże zanurzenie. Statki przeprowadzono przez Morze Aralskie z Syr-Darii na Amu-Darię bez uprzedniego wykonania pomiarów głębokości, musiały więc z trudem wyszukiwać sobie drogę. Zdarza się też często, że na najpłytszej przestrzeni z Kerki do Czardżuju parowiec płynie dwa tygodnie a nawet dłużej. Ponieważ każdy jeździec średniej miary może z łatwością przebyć tę drogę w niespełna jeden dzień, nie ma się czemu dziwić, że statki tutejsze prawie zupełnie nie służą do komunikacji pasażerskiej. Sam przejeżdżałem tą drogą w roku 1916 i wtedy statek („Car Aleksander“) potrzebował na przepłynięcie tej przestrzeni sześciu dni, co kapitan uważał za niezwykle pomyślny wypadek.

Zwróciłem się wprost do kapitana statku „Krasnyj

Turkmenistan“ (Czerwony Turkmenistan). Za trzy dni parowiec miał wyruszyć w podróż do Petro-Aleksandrowska. Spytałem więc, czy zechce bezpłatnie przewieźć mnie statkiem jako państwowego geologa. W odpowiedzi na to kapitan spytał, czy gram w szachy. Oczywiście, grałem. Wtedy oznajmił mi, że wobec tego nic nie stoi na przeszkodzie mojej podróży statkiem nawet bez pieniędzy. Z kolei poprosiłem go o bezpłatne zabranie mej arby wraz z koniem. Kapitan zgodził się również i na to.

Usiadłem na pokładzie malowanego na biało, oślepiąco czystego stateczku, spuściłem nogi na stronę afgani- stańską i spoglądałem na przeciwny brzeg, będący niegdyś przedmiotem mej tęsknoty. Jakże inaczej może ułożyłoby się moje życie, gdybym był wtedy w tym miejscu dotarł do rzeki, nie zaś o 120 kilometrów dalej na zachód.

Kapitan przysiadł się do mnie, poczęstował papierosem i zaczął rozmawiać. Już od trzydziestu dwóch lat jeździ na przestrzeni 1.700 kilometrów Amu-Darii pomiędzy Morzem Aralskim a Kelifem. Służył na wszystkich czterech statkach kursujących po tej rzece. Od roku 1911 do 1920 był kapitanem statku „Car Aleksander“ (nadstawiałem uszu), który Bucharzy podpalili, kiedy stał w Ulanie. Do dziś jeszcze leży na brzegu stalowe rusztowanie tego parowca. Gdyśmy w parę dni potem przepłynęli obok, spojrziałem niemal z bólem serca na ten wrak, był to bowiem ten statek, który mnie niegdyś odwiózł z powrotem do więzienia w Czardżuju.

W Kerki pożegnałem się z tym oryginałem marynarki rzecznej, zaopatrzony obficie w papierosy, które wygrałem od niego w szachy. Z wielkim trudem wyładowano na ląd moją arbę i tłumoki.

W roku 1916 trzeba było w tym miejscu iść w bród do statku przez moczar, teraz jednak daleko w rzekę sięgał

drewniany pomost, tak że można było suchą nogą przedostać się ze statku na ląd.

Nie opodal przystani znajdowała się herbaciarnia, której właścicielowi powierzyłem konia. Sam zaś wspiąłem się drogą na wzgórze, które prowadziło do dawnego zameczku bega, a potem siedziby kuszbega.

Na obu wieżach trzepotały na wietrze wielkie czerwone chorągwie. Herb emira był zerwany i zastąpiony młotem i sierpem. Tylko nagie gliniane mury i oba starożytnie działa stały tak jak dawniej. W pomieszczeniach dawniejszej turyzmy miała dziś swoją siedzibę rada Kerki pod przewodnictwem pani Kulijew. O jakże świat potrafi zmieniać oblicze!

Pani Kulijew do roku 1920 była zawołowaną niewolnicą-robotnicą handlarza ryżem Alida Jussufa.

Po przewrocie stawiała się do rozporządzenia Sowietów i jako jedna z pierwszych kobiet przy organizowaniu kilku kołchozów wykazała tyle inicjatywy, że została wreszcie przewodniczącą miejscowego sovietu (stanowisko, jakie zajmują burmistrzowie w Europie).

Odwiedziłem tę czterdziestokilkoletnią kobietę i poznałem w niej niezwykle mądrą i energiczną damę, która bez najmniejszego zażenowania przyznała mi się, że dopiero trzy lata temu nauczyła się czytać i pisać. Oprócz języka Uzbeków nie znała żadnego innego, aby jednak móc bezpośrednio porozumiewać się z Rosjanami, przez trzy godziny dziennie uczyła się języka rosyjskiego.

Otrzymałem od niej kartę żywnościową do miejscowej kooperatywy, którą wyzyskałem uczciwie i to tym bardziej, że następnego dnia po moim przybyciu zaczynał się ramazan; w przeciwnym razie mógłbym po prostu umrzeć z głodu.

Ramazan, jednomiesięczny okres postu, jest postrachem wszystkich niemahometańskich mieszkańców Tur-

kiestanu. Wywodzący się pierwotnie z pobudek higieniczno-religijnych stał się przyzwyczajeniem muzułmanów i jest nie do usunięcia. Nauka komunistyczna nic tu również nie mogła zmienić. Nawet władze w czasie ramazanu zamykają swoje urzędy i tylko wojsko stanowi wyjątek.

Dawniej jednak w czasie ramazanu przerywało się wszelkie działania wojenne i jeszcze latem w roku 1918 emir posłał do Rosjan parlamentariusza z prośbą o przerwaniu działań wojennych na okres ramazanu do końca postu, ponieważ żołnierze jego w tym miesiącu mogą walczyć tylko w nocy.

Podczas ramazanu mahometanin nie może ani pić, ani jeść od wschodu do zachodu słońca. Nie może nawet myć się lub przyjmować lekarstw; nie wolno nawet wachać kwiatów, ponieważ przez otwory ciała nie może przenikać nic obcego. *Urasa* (post) nie ma nic wspólnego z naszym postem, ani nie polega na jakiejś wstrzeźliwości, tylko wymaga bezwzględnego powstrzymywania się od jedła itd. przez cały dzień. Zwłaszcza wielkie znaczenie ma zakaz używania wody podczas turkiestańskich upałów.

Zaledwie jednak zajdzie słońce, zaczyna się jedzenie i picie, przy czym mahometanie pochłaniają wtedy takie ilości, jakie nam, Europejczykom, wydają się nieprawdopodobne. Przez całą noc śpiewa się, tańczy i gra na różnych instrumentach. Zapala się ognie bengalskie i z nastaniem brzasku, kiedy na ulicach rozlega się bębnienie bębna ramazanowego, orgie obżarstwa dosięgają szczytu, ponieważ każdy wtedy wpycha w siebie tyle, ile wlezie, aby łatwiej znieść następny dzień postu. Oczywiście, w ciągu dnia bazyry z żywnością i garkuchnie są zamknięte. Żaden Sart ani Uzbek w tym czasie nie będzie gotował w dzień, a nawet nie weźmie żadnych środków żywności do rąk.

Ponieważ *stołowaja* kooperatywy zaopatrywała również w jedzenie mały garnizon Kerki, ramazan nic mnie właściwie nie obchodził, dopóki przebywałem w mieście. Nie wypadło mi jednakże cały miesiąc siedzieć w Kerki, wobec tego pewnej nocy za niewielką kwotę, daną mi na wydatki z kasy państwowej przez przewodniczącą Kulijewą, porobiłem najpotrzebniejsze zakupy na bazarze, wziąłem konia ze stajni i wybrałem się w drogę do Karszi.

Wkrótce musiałem żałować tego, że się odważyłem wyjechać wozem. Osie grzęzły głęboko w piasku pustyni Tenga i w studniach przeważnie nie było wody. Wziąłem wprawdzie ze sobą dwie baranie skóry z wodą i zawartość uzupełniałem w miarę możliwości. Ale słona woda ze studni zamiast gasić zwiększała tylko pragnienie. Brak wody stał się wreszcie tak dokuczliwy, że pozostawiłem swą arbę na pustyni, aby przynajmniej uratować siebie i konia.

W Karszi, jednej z letnich rezydencji byłego emira, dostałem znów silnego napadu febry. W kolonii rosyjskiej, składającej się z jakichś dwudziestu ludzi, znajdował się rosyjski felczer, który mi w ciągu kilku dni tak wiele pomógł, że mogłem ruszyć w drogę przez pustynię od Karszi do Kara-Kulu.

W rozmowie z felczerem dowiedziałem się, że w czasie wojny światowej dostał się do niewoli austriackiej i był internowany pod Knittelfeldem w Styrii, gdzie nauczył się też trochę po niemiecku.

Karszi jest typowym miastem pustyni, położonym przy zbiegu kilku słonych strumieni, które nagle wynurzają się w środku pustyni; pod miastem łączą się w formie gwiazdy i po przepłynięciu pewnej przestrzeni znów giną w pustyni.

Wobec tego oaza nie cierpi na często spotykany zre-

sztą w Bucharze brak wody. Cały teren jest poprzecinany kanałami, które go zaopatrują obficie w wodę. Urodzaje i zbiory gospodarstw rolnych, jako też sadów owocowych Karszi słyną w całym Uzbekistanie. Ryż, zboże, lucerna, bawełna, winogrona, figi, morele, granaty czy też brzoskwinie półkilowej wagi gniją często na polach i drzewach, ponieważ nie ma odbiorców na te nadmierne bogactwa. Na wielkim bazarze leżą po prostu sterty arbuźów i melonów i można było je kupować za śmiesznie niską cenę.

Właścicielowi herbaciarni, u którego zatrzymałem się, sprzedałem konia, ażeby móc zapłacić za podróż karawaną do Kara-Kulu. Na szczęście dowiedziałem się, że oddział wojska na wielbłądach odchodził do okręgu Karnap-Czula, ażeby zluzować policję pustyni. Na moją prośbę komendant zgodził się wziąć mnie do Czandyru. Ponieważ miejscowość ta leży na linii kolejowej Czardżuj-Buchara, znów uniknąłem pewnych nieprzyjemności, z których największą było to, że musiałbym w Karszi czekać trzy tygodnie i aż po skończeniu ramazanu wyruszyłbym w drogę zwykłą karawaną towarową.

Dziwnym zbiegiem okoliczności komendantem był Rosjanin i w dodatku oficer carski, który podczas wojny służył w Kaganie. Po drodze rozmawialiśmy o sprawach politycznych i gospodarczych. Ponieważ uzbekcy żołnierze nie znali rosyjskiego języka, wypowiadał się więc i w sprawach drażliwych niemal bez skrępowania. Była to typowa historia rosyjskiego inteligenta z okresu rewolucyjnego, który wprawdzie nie godził się z nauką komunizmu, jednakże aby utrzymać się przy życiu, zmuszony był służyć nowej potędze. Próbował przedtem zostać tłumaczem, szewcem i tragarzem, aż wreszcie wrócił do służby wojskowej. A ponieważ zapatrywał się na działalność nowej władzy z punktu widzenia nieuprzedzonego

znawcy prawdziwych stosunków, dowiedziałem się od niego wielu ciekawych rzeczy.

W Turkiestanie, gdzie nie ma żadnego przemysłu a wobec tego i proletariatu, bolszewizm wywołał jeszcze większe podniecenie niż w Rosji.

Bolszewicy musieli stworzyć dla swej idei sztuczne warunki. Przede wszystkim formalnie zasypano ten kraj zarządzeniami, wezwaniami i proklamacjami. Jak już wspominałem, wykształcono własny sztab agitatorów. W dalszym ciągu w pustyniach i oazach Turkiestanu miały powstać fabryki, kołchozy i kooperatywy, organizacje włościańskie i warsztaty, ażeby obudzić nieznaną dotychczas świadomość klasową. Podjęto groteskową próbę stworzenia proletariatu.

Do roku 1920 Bucharą była najspokojniejszym na świecie krajem, który będąc otoczony przez bezbrzeżne piaszczyste pustynie trwał w swej starej tradycji. Nie niepokojone przez żadne powstania i rządowe kryzysy państwo despotycznego emira, przebywającego w swej cytadeli, nie tknięte było kulturą europejską.

W fortecy zbudowanej na wzgórzu żył władca wielkiego kraju według starodawnych wzorów. Wokoło pałacu przez cały dzień ciźbili się urzędnicy, oficerowie i dostojnicy po społu z ludem, oczekując na rozkazy swego pana. Nikt nie śmiał przejść wejściowej bramy nie padłszy przedtem trzykrotnie na ziemię.

I oto jednego dnia nagle wszystko się zmieniło.

Bucharów zbudził huk rosyjskich i własnych armat, a kiedy w przerażeniu odważyli się wyjrzeć ze swych glińnianych chat, dowiedzieli się, że nie mają już emira i inna władza ujęła cugle rządów w ręce, a mianowicie Młodobucharzy.

Sprzymierzeńcy, którzy pomogli obalić despotę, wkrótce sami zamienili się w niemniejszych despotów. Młodo-

bucharzy, wrogowie tradycji oraz przyjaciele postępu i zachodniej kultury, stali się teraz środkiem do osiągnięcia celu. Spostrzegli wkrótce, że usunięto ich na stronę, urzędy zaś i władze zajęte zostały przez Rosjan, wybranych i ostemplowanych komunistów.

Medresy i meczety pozbawione zostały swego przeznaczenia i zamienione na domy agitacyjne i na miejsca zebrań, gdzie wyszkoleni mówcy sławili komunizm. Nowe tajemnicze słowa, jak organizacja, fabryka, podział ziemi i równe prawa, były na wszystkich ustach niby cudowne zaklęcia, których dźwięk oszołamia ludzi i wywołuje dreszcze.

Agitatorzy na czele wielkich karawan, których wielbłądy obładowane były ulotkami i wezwaniami, jeździli od oazy do oazy szerząc nowego ducha lub przynajmniej próbując go zaszczepić. Ukazały się rozporządzenia zabraniające kobietom zasłaniać twarze. Czarne kaptury, będące dotychczas oznakami hańby wdów, zostały skasowane specjalnym rozporządzeniem. Do kraju nadeszły maszyny rolnicze, na które Bucharzy patrzyli ze zdumieniem, jak na bestie apokaliptyczne. Te maszyny, które komunistyczne władze obiecywały każdego roku chłopom rosyjskim, sprowadzono najpierw do Azji, żeby tym wywołać wrażenie.

Ale wielki plan Moskwy, urzeczywistniony tak wielkim kosztem, rozbił się o *czimat*, zasłonę kobiet z włosa końskiego. Bucharzy mogli się przystosować do wszystkiego, nie chcieli jednak zgodzić się na odsłonięcie oblicza swych kobiet.

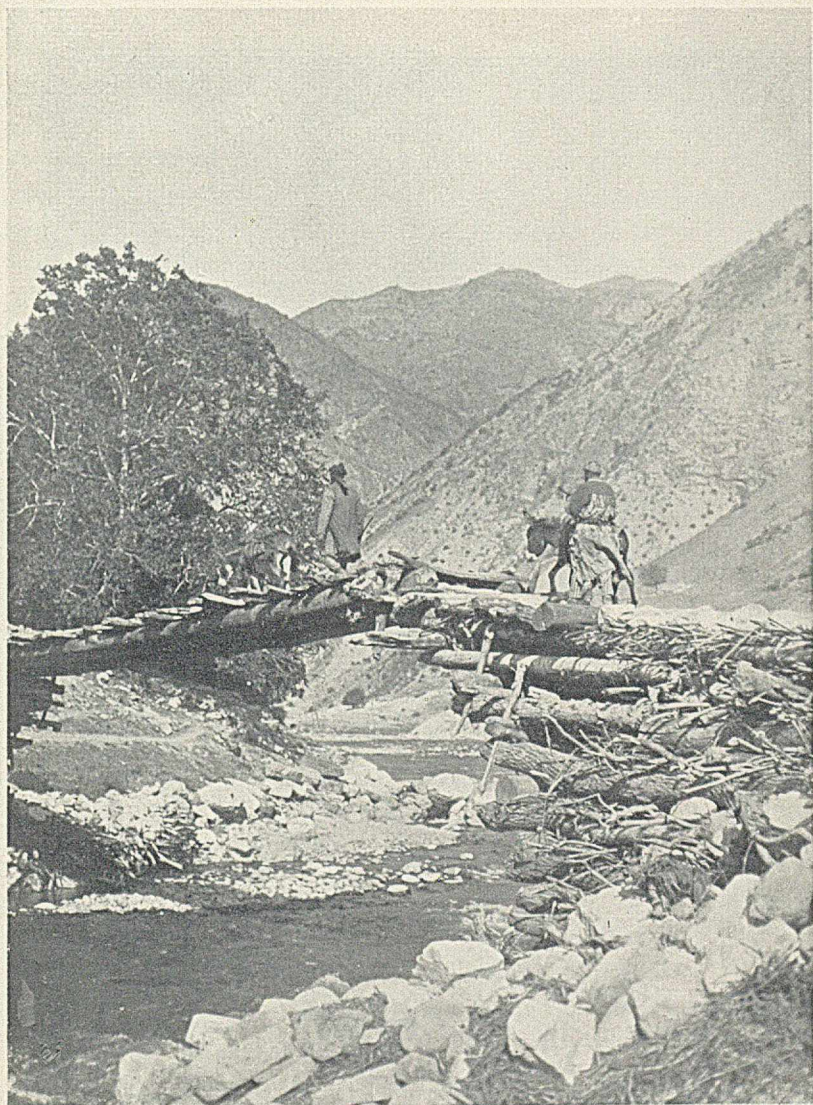
Rozporządzenie to pozbawiło Sowiety gruntu pod nogami. Bucharzy nie zlekli się ani rosyjskich żołnierzy czerwonej armii, ani ich karabinów maszynowych i nowoczesnych dział szybkostrzelnych — wybuchnęło powstanie z szybkością ognia na stepie i rozlało się po całym

kraju: od południa do północy, od wschodu do zachodu. Oaza po oazie arestowała rosyjskich komisarzy i dewiza „Bucharą dla Uzbeków“ z szybkością ognia przenosiła się wzdłuż glinianych chat. Enwer-pasza, wspierany przez potężny związek anonimowy „Ischane“, potrafił zręcznie siew ten rozrzucić po całej Bucharze.

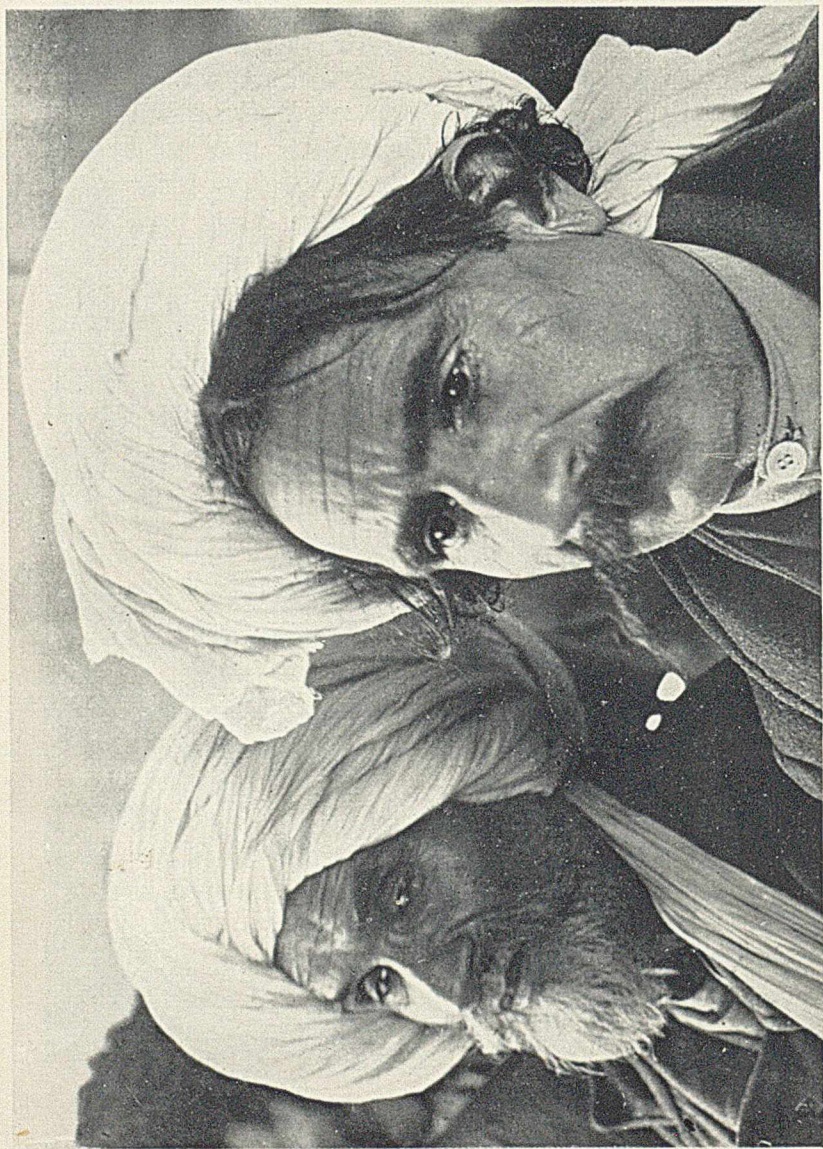
Zniwa nie doczekał się wprawdzie, ale fala powstania objęła cały Turkiestan i Moskwa rada nie rada musiała pójść na ustępstwa, ponieważ stale zrewoltowana Centralna Azja, utrzymywana w karchach tylko siłą, obaliłaby cały program konstrukcyjny Unii Sowieckiej. Tak więc w tym czasie, kiedy podróżowałem po Persji i kupowałem dywany, powstały różne republiki, jak: Uzbekistan, Tadżykistan, Turkmenistan i Kirgizistan, gdy dawniejszy chanat Chiwy otrzymał znów starożytną swoją nazwę Chorezmią. Moskwa, zgrzytając zębami, państwa te ogłosiła tworamia autonomicznymi i nadal częściowo za takie je uważa. W każdym jednak razie samorząd ten kontrolowany jest i pod względem politycznym uzależniony od inicjatywy Moskwy.

Nowe rządy azjatyckie przywróciły prawo o zasłonach twarzy kobiet oraz dawne nazwy wielu miejscowości, które Rosjanie w pierwszym oszołomieniu rzekomym zwycięstwem ochrztili na pamiątkę nazwiskami bohaterów rewolucji. Następnie przywrócono również prawo wolności wyznania jako też częściowo wcielono prawo islamu do prawa krajowego.

Te i temu podobne rzeczy opowiadał mi mój towarzysz podróży, gdyśmy jechali drogą karawanową z Karszi przez Kassan, Metszet i Chadi-Mubor do Czandyru. Droga karawanowa, na której panował duży ruch, była teraz jak wymarła. Z rzadka tylko spotykaliśmy karawany, które wiozły z Buchary na południe tego kraju towary żelazne oraz naftę.



Most nad Muk-su.



Z lewa Uzbek bucharski, z prawa Kafir afganistański.

Pustynia ta prawie niczym nie różni się od wielkiej pustyni Kara-Kum. Piasek i tylko piasek, jak daleko sięgnąć okiem. Jeżeli gdzieś ukażą się niskie gliniane zręby studni, zarówno człowiek jak i zwierzę cieszą się, chociaż studnie w tej okolicy mają najbardziej w całej Azji bogatą w sól wodę; ale woda ta jest przyjemnie chłodna i chociaż w pierwszej chwili gasi pragnienie. Zaledwie jednak człowiek znów znajdzie się w siodle i ciało zacznie się pocić, pragnienie staje się jeszcze dokuczliwsze. W chwilach takich łyk słodkiej wody albo kawałek czystego lodu wydaje się najwyższym, dającym się osiągnąć na ziemi błogosławieństwem.

Zadziwiająca, jak niewiele trzeba ludziom pustyni do życia. Ani śladu owego bogactwa stad bydłych, jakie mają mieszkańcy oaz. Trochę na wpół zagłodzonych, wynędzniałych baranów oraz tu i ówdzie jakaś krowa stanowią oprócz niezbędnych wielbłądów cały majątek setek tysięcy ludzi. Nie ma tu ani owoców, ani melonów. Proso i jęczmień — oto wszystko, co rodzi ta ziemia, a jednak ludzie ci kochają swój kawałek roli i nie chcą się z nim rozstać.

Od Chadi-Muboru droga prowadzi przez strefę mającą sto pięćdziesiąt kilometrów szerokości, całkowicie pozbawioną wody. Na szczęście studnie tej miejscowości mają mniejszą zawartość soli, ale za to za wodę trzeba płacić. Opłata, wynosząca za balon z owczej skóry dwadzieścia kopiejek, jest jedynym źródłem dochodów oazy.

Felczer przydzielony do naszego oddziału miał ze sobą termometr, który ustawił w cieniu glinianego muru. Wkrótce stwierdziliśmy na termometrze stojącym w cieniu 52° Celsjusza. Rozpalone powietrze migotało nieznośnie, nadto zaś nie czuć było najmniejszego przewiewu. Mieszkańcy Metszetu narzekali, że wskutek tego wielkiego upału zapasy ich bydłowego paliwa same się zatliły

i spłonęły, przez całą więc zimę nie będą mieli opału i zmarzną. Oficer nasz obiecał poprosić w sowiecie bucharskim o zaopatrzenie ich w paliwo.

Ażeby uniknąć tego nieludzkiego żaru, komendant postanowił jechać tylko nocą, wobec czego wyruszyliśmy z nastaniem ciemności (termometr wskazywał 35°). Najstraszniejszym dniem był wypoczynek 4 sierpnia. Żołnierze wetknęli swe karabiny bagnietami w piasek i ponad ich kolbami umocowali plandeki, ażeby mieć trochę cienia.

Kto przypadkiem ujął jakiś metalowy przedmiot, puszczając go natychmiast z głośnym okrzykiem, był bowiem tak gorący jak rozpalone żelazo. Broń trzeba było rozładować. Pasy z nabojami oraz amunicję dla trzech naszych karabinów maszynowych zagrzebano głęboko w piasku z dala od obozu, ażeby zapobiec wybuchowi. Tak samo postąpiono z balonami z wodą, ponieważ łatwo mogły popękać i wtedy przepadłaby nam woda.

Pomimo zmęczenia i sennałości nikt nie mógł spać. Żołnierze i zwierzęta ciężko wzdychając przewracali się niespokojnie na wszystkie strony. Gdyby nas tu napadli rozbójnicy albo powstańcy, myślę, że żaden z nas nie miałby dosyć siły, aby chwycić za broń.

Wreszcie nielitościwe słońce zaszło i w ciągu kwadransa spadła ciemna jak sadza noc. Przy akompaniamencie łajań i przekleństw objuczono zwierzęta, każdemu wydano porcję wody i ostrogami zaczęto przynaglać wielbłądy do pośpiechu, ażeby o brzasku dojechać do złotonośnego Zarawszanu.

Nieskończenie długo trwała ta noc. Nie chciałem już nawet pytać felczera, ile stopni pokazuje termometr. Cóż by mi to pomogło? Gorąco, nieznośnie gorąco było mi z termometrem czy bez termometru. Przez całą noc nikt

nie rzekł ani słowa, nikt bowiem nie mógł myśleć rozsądnie, tak byliśmy wyczerpani i zmęczeni.

Miało się już ku końcowi nocy, kiedy wielbłądy nie popędzane zgoła ruszyły na przód wyciągniętym klusem a wkrótce potem pędziły już dzikim galopem. Poczuły w odległości pół godziny drogi (około osiem kilometrów) rzekę i nie można już ich było powstrzymać. Chętnie pozwoliliśmy im na to, sami bowiem radzi byliśmy jak najprędzej wydostać się z tego piekła.

Chociaż komendant ostrzegał przed żmijami, każdy z nas zrywał po prostu ze siebie odzież, wskakiwał do płytkiej rzeki i pił nienasyconie.

Zadowoleni jak małe dzieci obryzgiwaliśmy się świeżą wodą i wrzeszczeliśmy przy tym z rozkoszy.

W Czandyrze serdecznie pożegnałem się z oficerem, który znów musiał udać się ze swymi ludźmi w gorącą pustynię, gdy ja podążyłem ku ogrodom i stawom Buchary. Podkreślał ciągle, jak bardzo się cieszył, że wreszcie spędził kilka chwil z Europejczykiem, przejdzie bowiem na pewno wiele miesięcy, zanim spotka się ze swymi przyjaciółmi w Samarkandzie czy Bucharze. Na pożegnanie wręczył mi pudełko papierosów.

W Czandyrze nie ma dworca. Dawniej był tu tzw. *razjezd* (przystanek na żądanie, mijanka), ale od czasu kiedy przechodzi tutaj dziennie tylko jeden pociąg, skasowano i ten przystanek. W rozwalającej się szopie zauważyłem dreżynę. Chcąc pozyskać dróżnika dla mych planów, otworzyłem podarowane mi pudełko z papierosami. Byłem mocno zdumiony, gdym zobaczył na wierzchu dwudziestorubłówkę. Ponieważ trudno mi było przypuszczać, że rosyjskie fabryki papierosów dodają banknoty do swych pudełek, zatem pieniądze musiały pochodzić od ofiarodawcy papierosów, który wybrał tę drogę dla zasilenia mej kasy. Mając ponadto sto dziesięć rubli, które

otrzymałem za konia, mogłem śmiało patrzeć w przyszłość. Za dziesięć rubli kupiłem sobie pozwolenie jazdy drezyną do Kara-Kulu, gdzie znajdował się dworzec i pociągi zatrzymywały się.

Gdy się ściemniło, ułożyłem niewielki pakunek na zdobytym wehikule, schwyciłem za rękojeść i zacząłem z całych sił pracować. Podczas tej podróży odpokutowałem niemałą część grzechów.

Odzwyczajony od pracy fizycznej, stękałem i oddychałem ciężko z wytężenia niezbędnego do utrzymania w ruchu mego wehikulu. Często zatrzymywałem się i zbiegałem do Zarawszanu, ażeby ugasić pragnienie i oblać się wodą.

Wreszcie wynurzyły się przede mną kontury nie oświetlonego budynku stacyjnego. Byłem w Kara-Kulu, oazie, która dała swą nazwę cennym skórkom jagnięcym.

Wszyscy niemal ludzie podróżujący po Turkiestanie umieją opowiadać mniej lub więcej straszne historie o sposobach otrzymywania skórek karakułowych.

Nawet wiedeński podróżnik Jack Jäger pisze w książce, która ukazała się w roku 1903: „Sposób wydobywania tych czarnych skór z owiec w Bucharze jest tak okrutny, że opisywaniem tego nie chcemy nadwierać nerwów czytelnika“.

Podobnie nieprawdopodobnych opowieści znajdziemy wiele. Ciekawy jest w owych opowieściach fakt, że dwaj tacy naoczni świadkowie — jak siebie nazywają — nigdy jednakowo nie opisują tych rzekomych tortur. Każdy z nich widział inną okrutną metodę, albo też przemilczają opis, stwierdzając tylko fakt i nie opisując szczegółów.

Sam byłem trzy razy w Bucharze i mieszkałem prawie siedem lat w Turkiestanie w okręgu Katta-Kurgan, który poza Kara-Kulem jest największą placówką hodowli ba-

ranów karakułowych. I ani razu nie byłem świadkiem postępowania okrutnego w stosunku do zwierząt.

Futro baranów karakułowych, niesłusznie nazwane w Europie perskim, astrachańskim czy brajtszwancem, powstaje przede wszystkim w oazach Kara-Kulu i Katta-Kurganu. Próby hodowli owiec karakułowych w Persji lub w Chinach nie udały się, chociaż hodowcy starali się przeflancować tam również i pokarm tych zwierząt, a mianowicie pewien gatunek mietlicy.

Hodowcy w Kara-Kulu przypisują delikatne skręcanie się włosów futra, co czyni je tak kosztownym, właśnie spożywaniu przez owce tej mietlicy, która rośnie tylko w okolicy tych dwóch wyżej wymienionych miejscowości Turkiestanu, a której w innych okolicach nie spotyka się.

Skoro tylko owce przeniesie się w inną okolicę, futro traci swe najlepsze właściwości.

Ponieważ do Europy skórki przychodzą przez Persję lub Astrachań, stąd przyjęła się ich niesłuszna nazwa.

W Kara-Kulu nie żałowałem ani czasu, ani fatygi, ażeby dokładnie poznać metodę osiągania tych futerek. Otóż ciężarne owce — w przeciwieństwie do nieprawdziwych opowiadań — w ostatnich dniach ciąży poddawane są specjalnie troskliwej opiece. Po urodzeniu jagnięta traktuje się bardzo delikatnie i uważnie. Na czwarty a najdalej ósmy dzień po urodzeniu zabija się je. Matki są zbyt drogie, żeby je traktować źle. Na jednej z podanych fotografii w niniejszej książce widać całkiem wyraźnie, że młode zwierzątko, które młodzieniec niesie ojcu do zabicia, ma już kilka dni.

Futerko zabitego zwierzęcia kładzie się natychmiast w sól i mąkę jęczmienną, ażeby się loczki nie rozkręciły. Nieprawdą więc jest twierdzenie, że owcy za żywa rozcina się brzuch i małe zwierzątko dla zachowania piękności futra musi być uśmiercone w ciepłym jeszcze łonie matki.

SZLACHETNE MIASTO BUCHARA

Z Kara-Kulu pojechałem koleją do odległej o jakieś osiemdziesiąt kilometrów Buchary. Tor prowadzi prostą, jak strzelił, linią przez bogato zabudowaną okolicę do kiszłaku Kagan, z którego do miasta Buchary wiedzie bocznicą kolejowa.

Podczas ostatniego mego pobytu w Kaganie była to niepozorna miejscowość, w której oprócz koszar rosyjskiego oddziału pogranicznego stały tylko dwa europejskie budynki — rezydencja naczelnika okręgu i gmach poczty konnej, znajdującej się w rękach prywatnych. Koncesjonariuszem był właśnie Niemiec, nazwiskiem Schmid, którego sąsiad, aptekarz Reinhard, też Niemiec, został potem dobroczyńcą jeńców wojennych pomiędzy Katta-Kurganem a Samarkandą.

Tak samo jak i w owych czasach pobytu tutaj jeńców wojennych, stały i tym razem wózki do wynajęcia. Atoli ze względów oszczędnościowych postanowiłem dojechać do Buchary koleją. Linia kolejowa, która dotychczas nigdy nie była używana i zburzona została przez Bucharów, od roku 1922 funkcjonowała na nowo. Codziennie odchodziły dwa pociągi do dworca znajdującego się przed bramą miejską Buchary.

Powoli i majestatycznie wtoczył się wieczorem do Buchary maleńki pociąg, składający się z parowozu i dwóch wagonów, i zatrzymał się tuż przed murem miejskim.

Buchara, niegdyś najpotężniejsze i największe państwo Zaoksanii, scentralizowało całą swą moc i piękno w tym mieście, które aż do roku 1920 nazywało się

„Świątą Bucharą“. Aby niezupełnie obdzierać miasto z upiększającej je nazwy, nazwano je „Buchara al Szerif“ (Szlachetna Buchara).

Miasto jest odwieczne. Z górą trzy tysiące lat temu znajdowało się już tutaj osiedle, po którym pozostały do dziś ślady materialne. W ciągu wieków swego istnienia Buchara kilkakrotnie ulegała zniszczeniu i znów była odbudowywana. W okresie panowania Arabów miasto doszło do olbrzymiego rozkwitu i bogactwa.

W dwieście piętnaście lat po panowaniu Hedżry (a. D. 622) Abdul-Abbas zbudował stojące jeszcze do dziś mury miejskie Buchary, ponieważ napadający Turkmeni zagrażali stale miastu, którego bogactwa ich nęciły. Następnie Buchara dostała się pod panowanie Arabów, którzy za czasów Kenenchera przeprowadzili większość istniejących jeszcze do dzisiaj urządzeń irygacyjnych pomiędzy Amu-Darią a Zarawszanem.

Można sobie wyobrazić ówczesne bogactwa miasta, jeżeli według starych pism musiało ono samemu tylko kalifowi w Bagdadzie płacić rocznie 200.000 diremów haraczem. W okresie panowania Samanidów miasta Buchara i Kerminé płaciły ponad milion diremów podatku.

Buchara była też jednocześnie ośrodkiem kultury islamu tudzież orientalnego przemysłu artystycznego. Jedwabie oraz materiały ubraniowe, wytwarzane w Bucharze, słynęły jako najpiękniejsze i najcenniejsze w całej Azji, a ich sława rozchodziła się po Arabii, Persji, Egipcie a nawet i w Grecji.

W owym czasie znano w Bucharze tylko trzy barwy, a mianowicie białą, czerwoną i zieloną. Używano tylko farb roślinnych, ponieważ nie znano ani zwierzęcych, ani sztucznych barwników. Ale oprócz materiałów sławę Buchary w świecie muzułmańskim roznosiły przeważnie dywany. Ówczesne dywany bucharskie były tak drogie, że

miasto mogło zapłacić sumę wynoszącą 200.000 diremów haraczowi kalifowi Bagdadu jednym tylko dywanem.

Pod panowaniem następców Arabów Bucharą upadła i dopiero Tamerlan doprowadził miasto do nowego rozkwitu. Na dworze swym w Samarkandzie zebrał bardzo wielu artystów z całego ówczesnego świata i przy ich pomocy wznosił tak wspaniałe pomniki budownictwa, o jakich nikt dotychczas nawet nie mógł marzyć. Ostatni z wielkich Timurydów, królewski astronom Ulug beg, poświęcił się upiększeniu Buchary i zbudował wielką ilość wspaniałych meczetów i medres.

Nie było więc w tym ani pychy, ani wywyższania się, gdy Bucharzy spytali pewnego razu podróżnika Vambery: „Hadzi, widziałeś już tyle krajów, powiedz więc, czy jest w świecie miasto równie piękne jak Bucharą?”

Istotnie, nie zmaćcone przez obce wpływy piękno Buchary nie ma sobie równego na całym świecie. Do chwili zajęcia jej przez bolszewików Bucharą była jedyną zamkniętą oazą orientalnej kultury i muzułmańskiego ducha. Nie tyle może starożytne mury miasta z ich wieżami i blankami broniły miasta przed falą wpływów Zachodu, ile sama historyczna rywalizacja Anglii i Rosji o zagarnięcie tego środka Azji.

Emirowie bucharscy potrafili zrećcznie wyzyskiwać tę rywalizację dla swych celów; toteż Bucharą dzięki temu faktowi lepiej mogła obronić swoją niepodległość i indywidualność niż Państwo Środka dzięki swym chińskim murom.

Teren leżący we wnętrzu murów miasta jest ograniczony i wyzyskany do ostatecznych granic. Wskutek tego powstrzymany jest napływ obcych elementów, a nawet przyrost ludności musi opuszczać miasto i szukać możliwości urządzenia sobie życia poza obrębem murów. Żadne z miast Wschodu nie znajdowało się tak całkowi-



Karawana wielbłądów wracająca z gór z solą i siarką.



Taniec podczas nocy ramazanowej.



Pani Kulijewa, przewodnicząca miejscowego sovietu w Kerki.

cie w rękach fanatyków religijnych jak Buchara. Władza mułłów i muftich była nieograniczona.

Nie tak dawno jeszcze, bo w roku 1919 podczas mojej obecności w Bucharze ulicami miasta i po bazarach chodzili *reisowie* (przełożeni duchowni), zatrzymywali przechodniów i pytali ich o jakąś dowolną *surę* Koranu lub o prawa *Szariatu*. Jeżeli egzaminowany w ten sposób wierny nie mógł dać zadowalającej odpowiedzi, *reis* kazał towarzyszącym mu policjantom zabierać go, skazując jednocześnie kiepskiego znawcę Koranu na karę batów lub grzywnę.

Z nastaniem ciemności zamykano wszystkie jedenaście bram miasta i po tym czasie wszelki ruch uliczny wewnątrz murów karany był bardzo surowo. Z chwilą wybuchu wojny światowej aż do roku 1920 bramy były zamknięte również i w ciągu dnia i można było przedostać się przez nie tylko za okazaniem specjalnego pozwolenia. Obecnie bramy miasta są otwarte dzień i noc i ruch nie podlega żadnym zgoła ograniczeniom.

Nie zmieniło się jednak życie bucharskich stróżów nocnych. Tak jak i dawniej, chodzą dziś jeszcze setki ich po ulicach i ochraniają powierzone im dzielnice. Uzbrojeni w pałki wypłaszają wszelkiego rodzaju przestępców tym, że uderzają kilkakrotnie tą pałką o każdą bramę domu, obok którego przechodzą. Toteż po ulicach aż dudni. Cel tego pukania jest dwojaki. Po pierwsze stróże dają tym dowód, że nie biorą darmo wynagrodzenia, lecz naprawdę czuwają, po drugie wypłaszają przestępców zajętych włamywaniem się. Surowy zakaz błakania się po obcym domu obowiązuje jednakże i stróżów nocnych.

Jeszcze swoiściej wygląda sprawa stróżów nocnych na ulicach bazaru. Wszystkie ulice na bazarze posiadają dachy dla osłony przed promieniami słońca, co kilkaset metrów zaś znajduje się dziura, którą można spojrzeć na

kramy bazarowe z góry. Stróż nocny wędruje po dachu jak niewidoczny anioł stróż, bębniąc bez przerwy i co pewien czas spoglądając w dół na bazar przez otwory w dachu, ażeby sprawdzić, jaki efekt wywołuje ten hałas. Ponieważ jednak żaden z nich nie jest uzbrojony, a wartujący na dachach stróże mogą dostać się na ulicę bazarów jedynie nakładając niezłe drogi, przeto działalność ich ma raczej znaczenie moralne. Tak czy owak, jedno jest pewne, że włamanie lub złodziejstwo należą do rzędu bardzo rzadkich przestępstw w Bucharze.

Bucharą była i jest dzisiaj jeszcze największym po Samarkandzie ośrodkiem handlu Azji Centralnej.

Większą część miasta zajmują seraje i karawan-seraje, będące przedtem własnością emira lub pobożnych fundacji, dzisiaj jednak zarządzane przez sowiet uzbekski.

Seraje te można porównać z naszymi urzędami celnymi lub składami towarowymi. Składają się one przeważnie z jednego lub dwóch pięter i otaczają prostokątny dziedziniec. W parterowych pomieszczeniach i na dziedzińcu zwykle znajdują się składy towarów, na piętrze natomiast mieszczą się biura i sklepy.

Z reguły wokoło piętra biegnie balkon w rodzaju wiążącego w powietrzu otwartego korytarza, na który wychodzą drzwi, otwarte zarówno zimą jak i latem, jako że okna są tu nie znane.

Większość bazarów Buchary pochodzi jeszcze z jej kwitnącego okresu; na przykład bazar umieszczony w wielkiej kopulastej hali Czar-ssu jako też podobny do niego bazar złotników Sargerieni-ssu, który zbudował jeszcze Abd-ul-Azis-Chan z dynastii Szeibanidów. Obok nich znajdują się bazary z książkami, watowanymi kołdrami, obuwaniem, towarami żelaznymi, kosztownymi ozdobami ze skóry, materiałami, derami filcowymi, atłasami i jedwabiem, dywanami, wyrobami garncarskimi, futrami

i turbanami. Pośród nich znajdują się kramy rzeźników, farbiarzy jedwabiu, kantory wymiany pieniędzy, blacharzy, garbarzy i kowali; następnie idą kramy sprzedawców soli, węgla drzewnego, piekarzy, handlarzy owoców, stelmachów, pomiędzy którymi znów co pewien czas spotyka się garkuchnie i herbaciarnie. Własny bazar posiadają handlarze tytoniu, rodzynek i bawełny, a następnie handlarze owczej i wielbłądziej wełny.

Na końcu każdej niemal ulicy bazarowej znajduje się monumentalny gmach medresy lub meczetu, których kopuły i frontony wykonane są ze złotej lub niebieskiej mozaiki. Recepty do tworzenia tych barw zginęły i nie można już ich naśladować.

Już przed wojną mimo całej pobożności prowadzono bardzo ożywiony handel tymi fajansami. Wywożono je do Rosji i Persji, ponieważ turyści z Zachodu płacili za nie olbrzymie sumy. Skutki tej manii kolekcjonowania są pożałowania godne. Mury obnażone są z fajansów na wysokość podniesionego ramienia, a widok brązowej gliny, który była niegdyś pokryta tymi kaflami, obniża poważnie ogólne wrażenie.

Dopiero gdy się wchodzi na jakiś płaski dach, z którego nie widać już tego bezmyślnego zniszczenia, człowiek naprawdę staje olśniony i oślepiiony otaczającą go wspaniałością złota i niebieskiego koloru.

Nie tknięta dotychczas kopuła Guwer-i-Szacha, w otoczeniu pokrytych niebieskimi fajansami kopuł i minaretów Goeg-Daszu, Diwan-Begi, Kalifa-Niaza, Harun-al-Raszida, Mirza-Ulug-Bega, Chiabada, Kalifa-Husseina, Mir-Araba, Mader-Chana oraz wielu, wielu innych, stanowi niezapomniany widok dla tego, komu udało się oglądać jej piękno.

Niesłychanie ożywiony ruch na ulicach miasta nie da się po prostu opisać. Karawany objuczonych wysoko wiel-

błądów, obładowane arby, jeźdźcy na koniach i osłach przeciskają się przez wąskie przejścia.

Persowie, Afgańczycy, Hindusi, Tadżykowie, Chińczycy, bucharscy Żydzi i dziesiątki przedstawiciele innych azjatyckich ludów wypełniają szczerlnie ulice. Hindusi, wyróżniający się swymi kastowymi znakami na czole, zajmują się przeważnie wymianą pieniędzy i konkurują zawzięcie z Persami, wyróżniającymi się swymi niesamowicie czarnymi czapami z futra. Afgańczycy i Ormianie zajmują się przeważnie pożyczaniem pieniędzy. Ale miast uciekać się do nowoczesnej buchalterii poprzestają jeszcze dzisiaj na używaniu kijów karbowanych. Biada ociągającemu się dłużnikowi! W dniu nieuiszczenia należności wyryta mu zostanie na futrynie jego domu wysokość długu, żeby każdy przechodzień widział, że nie spełnił obowiązku spłacenia tego, co pożyczyl.

Osobliwością Bucharą było od wieków położenie Żydów. W dawnych czasach byli tak pogardzani i uważani za nieczystych, że nie sprzedawano ich nawet jako niewolników. Do roku 1920 nie wolno im było kupować posiadłości ziemskich (dzisiaj pod panowaniem Sowietów tym bardziej nie wolno); nie wolno im było również ani dawniej, ani teraz nosić przepięknych kolorowych sukien bucharskich, jako też turbanów. Ze względu na religijne uczucia Bucharów muszą również i dzisiaj jeszcze, jak przed wiekami, mieszkać w pewnej wyznaczonej im dzielnicy miasta i nosić kaptury z filcu lub futra, aby ich można było natychmiast odróżnić jako Żydów. Nadto zabrania się Żydom opasywać pasami mahometańskimi, mają natomiast przewiązywać swe płaszcze cienkimi sznurami z konopi. Ale Żydzi wewnątrz swych domostw zrzucają z siebie płaszcze i kaptury, otulają się we wspólnie szaty i przywdziewają jedwabne chałaty, których noszenia odmawia im prawo poza domem.

Jedwabiami handlują przeważnie Afgańczycy, których natychmiast poznaje się po koniuszku turbana, zalotnie zwisającego od zawoju nad lewym uchem aż na piersi.

Co pewien czas spotyka się nowoczesną Bucharę. *Parandża*, której puste rękawy związane są na plecach, zawsze jeszcze pozostaje ubraniem kobiety, natomiast ważna część *parandży* — czarny welon z końskiego włosia — przeważnie już zniknął, co nie zawsze wychodzi jej na korzyść. Dawniej welon litościwie zakrywał wszelką brzydotę i zżarte chorobą skórą oblicze, co jest plagą ulic bucharskich.

Bucharą posiada sto kilkadziesiąt medres (wyższych szkół wyznaniowych) i nie przestaje być dotychczas ośrodkiem nauki i wiary. Można tu zobaczyć czerwoną gwiazdę sowiecką oraz portret Lenina lub Czidiraliewa w przykładowej zgodzie tuż obok starych ksiąg nauki Szariatu oraz komentarzy Koranu. W medresie Mir-Arab cela imama jest wzorowym przykładem takiego połączenia. W wąziutkiej celi nauczyciela znajduje się kilka półek ze świętymi księgami, pisanymi pismem arabskim i kufickim, ponad nimi zaś wisi emblemat w języku uzbekskim z napisem: „Proletariusze wszystkich krajów łączcie się“. Trudno byłoby na całym świecie o zestawienie dwóch podobnie przeciwnych pojęć w celi nauczyciela religii. Na pełne zdumienia pytanie odpowiedziano mi, że Bucharzy potrafią należycie odróżniać naukę Lenina od nauki Mahometa.

Od czasu propagandy bezbożnictwa liczba uczniów w medresach zmniejszyła się nieznacznie. Podczas mojej bytności uczyło się w Bucharze 21.000 przyszłych mullów, którzy przybyli do świętego miasta ze wszystkich części Uzbekistanu, aby poznać naukę Mahometa. Oczywiście, system nauczania w tych szkołach nie da się porównać z naszymi metodami.

Z korytarza biegnącego wokół całego dziedzińca prowadzą małe drzwi do bezokiennej celek, których całe urządzenie składa się z filcowych mat, watowanej koldry, grzebienia oraz mosiężnego dzbaną na wodę. Podczas nauczania dwaj lub trzej uczniowie z sąsiadujących ze sobą cel przychodzą do wspólnej izby i siadają w kuczki na ziemi wokół nauczyciela, który śpiewnym głosem czyta im z ksiąg.

Największym gmachem Bucharą jest cytadela, czyli zamek ostatnich emirów, zamieniony dzisiaj częściowo na muzeum antyimperialistyczne.

Drogocennego miecza, który niegdyś upiększał prawe skrzydło bramy cytadeli, oczywiście w Bucharze już nie ma. Wywieziony został przez zwycięską czerwoną armię do Turkiestanu, skąd wraz z nim zniknął bez śladu Osipow. Natomiast olbrzymi batog, który niegdyś jako symbol władzy emirów bucharskich przymocowany był na drugim skrzydle bramy, stanowi dzisiaj główny przedmiot wystawowy muzeum. Narzędzia tortur, łańcuchy, żelazne krezy, noże katowskie oraz kamienne bloki ze wszystkich kazamat bucharskich uzupełniają zbiory muzealne, a psychologiczne ich działanie na masy w znaczeniu komunistycznym jest bezsprzeczne.

Niedaleko stąd stoi letni zamek emira Szirbuduna, mający w sobie coś europejskiego. Obejście rozległego gmachu jest dosyć interesujące. Pomieszczenia przeznaczone do wyłącznego użytku emira oraz jego wielu żon zachowane są w swym pierwotnym stanie. Ściany komnat są — z małymi wyjątkami — otynkowane po prostu na biało albo na szaro. Do ściśle niegdyś zamkniętego ogrodu wychodzą wielkie, niemal nowoczesne okna. Posadzki ułożone są z płyt kamiennych lub wykonane z mozaiki. Wspaniale wyglądają odrzwia wejściowe sali tronewej, rzeźbione w drzewie różanym i przedstawiające wy-

soką wartość. Sam tron jest tylko zwykłym, nadmiernej wysokości fotelem, którego szerokie poręcze służą jednocześnie za stół do herbaty. Emir miał około dwudziestu sypialni, które z obawy przed zamordowaniem w tajemnicy zmieniał, podobnie jak to zwykle czynili turcy jego koledzy. Wykonana z przepychem sypialnia, w której zwykł był przyjmować swoją ukochaną żonę, jest niewątpliwie najpiękniejszą komnatą zamku. Ściany jej są obite ciężką jedwabną materią, dziś już nieco wytartą i podniszczoną. Sufit wyłożono drzewem jałowcowym i różanym i upiękuszony rzeźbami, nad wykonaniem których pracowało podobno kilku rzeźbiarzy przez trzydzieści lat.

Posadzka z mozaiki jest ułożona w małe, bardzo dobrze zachowane wzory w niebieskim i złotym kolorze.

Tutaj właśnie dziadek ostatniego emira, leżąc już na łożu śmierci, kazał w najwyższym pośpiechu stracić ukochaną żonę oraz trzy córki, żeby po śmierci jego nikt nie mógł ich oglądać i dotykać. Dla wygody kazał te morderstwa wykonać obok swego łoża śmierci, żeby naocznie przekonać się, że rozkaz jego został wykonany.

Na parterze znajdują się komnaty kobiet. Nie przypominają niczym wspaniałych opisów, jakie się słyszy zwykle o wschodnich haremach. Wyglądają prosto i niemal surowo. Gdyby nie wspaniałe jedwabne kobierce oraz niskie łóżka, przykryte jedwabnymi i adamaszkowymi koldrami, można byłoby przypuszczać, że się weszło do celi więziennej.

Tylko kilka pokoi przeznaczonych dla wyjątkowych faworyt urządzono z przepychem. W sufitach wyłożonych lustrami przelamują się nieliczne promienie światła, przedostające się do ciemnych pokoi przez niewielkie, delikatne kraty z różanego drzewa.

A jednak pewne rzeczy, wydające nam się tylko ta-

jemniczą romantyczną opowieścią, stają się tutaj rzeczywistością. Przewodnik podszedł do wielkiego lustra, które odsunął na bok za pomocą ukrytego mechanizmu, i odsłonił wąskie tajemnicze schody. Tędy wychodzi się na wielką, zamkniętą ze wszystkich stron galerię, otaczającą położoną niżej salę. Przez liczne judasze można doskonale widzieć wszystko, co się na niej dzieje. Stąd emir, niewidzialny dla swych żon, które w tej sali spędzały czas na tańcu i zabawach, dokonywał wyboru. Z galerii prowadzą znów na dół tajemnicze schody o dwóch wyjściach. Jedno prowadzi do sali kobiet, drugie do komnat emira.

W sali kobiet zgromadzono cały magazyn zabawek. Figurki poruszane mechanizmem, stare gramofony, lalki, pozytywki, pajace, francuskie żurnale mód, albumy z obrazkami oraz klocki do budowania — wszystko to służyło dla uprzyjemniania czasu młodym i starym damom haremowym.

W przeciwległym skrzydle przewodnik otworzył drzwi wmurowanej szafy. Oczom widzów ukazał się kompletnie urządzone przedział wagonu sypialnego z końca XIX wieku. Ojciec ostatniego emira namiętnie lubił podróżować koleją, toteż często jeździł tam i z powrotem pomiędzy Kaganem a znajdującym się przed bramą miastą dworcem.

Ponieważ jednak mułowie protestowali przeciwko temu, kazał sobie tutaj zbudować wierną kopię przedziału wagonu sypialnego, ażeby przynajmniej mieć złudzenie jazdy koleją żelazną. Za oknem przedziału znajduje się niewielkie wgłębienie, w którym niegdyś służba przeciągała wzdłuż okna zamalowane pasma papieru, żeby Jego Wysokości zdawało się, że jedzie pociągiem.

W sąsiedniej sali znajduje się prywatny meczet emira. Świeczniki w liczbie sześciu są (a przynajmniej były do roku 1920) ze szczerego złota. Głęboki, wyłożony kaflami basen, w chwili zwiedzania bez wody, któ-



Płukacze złota nad Sarafszanem. Złoto wymywa się mozolnie na patelni.



Owce strzyżę się na wiosnę.



Czterodniowe jagnięta karakulowe odnosi się do rzeźni.

ry swego czasu tak podgrzewano, że po prostu pod spodem palono dniem i nocą wielkie ognisko, służył do pływania. Stożące wokół ścian wanny z mosiądzu lub blachy cynkowej były już pogieęte i mocno podziurawione, co nadawało im wyraz spustoszenia. Na wysokości trzech metrów znajdują się okratowane okna z czerwonego szkła, dzięki którym panuje tu czerwony półmrok. W sąsiednim pokoju są judasze, niewidoczne jednak z łazienki. I one służyły emirowi do podglądania swych dam.

Z łazienki poprowadził mnie służący do tak zwanego labiryntu, wielkiej ośmiokątnej sali, która licznymi przepierzeniami podzielona jest na coś w rodzaju ogrodu z krętymi ścieżkami. Tutaj emir uganiał się za tymi pięknościami, które sobie wybrał w kąpieli.

Jeżeli wierzyć opowiadaniom, wezwanie do labiryntu przez eunucha było marzeniem każdej mieszkanki haremu, ponieważ intymne spotkanie z emirem przynosiło kosztowne prezenty i wyróżnienia, a nieraz było nawet pierwszym stopniem do roli faworyty.

Ówczesny przewodnik po muzeum był ostatnim nad-eunuchem dworu bucharskiego. Wskazał on czerwonym wojskom tajemnicze kryjówki i skarbcce. Dzięki jego znajomości zamku znaleziono też wiele ukrytych przejść, schodów i drzwi zapadających się, jako też prywatne więzienie emira, którego istnieniu stale zaprzeczano.

Gdy czerwoni żołnierze zajęli cytadelę i odnaleźli tajemnicze więzienie, do którego można było dotrzeć tylko przez ukryte przejścia i schody, uwolnili stamtąd osiemnaście uwięzionych mężczyzn i kobiet, przeważnie synów i córek emira oraz kilku dostojników, którzy zniknęli bez śladu.

Rzecz całkiem zrozumiała, że rosyjscy i bucharscy bolszewicy wyzyskali należycie wszystkie te okoliczności. Postarali się sprowadzić do miasta możliwie najwięcej

włóścian i koczowników z oaz bucharskich, aby im uświadomić okrucieństwo ich byłego emira.

Z Szirbudunu do cytadeli prowadzi podziemne przejście, którym emir uciekł w 1920 r.

Jedno wszakże należy przyznać bolszewikom. Zreformowali i uwspółcześnili od stóp do głów armię — swą główną podporę w Bucharze.

W roku 1919 bawiłem dwukrotnie przez dłuższy czas w mieście i dokładnie informowałem się o wyekwipowaniu i wyszkoleniu ówczesnych wojskowych bucharskich. Widziałem również sam różne ćwiczenia wojskowe poza bramami miasta. Uniform żołnierza składał się z uroczystego surduta granatowego koloru oraz czerwonych, niezwykle szerokich spodni, które spadały wielkimi bukami na postrzępione buty. Na głowie żołnierze nosili czapki z czarnych baranów, a na nich herb emira z mosiężnej blachy (ręka z rozstawionymi palcami) oraz herb państwa — półksiężyc z gwiazdą. Uzbrojenie ich składało się z zakrzywionej szabli, częstokroć bez pochwy, oraz starej rosyjskiej berdanki z niezwykle długim bagnetem. Nawet warta przed pałacem emira obejmowała swój posterunek w porwanych uniformach a w lecie zwykle boso. Żołnierze ci nie umyli, z kręconymi brodami, przyodziani niejednakowo, w mocno połatanych i podziurawionych uniformach, byli obrazem nędzy i opuszczenia. Kawaleria na małych, kosmatych konikach stepowych wyglądała może jeszcze nędzniej.

Bucharska armia posiadała również i działa, ale oczywiście takie, jakie widuje się jeszcze tu i ówdzie w naszych muzeach. Odlane z mosiądzu lufy do nabijania z przodu ozdobione były kabalistycznymi napisami i magicznymi formułkami, a gardziele ich zakończone były głowami smoków i węzłów.

Tymczasem w Obi-Harmie leżały wielkie ilości kara-

binów maszynowych i nowoczesnych armat odtylcowych, nie mówiąc już o mauzerach i automatycznych pistoletach.

Gdyby emir był we właściwym czasie wyekwipował w tę broń swoją armię, może do dziś byłby jeszcze panem kraju.

Sowiety wyposażyły bucharską czerwoną armię w najnowszą broń i wyćwiczyły ją należycie. Farbowane henną, czerwone brody zniknęły. Zdrowe, wspaniałe postacie, ubrane w jasnobrązowe uniformy, ćwiczą z godną podziwu dokładnością. Stepowe koniki bucharskie zastąpiono końmi turkmeńskimi, a służbę w pustyni pełnią żołnierze na wielbłądach.

Przed cytadelą leży największy bazar Buchary, zajmujący półtora kilometra obszaru. Rozległy plac otaczają setki małych kramów bazarowych, pośrodku zaś znajduje się największy *chaus* (staw) Buchary, graniczący od północy z medresą Buzeri-Gunfan, od zachodu zaś z medresą Szondubi.

Na wschód od cytadeli wznosi się nowe więzienie Buchary, które hrabia Schweinitz zwiedzając miasto w roku 1910 przed wojną światową uważał za nadzwyczajne. Podróżnik ten twierdził, że opowiadania o strasznych więzieniach Buchary nie odpowiadają rzeczywistości. Chytrzy Bucharzy oszukali hrabiego Schweinitza. Pokazali mu bowiem tylko więzienie dla dostojników i urzędników państwowych, gdzie emir umieszczał tych wszystkich faworytów i krewnych, którzy stawali się dlań zbyt niewygodni. Wyjaśnia to również tę okoliczność, że, jak twierdzi hrabia Schweinitz, pokazano mu tylko kilka cel, w których znajdowało się około dwudziestu więźniów. Bucharzy oczywiście nie chcieli pokazać hrabiemu więzień w Sindanie i Chiandanie, gdzie w podziemiach ginęły setki uwięzionych i do których wtrącano wielu europej-

skich podróżników, między innymi Anglików Conolly'ego i Stoddarta, gdzie trzymano ich aż do czasu stracenia.

Dzisiaj stare więzienia są skasowane, a w dawniejszych celach dostojników państwowych siedzą przestępcy kryminalni z ludu, gdyż politycznych więźniów wywozi się do Taszkientu i Moskwy.

Jeżeli się wejdzie na jeden z licznych minaretów Bucharą, widzi się niemal jednolity dach gliniany, na którym tu i ówdzie wyrastają mniejsze lub większe wzniesienia. Pochodzi to stąd, że przez środek miasta biegnie bardzo mało ulic bez dachów, większość bowiem jest z góry przykryta, tak że można bez większych trudności spacerować z końca w koniec po połączonych dachach domów.

Pomiędzy meczetem Kalan i medresą Mir-Arab wznosi się minaret Mir-Arab, zwany „Wieżą Śmierci“. Podczas panowania emirów bucharskich zrzucano stąd zaszytych w worki przestępców na wybrukowany plac.

Na kilka lat przed wojną światową na żądanie cara emir skasował zrzucanie z wieży i zamiast tego wprowadził zwyczaj ścinania głów. Atoli z początkiem wojny, gdy Bucharą odzyskała kompletną suwerenność, znów przywrócono zrzucanie z Mir-Arabu, jako jedną z kar.

Smutną częścią Bucharą jest dzielnica trędowatych, nie odgraniczona od reszty miasta, ani nie ujawniona żadnym znakiem ostrzegawczym. W kilkuset glinianych chatkach mieszkają ci nieszczęśliwcy i rodzą dzieci, które poza swymi nędznymi lepiankami z gliny nigdy nic nie zobaczą więcej na świecie. Każdemu mieszkańcowi przysługuje prawo zabicia chorego na trąd, jeśli go ujrzy poza granicami dzielnicy trędowatych.

Obecnie pod panowaniem Sowietów tymi biednymi ludźmi opiekuje się państwo; przedtem skazani byli na miłosierdzie krewnych lub innych dobroczyńców.

Ale nie wszyscy ludzie internowani w dzielnicy trędowatych są naprawdę chorzy na trąd. Ponieważ wiedza lekarska jest pod tym względem jeszcze w powijakach, wystarczy biała plamka na skórze na widocznym miejscu, aby zostać internowanym. Toteż bardzo są tu poszukiwani mistrzowie kosmetyki, którzy potrafią takim białym plamkom przywracać normalny kolor skóry. I zarabiają na tym dobrze.

Osobliwie urządzone są cmentarze Buchary, których większa część położona jest ze szkodą dla higieny wewnątrz murów miejskich. Ze względów strategicznych budowano dawniej domy w pewnej odległości od murów miejskich. Jednakże w ciągu ostatnich dwudziestu lat nie bardzo już tego przestrzegano i wobec tego bardzo wiele glinianych chat przybudowano wprost do wewnętrznej strony muru miejskiego. Właśnie pomiędzy tymi domami leży wiele cmentarzy.

Bucharzy, jak w ogóle mieszkańcy Azji Centralnej, nie chowają swych zmarłych tak jak my, to znaczy trupów nie zagrzebują w ziemi, tylko budują na powierzchni czterdziestucentymetrowe podwyższenie z gliny i na tym ustawiają murowaną nadbudówkę w postaci beczki. Tył tej nadbudówki jest zamknięty, gdy przód jej pozostaje otwarty. Zmarłego wsuwa się pod to sklepienie i zamurrowuje również i przód grobu, pozostawiając w nim niewielki kwadratowy otwór.

Ponieważ pogrzeb następuje przeważnie w ciągu piętnastu godzin, a zgodnie z wiarą w życie pozagrobowe dusza na rozstanie się z ciałem potrzebuje najmniej trzech dni, przeto w każdym grobie musi być taki otwór, przez który dusza ulatuje do raj. W otwór ten wstawia się również małą lampkę oliwną, którą należy zapalać na trzeci, na siódmy i czternasty dzień po śmierci. W tych samych terminach wsuwa się również do grobu podpło-

myki pieczone w tłuszczu, celem dostarczenia duszy jadła na drogę do raję.

Rzecz zrozumiała, że z otworów ulatniają się gazy pochodzące z rozkładających się ciał, a koty i psy wpełzają do wnętrza i wyciągają na zewnątrz kawałki nieboszczyków, które leżą nie sprzątnięte, nikt bowiem z wierzących nie może dotykać się części ciała zmarłego, ponieważ zmarły pozbawiony zostaje przez to raję.

Miejsca na cmentarzu jest niewiele, wobec tego groby w Bucharze nie leżą obok siebie lub jedno za drugim, lecz nawarstwione w wielu piętrach jedno na drugim, i cmentarz ten wygląda jak olbrzymi plaster miodu.

Wskutek ciśnienia górnych grobów i wskutek wietrzenia gliny całe warstwy dolnych grobów zarywają się; następnie pękają i górne, zawalając się, co powoduje odsłonięcie szkieletów gnijących ciał. Okresy deszczów w zimie w znacznej mierze przyczyniają się do tego spustoszenia. Często też widzi się pomiędzy zawalonymi grobami wiele kości i rozkładających się trupów.

Mimo to zdrowotne warunki Buchary są niezłe. Oprócz *riszty*, którą opisałem już na początku niniejszej książki, najczęściej spotykaną tutaj chorobą jest tzw. *pendinka*, tj. ropiące się rany, które przeważnie występują na twarzy, rękach i karku i pozostawiają po sobie potwornie szpecące blizny. Poza tym bardzo rozpowszechniona jest tak zwana „niebieska choroba“. Skóra zaatakowanego przez tę plagę człowieka staje się sucha i popękana i częściowo oddziela się od ciała strzępami, ale nie odpada. Można byłoby tę chorobę porównać z niezwykle mocnym oparzeniem naskórka na słońcu, ale atakuje ona całe ciało i wywołuje okropne bóle, przy czym skóra nabiera koloru niebieskiego. Ludzie dotknięci tą chorobą nie mogą przez długie miesiące nosić żadnego ubrania, nie mogą ani leżeć, ani siedzieć, ponieważ najmniejsze dotknięcie sprawia im

potworny ból. Przyczyna choroby jest nieznaną, nie ma też żadnych sposobów jej leczenia. Oprócz wyżej wymienionych niedomagań zbierają ofiary — trąd i choroby weneryczne.

Mimo niehigienicznego stanu wód bucharskich mieszkańcy tego miasta rzadko zapadają na tyfus. W wodę zaopatruje Bucharę około osiemdziesięciu stawów, zwanych *chausami*, które znajdują się w różnych częściach miasta; dla zaopatrzenia wszystkich poszczególnych dzielnic miasta służą przeprowadzone z tych stawów kanały, czyli *ariki*. Zarówno *chausy* jak i *ariki* zamieszkują tysiące żab i ropuch, pływają w nich poza tym zdechłe psy i koty i wrzuca się tam wszelkiego rodzaju odpadki. Nie dość tego, w tych rezerwuarach wodnych, gdzie żyją miliardy pcheł wodnych i robaków i z których bierze się wodę do gotowania i mycia, kąpią się psy, osły, konie, a zarówno zdrowi jak i chorzy ludzie myją sobie w nich twarze, nogi i ręce.

Gdym zobaczył pewnego razu, jak pewien nieszczęśliwy chory na *pendinkę* mył w *chausie* ropiejącą twarz, nie mogłem przez kilka dni pić herbaty ani jeść niczego, co było gotowane w wodzie.

A jednak te bucharskie stawy mimo wszystko, co dałoby się powiedzieć o ich zdrowotności, są czymś cudownie pięknym. Wieczorem, kiedy muezin wzywa z wysokiego minaretu wiernych do modlitwy, ludzie z całego miasta zbierają się na *dolce far niente* nad stawami, które otoczone są wysokimi srebrnymi topolami oraz olbrzymimi *karagaczami* (czarnymi wiązami). Rozkładają dywany i z ust do ust przechodzi nie gasnący nigdy *czilim*. Parują samowary i zręczni chłopcy podają wokoło płytkie filiżanki herbaciane z zielonym napojem. Przychodzą również *meddachowie* (bajarze), muzykanci i *baczowie* (młodzi tancerze) i demonstrować swe umiejętności.

Czasami zjawia się również kuglarz, pokazujący zebrany Bucharom nieprawdopodobne po prostu sztuczki; przyjdzie nieraz i indyjski zaklinacz węzów i każe tańczyć swym jadowitym gadom. A na wszystkim kładzie się spokój bucharskiego wieczoru. Rzadko słyszy się głośniejsze słowo, szeptem opowiadają jedni drugim nowości dnia i skandale. Tak było w Bucharze przed wiekami, tak jest i dzisiaj.

I nic nie mogą tutaj zmienić nawet Sowiety.

W OKRĘGU AMU-DARII

Drogą żelazną udałem się na południe do Czardżuju, w Farabie zaczekałem na karawanę, która ciągnęła do Patta-Husaru, i przyłączyłem się do niej aż do Burdałyku.

Droga karawanowa prowadzi przez szeroki pas roślinności Amu-Darii na południowy wschód. Gęstą dżunglę trzcinową tu i ówdzie przerywają nędzne kizlaki. W miejscach tych bagnisty teren wyzyskany jest zręcznie pod uprawę ryżu.

Chwilami droga biegnie przez wysokie piaszczyste wydmy, z których roztacza się rozległy widok na wielkie pustynie, leżące po obu stronach rzeki. Mimo urodzajności gleby w pobliżu brzegu, okolica rzeki jest słabo zaludniona, co należy przypisać wielkiej śmiertelności od febry błotnej i malarii. Z rzadka tylko widzi się w małych kizlakach zwykle domki z gliny. Wioski składają się przeważnie z zupełnie niskich, prymitywnych szałasów z trzciny obrzuconej gliną. Aż do Narasymu przeważa ludność turkmeńska, gdy pomiędzy Narasymem i Azret-Baszirem mieszkają Kirgizi, mocno przemieszani z Uzbekami.

Nie opodal Isske rozłożyliśmy się na noc obozem. Gdy ludzie byli zajęci karmieniem zwierząt i przygotowaniem wieczery, karawanbaszi zaproponował mi, żebym się z nim udał, ponieważ chce mi pokazać coś ciekawego. Zrobił z trzciny pochodnię i przy jej świetle wprowadził mnie na pagórek z lössu, gdzie zobaczyłem w glinianej ścianie wielki, podobny do wrót otwór. Dopóki nam starczyło światła, oprowadzał mnie po labiryncie korytarzy i pieczar, które miały ciągnąć się pod ziemią na kilka kilome-

trów. Widzieliśmy tam stare ogniska, potłuczone statki gliniane, zardzewiałą broń i metalowe sprzęty domowe, które musiały być bardzo stare, oraz kości zwierzęce, leżące na kupach.

Jak już wspominałem, w Turkiestanie znajduje się wiele tego rodzaju miast podziemnych, które od dawien dawna już nie są zamieszkałe. Nie zawaliło się tam ani jedno pomieszczenie i można było przechodzić wszystkimi korytarzami. Dzięki nadzwyczajnej ścisłości ziemi lössowej wszystko było raczej w takim stanie, jakby pieczary dopiero niedawno zostały wykopane. Nie wiedziałem sam, od jak dawna mogły istnieć tutaj te jaskinie, dopóki nie spotkałem się z pewnym lekarzem z Czardżuju, który zwiedził i zbadał prawie wszystkie podziemne siedziby turkiestańskie. Badacz ten objaśnił mi, że są to starodawne ośrodki cywilizacji, w których uczeni archeologowie znaleźliby obfity materiał, gdyby im się udostępniło badanie. Niestety, rząd rosyjski dotychczas zupełnie się o to nie troszczy.

Gdyśmy zeszli do obozu, wokoło namiotów paliło się wielkie dymiące ognisko z trzciny i zielonego drzewa, celem odpędzenia rojów moskitów.

Nic to wprawdzie nie pomagało, krwiożercze owady i roznosiciele malarii rzucały się bowiem całymi chmurami na ludzi i zwierzęta. Natychmiast zażyłem podwójną dawkę chininy i stosowałem ten środek ostrożności przez cały czas mego pobytu w okolicy Amu-Darii. Ani tubylcy, ani Europejczycy nie używają w Turkiestanie siatek przeciwko moskitom. Nie stosują tutaj również żadnych środków profilaktycznych. Kogo schwyci febra, ten po prostu cierpi i ginie.

„Insz Allach!“

Wziąłem z sobą kołdry i poniosłem je w głąb pieczary, gdzie nie powinny były docierać Moskity. Gdym się prze-

konał, że tak jest istotnie, pobiegłem raz jeszcze do obozu, aby powiadomić o moim odkryciu uczestników karawany — w tej myśli, że przyjmą z radością wiadomość o braku moskitów w pieczarze. Baszi zapewnił mnie, że dawno już o tym wiedział, wszyscy jednak znajdują się w mocy Allacha i nie obawiają się ukłuć moskitów. Zgodziłem się więc z tym, że przyjaciół mych pokąsają krwiożercze owady i zarażą ich malarią, sam zaś położyłem się spać w pieczarze.

Kraina położona pomiędzy Isske a Narasymem tworzy kotlinę i wobec tego jest jedną z niewielu części Buchary, które można nawadniać z Amu-Darii, gdyż reszta terenów Buchary położona jest wyżej niż rzeka.

Niezliczone ilości kanałów utrudniały nam bardzo podróż, musieliśmy bowiem przepływać je lub przechodzić w bród zależnie od ich głębokości. Trakt wzdłuż Amu-Darii jest jedną z najstarszych dróg karawanowych, ale nie ma na niej ani jednego mostu. Obok kanałów mających jakieś dwa metry szerokości i pół metra głębokości są tam również kanały pięciometrowej szerokości i dwumetrowej głębokości.

Pocieszenie wyglądała przeprawa przez takie kanały bojących się w gruncie rzeczy wody Turkmenów. Zanim doszliśmy do pierwszego wielkiego kanału, musieliśmy przeprowić się przynajmniej przez dwadzieścia mniejszych. Zwierzęta i ludzie wchodzili po prostu w gęstą gliniastą wodę i przechodzili ją w bród, teraz jednak sprawa była bardziej skomplikowana, ponieważ rów miał jakieś sześć metrów szerokości i wskutek spadku terenu woda szorowała z impetem.

Karawana zatrzymała się. Kilku ludzi wydobyło skóry baranie z siodeł i zaczęło nadmuchiwać je przez otwory po nogach. Powoli skóry zaokrągliły się i nabrały kształtu przypominającego grubą, pozbawioną szczeciny świnię.

Wtedy ludzie rozebrali się, zeszli do poziomu wody, pokładli się piersiami na nadęte skóry i wiosłując oburącz dotarli do przeciwnego brzegu.

Tych „turzuków“ używano już za czasów Tamerlana i Dżyngis-chana do przepławiania się przez rzeki. W pustyni w takich skórzanych workach przechowuje się zapasy wody, po przybyciu zaś nad rzekę służą za łodzie. Na przeciwległym brzegu znów napełnia się je wodą. Przy ściąganiu skór przeznaczonych na takie worki nie przecina się ich, lecz zdejmuje się w całości, tak że tworzą jednolitą powłokę. Otwory po nogach i szyi obwiązuje się jeszcze w świeżym stanie rzemykami i dzięki temu powstały balon naprawdę nie przepuszcza ani powietrza, ani wody. Jako otworu do wypelniania takiego balonu używa się albo otworu po szyi, albo po jednej z nóg, które po napełnieniu skóry kilkakrotnie się składa i obwiązuje.

Mijały nieraz długie godziny, zanim udało się przeciągnąć na drugą stronę kanału bojące się wody wielbłądy, toteż tego dnia przebyliśmy przestrzeń wynoszącą zaledwie trzy *tasze*. Wiele worków napełnionych powietrzem wieziono ze sobą, żeby można było ich natychmiast używać przy przepławianiu się przez wodę. Atoli Turkmeni nie doceniali stopnia rozszerzalności powietrza podczas tej operacji słonecznej, wskutek czego balony jeden po drugim eksplodowały z głośnym hukiem i przy następnym kanale trzeba je było przede wszystkim łątać.

Wskutek powolnego posuwania się na przód podróż nasza tak się przeciągała, że dopiero trzeciego dnia po południu dotarliśmy do Narasymu, chociaż odległość od Czardżuju wynosi zaledwie 92 kilometry.

Narasym był niegdyś potężną twierdzą bucharską przeciwko Turkmenom, podczas wojny zaś stacjonował w nim mocny garnizon rosyjski. Dziś jest to miejscowość nie mająca żadnego znaczenia, a dawniejsze jej koszary,

o ile dotychczas nie rozwały się jeszcze, służą za składy drzewa *saksaul*. Tak czy owak, panuje tutaj ożywiony ruch karawanowy w głąb Buchary, gdyż z całego Turkiestanu okolica Narasymu posiada najwięcej *saksaulu*. Choć rokrocznie wykopuje się z ziemi i wywozi dziesiątki tysięcy ładunków wielbłądzich *saksaulu*, zapasy jego są po prostu nie wyczerpane. Wprawdzie w najbliższej okolicy rzeki niewiele już można znaleźć tego drzewa, ponieważ statki same używają *saksaulu* jako opału i przez cały rok ładują i wywożą go bardzo wiele z biegiem rzeki Amu. Ponieważ przede wszystkim wyrąbano *saksaul* rosnący w pobliżu wody, trzeba już teraz udawać się kilka kilometrów w głąb pustyni, żeby zobaczyć całe lasy tej niezwyklej rośliny.

Drzewo *saksaul*, mające naukową nazwę *Haloxylon Ammodendron*, występuje tylko w piaszczystych pustyniach Amu-Darii i Syr-Darii, odznaczających się dużą zawartością soli, i rośnie pod ziemią a właściwie pod piaskiem pustyni. Kolor tego drzewa jest ciemnobrązowy albo czarny; jest ono niezwykle twarde, łupi się i pęka jak szkło, mając w miejscach pęknięcia strukturę sztucznego rogu lub wulkanizowanego kauczuku. Drzewo jest cięższe od wody i nawet w zupełnie suchym stanie tonie natychmiast. Zdatne jest tylko na opał, ponieważ nie można go ani przepiłować, ani oheblować. Rzeźby z *saksaulu* są wielką rzadkością i dosłownie szacowane na wagę złota.

Znam zaledwie kilka większych rzeźb z *saksaulu*, które znajdują się w pewnym mauzoleum w pobliżu Buchary.

Sękaty, poorany licznymi bruzdami pień, którego przekrój podobny jest przeważnie do spłaszczonej elipsy, sięga dziesięciu metrów długości i zwykle leży na głębokości jakichś trzydziestu centymetrów pod piaskiem. Ponieważ jednak jest pokręcony, co sprawia wrażenie olbrzymiej zmii w ruchu, części pnia ukazują się również na po-

wierzchni. Z tych właśnie znajdujących się nad piaskiem części zwojów wystrzelają cieniutkie gałązki, pokryte ma-
leńkimi, niemal niewidocznymi listkami, które są szare
jak popiół i tak przylegają do prętów, że gołym okiem pra-
wie ich nie można dojrzeć. Podczas palenia się drzewo wy-
daje korzenny zapach, który działa odurzająco. Czysty
i biały jak śnieg popiół tego drzewa używany jest przez
tubylców jako środek leczniczy i dezynfekcyjny.

Dla pełnego rozwoju drzewo to potrzebuje około stu
pięćdziesięciu lat i ma wtedy jakieś trzydzieści pięć cen-
tymetrów grubości.

Za Narasymem przedostaliśmy się w bród przez sze-
roka w tym miejscu na półtora kilometra rzekę, gdyż pra-
wy brzeg niemal do samego Burdałyku przedstawia ol-
brzymi moczar, którego obejście jest męczące i długo-
trwałe. A ponieważ łąchy piaszczyste i brody ciągle się
zmieniają, najęty w Narasymie przewodnik wyruszył
w bród przez Amu, wrócił po szczęśliwym przejściu (przy
czym woda sięgała mu często aż po szyję) i już bez żad-
nego wypadku przeprowadził karawanę na przeciwległy
brzeg. Lewy brzeg leży znów na terenie turkmeńskim i na-
leży do najbardziej urodzajnych części biegu Amu-
Darii.

Wprawdzie uprawiana powierzchnia ziemi nie przekra-
cza kilku kilometrów szerokości i natychmiast przecho-
dzi w południową pustynię Kara-Kum. Bez przerwy cią-
gną się tu jedne po drugich pola ryżowe, bawełny
i zboża.

Późnym wieczorem dojechaliśmy do Tałyku, miejsco-
wości położonej naprzeciwko Isslamu, którego skąpe świa-
telka odbijały się w rzece.

Ponieważ w nocy nie można było nawet myśleć o prze-
prawianiu się przez Amu, musieliśmy przenocować w Tał-
yku. Rankiem mieszkańcy Tałyku przeprowadzili nas

przez rzekę i pojechaliśmy do odległego o osiem wiorst Burdałyku. Pomiędzy fortecą i Amu osiedlili się Kirgizi w swych jurtach i tutaj przyjrzałem się tresowaniu sokolów i orłów do polowania.

Burdałyk do roku 1920 był wielką bucharską twierdzą o wysokich murach obronnych, których blanki i wieże zachowały się tak dobrze, jakby je zbudowano dopiero kilka miesięcy temu.

Miejscowość ta jest jednym z najważniejszych punktów węzłowych Turkiestanu. Stąd w postaci ramion gwiazdy rozchodzą się trakty w pustynię oraz łączą najbardziej na południe wysuniętą część Turkiestanu ze środkową i wschodnią Bucharą, jako też północno-zachodni i północno-wschodni Afganistan z Turkiestanem.

Burdałyk posiada również odpowiadające swemu znaczeniu rozmiary bazarów i serajów, które niemal równe są bazarom i serajom w mieście Bucharze.

W wąskich uliczkach miasta panuje ożywiony ruch handlowy, jakby go dotychczas nie dotknęła jeszcze ani nauka komunizmu, ani związane z nią zahamowanie produkcji, czy też trudności przy wymianie towarów. Czerwone sztandary oraz portrety Lenina są tutaj wielką rzadkością i wszystko wygląda tak, jakby do tego właśnie miasta wycofała się odwieczna tradycja Buchary. Przez cały dzień wchodziły do miasta ze wszystkich stron świata, głównie jednak z Afganistanu, karawany obładowane obficie towarami wszelkiego rodzaju, a krótka droga, prowadząca z Isslamu do położonego nieco na boku Burdałyku, roiła się od rana do wieczora od tłumów handlarzy i zwierząt. Nigdy dotychczas nie uderzyła mnie taka różnorodność sukni męskich, nigdy nie sprawił na mnie takiego wrażenia ponury widok zawołowanych kobiet oraz ożywiony ruch bazarowy, jak właśnie tutaj. Możliwe że

wrażenie to przypisać należy ciasnocie uliczek i bazarów, niemniej jednak było to wrażenie niezwykle silne.

W Burdałyku znów zabrałem się do szukania karawany, która zamierzałaby udać się drogą czterech studni do Jelatanu, leżącego przy drodze żelaznej do Murgabu. Wobec ożywionego ruchu, jaki tu panował, nie było to trudne, toteż wkrótce umówiłem się z Turkmenami, do których należały zwierzęta karawany. Za kilka dni miało wyruszyć w drugą część swej podróży z Burdałyku do Tachta-Bazaru czterysta wielbłądów z ładunkiem węgla drzewnego, które wędrowały już z Biszkentu jedenaście dni. Z nimi więc zamierzałem wybrać się w tę drogę.

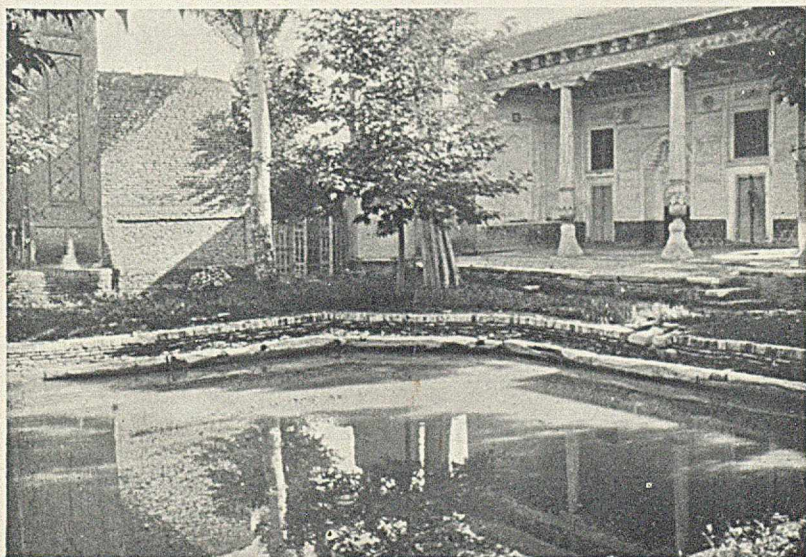
Droga z Burdałyku do Jelatanu na przestrzeni dwustu trzydziestu jeden kilometrów prowadzi przez południowo-wschodnią część pustyni Kara-Kum, gdzie nie ma ani osiedli, ani roślinności. Jedynie cztery studnie: Kulacz, Imyrsti, Daadjk i Daali umożliwiają przebycie tej żwirowej pustyni. Tutaj bowiem Kara-Kum nie jest pustynią piaszczystą, jak w swej głównej części, lecz składa się z niezmiierzonych połaci gruboziarnistego żwiru oraz twardych płaszczyzn soli. Nie ma nawet tej mizernej roślinności, jaka jeszcze zdarza się w piaszczystych okolicach pustyni.

Znów, i to po raz ostatni, przeprowiłem się przez Amu-Darię i pożegnałem się z jej wodami. Chociaż od ostatniego mego przejścia w bród tej rzeki upłynęło zaledwie cztery dni, widać było jednak znaczne obniżenie poziomu wody. Toteż mogliśmy wygodnie iść w bród od jednej wysepki do drugiej i do przeciwnego brzegu dotarliśmy niemal suchą nogą. W Tałyku napełniliśmy wodą wszystkie skóry baranie i niebawem wchłonęła nas pustynia.

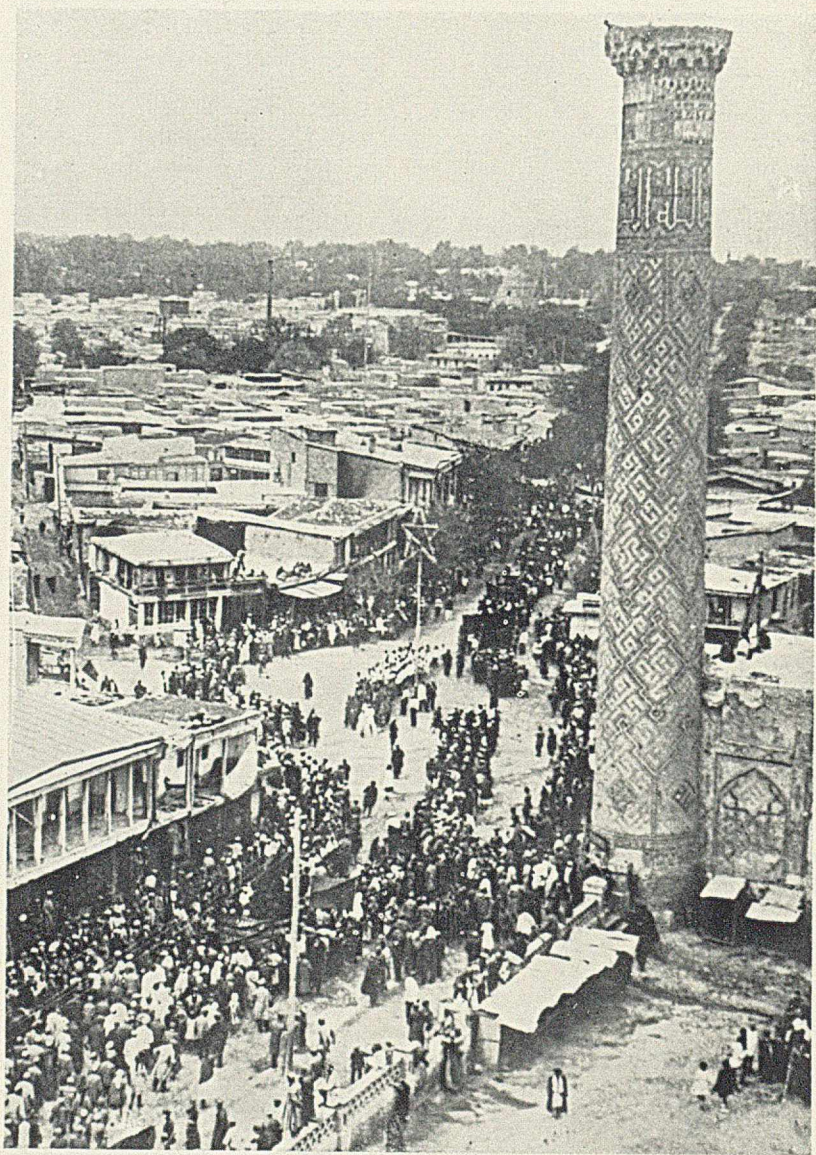
Mimo bogatej zawartości soli w tej części pustyni głębokie jej studnie wbrew oczekiwaniom miały smaczną wodę do picia.



Mury miejskie Buchary wraz z wieżą obronną.



Staw w ogrodzie domu, w którym mieszkałem w Bucharze. Z lewa tyły meczetu Harun-al-Raszida.



Buchara. Wspaniały minaret meczetu I-Keljan z widokiem na Bucharę.

Ostatnie słone jeziora musiały niedawno wyschnąć, ponieważ ciężko obciążone wielbłądy przerywały często cienką, składającą się z kryształów soli skorupę i zapadały się w znajdujący się pod nią muł.

Lękiem po prostu napawają burze Czarnej Pustyni, których jednak tym razem szczęśliwie uniknęliśmy. Owe silne i długotrwałe wichury miały wpłynąć na to, że grunt pustyni jest tutaj pozbawiony piasku i składa się tylko ze żwiru, najwidoczniej bowiem wiatry w ciągu wieków przeniosły stąd mialki piasek na zachód i tam go nawarstwiały. Burze nadchodzą zawsze z południowego wschodu, z gór Afganistanu i pędzą na północny zachód ku środkowi Kara-Kum.

Czegoś równie beznadziejnie pustynnego i martwego jak ta żwirowa pustynia nie widziałem nigdy dotychczas ani potem. Nie widać tutaj nawet bezużytecznych krzaków cierniowych, nawet drzewa saksaulowego; obok studni nie ma ani źdźbła trawy, ani krzewiny. W dodatku również i zwierzęta unikają tej okolicy. Oprócz naszych wielbłądów i osłów nie widziałem ani czworonogów, ani ptaka, ani gadów i płazów, których doprawdy nie brak w Turkiestanie. Brak również chrząszczy i robaków. Nawet muchy plujki opuściły w Tałyku nasze zwierzęta i zostały nad rzeką Amu-Darią, zresztą z korzyścią dla wielbłądów i osłów, którym dobrze dałyby się we znaki te krwiożercze owady.

Na piąty dzień po wyruszeniu z Burdałyku dotarliśmy do oazy Jelatanu nad Murgabem. Aż do tego miejsca doszedłem pieszo w roku 1916, uciekając nocą z Merwu.

Karawana udała się dalej pod prąd rzeki, ja zaś zacząłem na pociąg do Merwu, który mnie tam dowiózł w ciągu kilku godzin.

W ten sposób dotarłem do punktu wyjścia mej podróży bucharskiej, podczas której przebyłem okrągłe 9.000

kilometrów przez pustynię i góry. Prawdę mówiąc, miałem tego najzupełniej dość i pragnienie przygód zostało całkowicie zaspokojone. Tęskniłem już do spokojnego życia w Persji, do mych podróży w sprawach zakupu dywanów i marzyłem o rychłym powrocie do rodzinnego Wiednia.

JAK SIĘ WYDOSTAĆ Z BUCHARY?

Wjazd do niedostępnego kraju nie był zbyt trudny. Ale jaką drogą miałem się teraz wydostać z niego? Najprościej byłoby pojechać znów przez Kizil-Arwat do Alima-Kula oraz jego plemienia, ażeby wrócić do Persji tą samą drogą. Jednak bez przewodnika nie odważyłbym się na podróż z Aidinu do Kala-Kaja przez bezwodną pustynię Czambagy-Kum. Chores wspominał mi dosyć często, że tamtędy nie przechodzą żadne karawany i tylko dobrzy znawcy pustyni mogą gwarantować, że się przez nią przedostaną.

Jakże więc bez wielbłąda i worków na wodę mogłem się odważyć na taką podróż, której lękają się nawet Turkmeni, synowie pustyni? Zapas gotówki tak mi się skurczył, że nie mogłem sobie kupić ani zwierzęcia, ani niezbędnego ekwipunku. Ta droga była przeto odcięta, tym bardziej że nie miałem możliwości zawiadomienia Alima-Kulę, żeby kazał komu spotkać mnie w Aidinie.

Pozostawało mi zatem tylko przekroczyć granicę w dobrze strzeżonej okolicy, a mianowicie pomiędzy Duszakiem a Aschabadem. Jak to należało zrobić — miało się okazać po zbadaniu warunków na miejscu.

Kupiłem bilet do Duszaku, skąd prowadzi droga karawanowa przez łańcuch gór granicznych do Kelatu i Derhendu. Gdyby nie udało się tam przekroczyć granicy, musiałbym spróbować w okolicy Lutabadu dotrzeć do Imamgi lub wreszcie zaryzykować przedostanie się z Aschabadu do Szirwenu.

Jakąkolwiek obrałbym drogę, wszędzie należało zacho-

wać wielką ostrożność, aby nie być schwytanym przez oddziały graniczne. Główne niebezpieczeństwo polegało na tym, że według rozplakatowanych wszędzie w pasie granicznym dekretów, wejście na teren znajdujący się w promieniu dziesięciu wiorst od granicy było bezwzględnie zabronione i wartownicy mogli strzelać bez wezwania.

W Duszaku ostrożnie zasięgnąłem języka i dowiedziałem się, że przełęcz górskie są specjalnie dobrze obsadzone i pilnowane, ponieważ w tym właśnie czasie odbywa się tędy główna komunikacja z Persją. Pojechałem więc dalej do Noureku i zatrzymałem się w jedynej w tej miejscowości herbaciarni. Powoli zdobyłem sobie zaufanie *czaj-chanczika* i po kilku wstępnych pytaniach odważyłem się zwierzyć przed nim, że poszukuję przewodnika, który bocznymi ścieżkami przeprowadziłby mnie do Persji. Oprócz rabunku od wielu lat Turkmeni uprawiali w pasie granicznym i przemytnictwo. Syn dziedziczył po ojcu znajomość ukrytych ścieżek; toteż pewnego wieczoru siadł naprzeciwko mnie osiemnastoletni przedstawiciel takiej dynastii przemytniczej. Pertraktacje trwały kilka godzin, aż wreszcie została ustalona cena, za którą pełen nadziei młodzieniec godził się bezpiecznie przeprowadzić mnie przez granicę.

Oprócz sześćdziesięciu rubli w gotówce musiałem mu oddać zegarek, maszynkę do golenia i kompas jako też karabin, który wprawdzie pożyczył mi jego właściiciel, sowiet uzbekski, atoli z tego powodu nie robiłem sobie żadnych zgół wyrzutów. Zabrać go przecież z sobą nie mogłem, byłoby bowiem zbyt niebezpiecznie dostać się z bronią palną w ręce wartownika w pasie granicznym.

Umówione przedmioty miał przewodnik otrzymać w chwili wyruszenia, pieniądze zaś dopiero po przekroczeniu granicy. Rewolwer oraz kilka naboji zaszyłem w grubym chałacie w ten sposób, że broń akurat znalazła się

pod pachą. W ten sam sposób zaszyłem i paszport perski w cholewę jednego z butów. Wszystkie inne papiery i notatki oprócz prawdziwych dokumentów Steinschneidra oraz zaświadczenia, które otrzymałem z samarkandzkiego sowietu, zostały spalone.

W przeddzień zamierzonej przeprawy przez granicę za podszeptem diabła napisałem kartkę do rosyjskiego konsula w Enzeli, który swego czasu nie pozwolił mi udać się do Turkiestanu. Następnie włożyłem dokument Steinschneidra w kopertę i oba listy wrzuciłem na dworcu do wagonu przejeżdżającego pociągu, ponieważ nie bardzo mi się już chciało jechać 400 kilometrów do Kizil-Arwatu i z powrotem. Aparat fotograficzny i filmy zapakowałem wraz z resztą manatków w mały *kurszim*.

Rano 26 sierpnia 1925 roku zjawił się mój przewodnik, dosiedliśmy osłów i ruszyliśmy drogą do Duszaku. Z początku trzymaliśmy się toru kolejowego, dopóki nie doszliśmy do rzeczki Kalatu, której łożysko było całkowicie wyschnięte, i łożyskiem tym szliśmy dwie godziny. Wreszcie przewodnik zarządził postój i położyliśmy się spać pod uschniętymi drzewami morwowymi, żeby w nocy być wypoczętymi.

O świcie wspięliśmy się na strome zbocze górskie, pokryte żwirowiskiem. Jak dotychczas, przemierzaliśmy całą przestrzeń nie widząc ani drogi, ani ścieżki. Według przewodnika, znajdowaliśmy się w odległości trzech kilometrów od najbliższej drogi, tak że odnalezienie nas tutaj było zgoła niemożliwe.

Schowaliśmy się przed słońcem pod zwisającą skałą, wypiliśmy po łyku wody, zjedliśmy po kilka pajd suchego chleba i wkrótce zasnęliśmy.

Około południa, gdy słońce stało niemal w zenicie, obudziłem się i mimowoli sięgnąłem po skórę barania, aby ugasić pragnienie. Poruszenie obudziło mego towarzysza

podróży. Szybko wyrwał mi worek z wodą i wyjaśnił, że posiadany zapas musi starczyć na dwa dni, w przeciwnym razie umrzemy z pragnienia. Wyciągnąłem więc znów krzemki z kieszeni i dałem również jeden memu przewodnikowi. Jak już nieraz dotychczas, tak i teraz krzemki istotnie pomogły znieść pragnienie.

Przewodnik powiedział mi, że na przestrzeni trzech pierwszych etapów górskich Kopet-Dagu istnieje tylko jedno źródło wody. Na wiosnę w okresie topnienia śniegu strumienie wypełniają się wodą, ale już w kwietniu kompletnie wysychają.

Góry, niby olbrzymi mur, odgrywają Persję od pustyni Kara-Kum. Od Morza Kaspijskiego aż do granicy afganistańskiej, a zatem niemal na przestrzeni tysiąca kilometrów Kopet-Dag wraz ze swymi odnogami tworzy naturalną granicę pomiędzy Persją a Turkiestanem.

Wspinające się stromo z poziomu pustyni piaszczystych góry posiadają niewiele przełęczy, toteż nadzór tego wielkiego pasma granicznego nie przedstawia większych trudności. Jest tu wszystkiego tylko sześć przejść, których drogi dostępne są dla ludzi i zwierząt. Od czasu objęcia władzy przez Sowietów trzy z nich zamknięto dla komunikacji i pozostają otwarte tylko Kifan, Firuze i Lutabad.

Naturalnie istnieją dziesiątki ukrytych ścieżek, które znają jednak tylko przemytnicy i którymi przedostają się z bezprzykładną odwagą, ponieważ prowadzą one przez pozbawione wody, skaliste pustkowia i są prawdziwymi wysokogórkimi stromiznami dla wytrawnych alpinistów. Zdarza się też nieraz, że z takiej wyprawy bandy przemytników wracają nie wszyscy, a czasami nie wraca nawet nikt.

Widok, jaki roztoczył się przed nami z pierwszego miejsca wypoczynku w górach, był porywający. Bez końca

ciągnęła się na północ, wschód i zachód wielka pustynia Kara-Kum. Ani jedno wzniesienie, ani jedna żółta plama nie przerywały żółtoszarej, jednostajnej płaszczyny, która hen w dali zlewała się z horyzontem. Wtedy, chociaż spoglądałem tylko na jedną część pustyni, zrozumiałem jej olbrzymią rozległość, wynoszącą 200.000 metrów kwadratowych powierzchni.

Znów nadeszła noc i ruszyliśmy dalej w góry. Przewodnik mój musiał znać tę okolicę jak swoją kieszeń, gdyż bez najmniejszego wahania i zastanowienia piął się w górę. Szedłem tuż za nim, ażeby nie stracić go w ciemności. Wkrótce księżyc oblał nas swym światłem i stwierdziłem, że idziemy po zawałonej wielkimi złomami skał, wysokogórskiej płaszczynie, która była kompletnie pozbawiona roślinności. Około północy zatrzymaliśmy się, aby nieco wypocząć.

Turkmen kazał mi spokojnie leżeć na miejscu, ponieważ musiał udać się po wodę do znajdującego się nie opodal źródła. Minęła już godzina i zaczynałem się niepokoić myśląc, że Turkmen porzucił mnie tutaj i od dawna już znajduje się w powrotnej drodze do Noureku, gdy nagle wrócił ze skórą baranią pełną świeżej wody.

Rzuciłem się na nią z chciwością.

Noc była bardzo zimna i wzmocnieni znów ruszyliśmy szybciej na przód, ażeby rozgrzać nieco skostniałe członki.

Równina wysokogórska przeszła w głęboki wąwóz, którym cicho zsuwaliśmy się w dół. Według mego przewodnika mieliśmy wspiąć się jeszcze raz po pochyłości; wtedy znajdziemy się na wysokości jakichś 3.000 metrów i dotrzemy do najwyższego punktu. Czulem się zupełnie pewnie i postanowiłem zapalić papierosa, spytawszy uprzednio Turkmena, czy nie grozi nam z tego powodu jakieś niebezpieczeństwo. Zaledwem jednak to uczynił i odrzucił palącą się jeszcze zapalną, gdy znajdujący się

obok mnie przewodnik szarpnął mnie ku ziemi i w tymże momencie usłyszałem z lewej strony głos:

— Kto tam? Stój!

Wezwanie to tak mnie zaskoczyło i wystraszyło, że nawet gdyby towarzysz mój nie zatknął mi ust, nie mógłbym nic odpowiedzieć. Turkmen w mgnieniu oka porwał się i zniknął w ciemności. W tejże chwili w odległości kilku metrów ode mnie huknął strzał i ładunek uderzył o kamień tuż obok mnie, tak że aż posypały się z niego iskry. Z kolei posypały się strzały w ślad za mym uciekającym przewodnikiem.

Leżałem nieruchomo, dopóki nie usłyszałem rozkazu niewidocznego strzelca.

— Wstawaj!

Posłusznie wstałem i podniosłem ręce do góry. Żołnierz graniczny zbliżył się z gotowym do strzału karabinem.

— Kto ty?

— Geolog uzbekskiego sowietu.

— Masz dokumenty?

— Naturalnie — odparłem chcąc sięgnąć do kieszeni.

— Czeka! Ręce trzymaj do góry! Dlaczego uciekaliście?

— Widzisz, że nie uciekał. A przyjaciel mój uciekł, bo myślał, że jesteś rozbójnikiem.

— Skąd idziecie?

— Z Merwu.

— Połóż się. Czeka, nie tak, na brzuch. Jeżeli się odwrócisz, strzele. Zapamiętaj to sobie.

Położyłem się tak jak chciał, na ziemi. Żołnierz położył karabin za kamieniem i wyciągnął rewolwer. Następnie ukląkł mi na plecach i przykładając jedną ręką lufę rewolwerową do karku, starał się drugą przeszukać mi kieszenie. Wreszcie znalazł brudny dokument samarkandzkiego sowietu. Wsunął mi w dłoń pudełko zapalek i kazał

zapalać jedną po drugiej, aż odcyfrował papier. Wtedy pozwolił mi wstać i opuścić ręce.

— Bardzo mi przykro, towarzyszu, ale muszę zabrać cię na posterunek graniczny. Nie powiadomiono nas o tym, że możesz zatrzymać się w pasie granicznym. Choźż zatem ze mną bez sprzeciwu, gdyż w razie oporu będę musiał strzelać.

Wstałem i ruszyłem we wskazanym kierunku, gdy żołnierz szedł tuż za mną, mówiąc mi co pewien czas, jak mam iść.

Powoli przewyciężyłem strach i mozoliłem się nad wyszukaniem fortelu, który uwolniłby mnie.

Po godzinie drogi zatrzymaliśmy się znów na płaskowyżu. Gdyśmy przyszli z północy, przewodnik mój prowadził mnie stąd wprost we wschodnim kierunku. Poprosiłem żołnierza o wypoczynek. Nie miał nic przeciwko temu, usiadł o kilka kroków obok mnie, ale karabinu ani na chwilę nie wypuszczał z ręki.

Rzuciłem mu kilka papierosów, które przyjął z podziękowaniem. Paląc w milczeniu, posiedzieliśmy jakieś pół godziny i potem ruszyliśmy dalej.

W kwadrans potem krzyknąłem nagle z bólu i upadłem na ziemię. Dozorca mój spytał, co się stało.

Odpowiedziałem, że poślizgnąłem się o kamień i zapewne złamałem sobie nogę w kostce. Poza tym powiedziałem, że musiałem podczas upadku zranić się w ramię, ponieważ nie mogę nim poruszać.

Żołnierz usiadł nie opodal mnie i zdawał się namyślać, co począć dalej. Przepisy czerwonej armii najwidoczniej nie przewidywały podobnego wypadku. Jęczałem z bólu i prosiłem o wodę. Żołnierz ukląkł obok mnie i przyłożył mi swoją manierkę do ust. Piłem powoli małymi łykami. Prawą rękę unosiłem nieznacznie, aż uczułem kolbę jego pistoletu. Jednym szarpnięciem wyrwałem mu go zza pasa

i jednocześnie z okrzykiem „Ruki w wierzch!“ skierowałem broń w jego piersi.

Ręce żołnierza momentalnie skoczyły do góry i zawartość manierki wylała mi się na twarz.

— Tak, mój synu, teraz połóżysz się pięknie na brzuchu i ręce złożysz na plecach.

Bez słowa protestu wykonał to, czego żądałem. Człowiek ten wiedział, że w pasie granicznym wiele się nie mówi, ale natychmiast strzela. Poza tym był tak zdumiony moim zaskoczeniem go, że ani myślał o oporze.

Przede wszystkim więc związałem mu paskiem od spodni ręce na plecach, żeby nie mógł się nimi posiłkować. Następnie obróciłem go i pomogłem mu usiąść.

Gdy usiadł, wróciła mu wreszcie mowa.

— Tyś wcale nie złamał nogi? — spytał zdumiony.

— Nie, mój synu. Ale słuchaj, co ci powiem! Jeżeli przeprowadzisz mnie bezpiecznie przez granicę, nic ci się nie stanie i będziesz mógł zdrów powrócić na posterunek graniczny. Jeżeli jednak będziesz się wzbraniał, albo jeżeli zauważę, że masz zamiar mnie zdradzić, zabiję cię na miejscu. Wierz mi, że groźba ta sprawia mi prawdziwą przykrość.

Z kolei zabrałem się do zrewidowania mego jeńca. Oprócz kilku rubli, paczki machorki oraz arkusza papieru do skręcania „sobaczich nożek“, w których pali się machorkę, nie miał nic więcej w kieszeniach. W torbie miał trochę sucharów, puszkę konserw mięsnych oraz kilka naboji karabinowych. Rzeczy te pozostawiłem mu, tylko wyciągnąłem mu zza pasa kaukaski kindżał; następnie wziąłem jego karabin i w zamian za to kazałem mu nieść na plecach worek oraz skórę baranią, w połowie napełnioną wodą.

Tak zamieniwszy się rolami ruszyliśmy w kierunku

Persji. Na jego prośbę podczas marszu zdjąłem mu z rąk więzy.

Gdyśmy o świcie schowali się w jakiejś pieczarze, ażeby tam spędzić dzień, związałem mu ponownie ręce i nogi, abym mógł się dobrze wyspać; następnie nakarmiłem go jego własnymi konserwami, z czego po koleżeńsku zaproponował mi połowę.

Pod wieczór przed udaniem się w dalszą drogę rozmawialiśmy już ze sobą swobodnie jak starzy przyjaciele. Jeniec mój opowiadał mi, że od kilku lat wszyscy ci ludzie, którzy chcieli potajemnie opuścić Rosję, woleli drogę przez Persję niż przez rumuńsko-rosyjską granicę, ponieważ tam nadzór jest tak dobrze zorganizowany, że nie można przeprowić się przez Dniestr ani w zimie po lodzie, ani w lecie łodzią. Niemal codziennie padało na Dniestrze od kul sowieckich kilku uciekinierów, a zdarzało się to nawet nieraz już na brzegu rumuńskim. Według obliczeń Moskwy ilość uciekinierów przez Dniestr wynosi okrągłe półtora miliona, gdy dotychczas przez Persję udało się uciec ca 200.000 ludzi. Obecnie jednak i perskie góry graniczne są dobrze pilnowane i dlatego, aby uniemożliwić ucieczkę z Rosji, wartownicy muszą strzelać bez wzwania.

Tym razem wyruszyliśmy jeszcze przy świetle dziennym, żołnierz bowiem zapewniał mnie, żeśmy już dawno pozostawili za sobą rosyjskie wartownie, ponieważ spotkał mnie na terenie perskim. Gdy się już ściemniło, zatrzymaliśmy się na południowym zboczu drugiego łańcucha gór, ażeby przeczekać do rana.

Znów związałem mego przewodnika, następnie zbudowałem z kamieni mur metrowej wysokości i za tą zasłoną ugotowałem dla nas obu herbatę, którą spożyliśmy z ostatnimi sucharami. Z zapasów żywności pozostał mi już tylko niespełna kilogram suszonych moreli. Po skromnej wie-

czery sprawdziłem, czy jeniec nie może się przypadkiem uwolnić z więzów, zawiąłem się w płaszcz i wkrótce zasnąłem.

Obudziłem się wskutek uderzeń siekiery w gałąź i skoczyłem na równe nogi, w tej myśli, że mój jeniec uwolnił się. Ale biedaczysko nasłuchując uniósł tylko głowę i szepnął mi, że mnie obudził, ponieważ usłyszał kroki. Zacząłem i ja nasłuchiwać. Istotnie, nie opodał nas przez żwirowisko musiało iść kilku ludzi, wyraźnie bowiem słyszałem szurgot obuwia i staczanie się kamieni. Przysunąłem się do Wasyla Andrejewicza, zbliżyłem usta do jego ucha i spytałem, co myśli o nocnych wędrówkach. Rosjanin odpowiedział mi szeptem, że muszą to być przemytnicy albo perscy żandarmi tropiący właśnie takich włóczęgów; tak czy owak, należało zachowywać się cicho.

Długo jeszcze słyszeliśmy wśród ciszy jasnej nocy coraz bardziej oddalające się szmery. Gdy ucichły, wkrótce nastał dzień i ruszyliśmy w dół ku dolinie.

W małej pieczarze ukryłem karabin żołnierza oraz jego rewolwer wraz z nabojami, ażeby w powrotnej drodze mógł je zabrać ze sobą. Długą swoją nieobecność niech wytłumaczy przełożonym jak chce. Następnie zdjąłem chałat i na oczach zdumionego Wasyla Andrejewicza rozprułem to miejsce, gdzie schował swój mały browning. Dla pewności wsunąłem weń magazyn naboji i broń gotową do chwytu włożyłem do kieszeni.

Około południa ujrzeliśmy hen daleko w dole, pod nami, dosyć dobrze zbudowaną drogę, po której jechało klusa kilku uzbrojonych jeźdźców. Według Rosjanina, byli to perscy żandarmi.

Wtedy ściągnąłem buty i z cholewy wydostałem swój perski paszport, samarkandzki zaś podarłem w drobne kawałeczki i rozrzuciłem je, ażeby władze perskie nie znalazły go u mnie i nie wzięły mnie za bolszewika.

Po tym wszystkim zwróciłem Wasylowi Andrejewiczowi wolność. Żołnierz rosyjski zapewnił mnie, że teraz, kiedy mnie lepiej poznał, myśl, że miał mnie zamiar zaprowadzić do placówki granicznej, sprawiała mu wielką przykrość.

W nagrodę za przeprowadzenie mnie do perskiej granicy i jako rekompensatę za zabrany mu kindżał dałem mu połowę swej gotówki, a mianowicie trzydzieści rubli, za co podziękował mi aż do przesady serdecznie. Niemniej serdecznie przeprosiłem go, że był zmuszony uciec się do gwałtu, i rozstaliśmy się jak najlepsi przyjaciele.

Po wielokrotnym uścisku rąk i „Do swidanja towarzyszc“ zszedłem przez żwirowisko w dolinę i powędrowałem dalej drogą do Mariszu. Po południu przeszedłem trzeci łańcuch górski i dobrą drogą dotarłem do kwitnącej, urodzajnej doliny. Wkrótce doszedłem do małej, otoczonej wysokimi murami, niezwykle czystej wioski. Udałem się do starosty wiejskiego i przedstawiłem mu się jako kupiec dywanów.

Wyśmiał mnie, że jestem taki głupi, i spodziewam się znaleźć tutaj w Kopet-Dagu dywany do kupna. Osiągnąłem jednak to, o co mi chodziło, starosta bowiem zaprosił mnie, abym przenocował u niego jako jego gość. Następnego ranka dał mi do dyspozycji konia, oprócz tego pojechał ze mną do najbliższej miejscowości żandarm, skąd miał przyprowadzić z powrotem pożyczonego mi wierzchowca.

Nauczony doświadczeniem, starałem się w podobny sposób urządzić i w innych wioskach, co mnie nic nie kosztowało, natomiast bardzo ułatwiało zbliżanie się ku celowi.

W ten sposób przekroczyłem również i piąty łańcuch górski, u stóp którego leży wieś Kuczana. Zaczyna się tutaj znów strefa smukłych srebrnych topoli oraz boga-

tych pól ryżowych. Osobliwie przedstawia się nawodnienie na dwóch ostatnich stokach południowych Kopet-Dagu. Połączono w górach źródła wody i przeprowadzono ją tzw. *kerisami*, czyli podziemnymi kanałami, aż na pola, gdzie dopiero ogląda światło dzienne. A zrobiono to dlatego, że woda wskutek ogromnych upałów wyparowałaby po drodze do doliny.

Przez Imam-Kule i Szirnarán (obie te miejscowości otoczone są murami fortecznymi) dotarłem do Meszedu, świętego miasta szytów. Odnalazłem przede wszystkim wuja Kanadiego, który tutaj mieszkał i zajmował się skupowaniem dywanów we wschodniej Persji dla swego siostrzeńca. Od niego też pożyczyłem sobie sto tomanów. Poczciwy Hussein Zade był po prostu oszołomiony, gdy mnie zobaczył. Śmiejąc się opowiedziałem mu w głównych zarysach swoje przygody i dowiedziałem się, że Kanadi od dawna już uważał mnie za nie żyjącego, a moje oszczędności przesłał krewnym do Wiednia. Poprosiłem Husseina Zade, aby nie powiadamiał Kanadiego o moim zjawieniu się, ponieważ chciałem zrobić mu niespodziankę w Tebrysie.

W jedynym europejskim magazynie Anglika Tinka kupiłem sobie odpowiedni garnitur, koszulę i kołnierzyk, następnie udałem się do *hammamu* (łaźni) i poddałem się gruntownemu „oczyszczeniu“.

Skłamałbym, gdybym powiedział, że zaraz w pierwszych dniach dobrze się czułem w nowym ubraniu. Przede wszystkim bowiem nie mogłem znieść kołnierzyka od koszuli i musiałem go stale zdejmować. Dopiero powoli przyzwyczaiłem się do tego artykułu cywilizacji.

Łaźnie w perskich miastach prowincjonalnych, w przeciwieństwie do łaźni turkiestańskich, znajdują się przeważnie na powierzchni ziemi, nie zaś pod ziemią. Goście kąpielowi w Persji nie myją się sami, tak jak u nas. Czy

się chce, czy się nie chce, trzeba się powierzyć służącym, którzy po prostu porywają gościa i zaczynają go odpowiednio traktować.

Po rozebraniu oblano mnie przede wszystkim kilkoma kubłami zimnej jak lód wody, po czym nastąpiło natychmiast oblanie kilkoma kubłami gorącej wody, następnie oblano mnie znów zimną wodą i tak dalej. Kiedy parszając i klnąc uciekłem po oblaniu zimnym prysznicem w kąpielnię, schwytano mnie i przyciągnięto siłą na środek pomieszczenia, gdzie rozbito mi na głowie pół tuzina jaj, tak że zawartość ich rozlała mi się po całym ciele. I oto sześć rąk zaczęło wcierać mi białka i żółtka w skórę, a odbywało się to z taką pasją i siłą, że po tym zabiegu obsunąłem się na pół martwy na ziemię i leżałem już bez ruchu. Ale kilkakrotny lodowaty prysznic porwał mnie znów na równe nogi.

Gdybym nie był w tej chwili tak zmęczony i słaby, kąpielowi, którzy zresztą spełniali tylko swój obowiązek, nie uniknęliby policzków, co zapewne bardzo dotknęłoby tych dzielnych ludzi. Ale bezwolnie pozwalałem już dalej dokonywać nad sobą wszelkich zabiegów. Położyli mnie więc na brzuchu i zaczęli mi froterować plecy kłakami wełny wielbłądziej; następnie przyszła kolej na brzuch i wkrótce wyglądałem jak ugotowany rak.

Z kolei zaczęli gniesić i wykręcać członki, tak że aż trzeszczały i jakby lada chwila miały wyskoczyć ze stawów. Wreszcie dręczyciele moi jęli mi tak siekać i zbijać całe ciało grzbietami rąk, że miałem wrażenie, jakbym się stał siekanym befsztykiem. Na zakończenie nastąpił znów zimny prysznic.

Niby żywego trupa wyniesiono mnie do przedpokoju i poczęstowano herbatą. Takich bazarzy jak w turkietańskich łaźniach nie znajdują tutaj najwidoczniej dlatego, że

w ten sposób potraktowany gość słyszy i tak już śpiewy anielskie.

Po dwugodzinnym śnie obudziłem się i czułem się jak nowonarodzony.

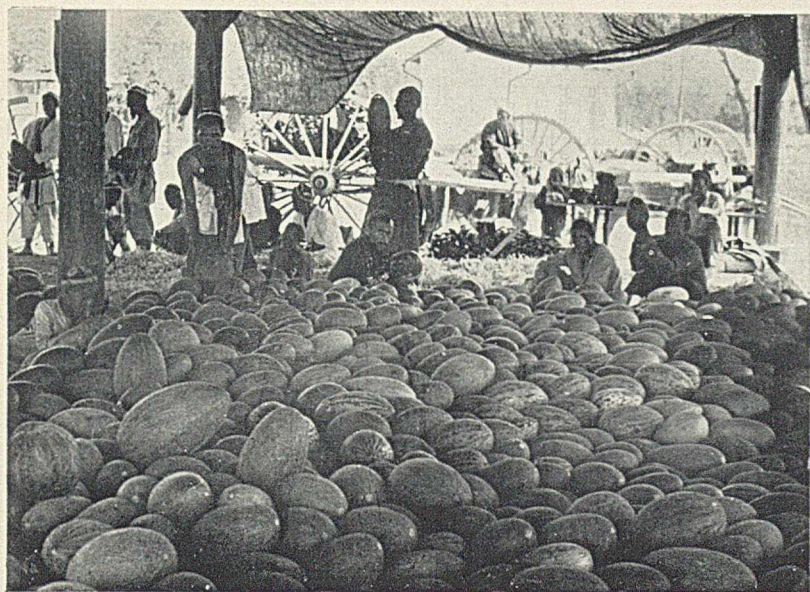
Kwaterę znalazłem u wuja Kanadiego i czułem się tam bardzo dobrze, zwłaszcza że nic mnie to nie kosztowało. Zamierzałem pozostać w Meszedzie kilka dni, ażeby wypocząć nieco po ciężkiej podróży, a następnie przyspieszonym marszem chciałem się udać do Tabrysu i stamtąd do ojczyzny. Nie bronilem się już więcej przed tęsknotą za domem i często myślami bawiłem w jakiejś kawiarni wiedeńskiej przy czarnej kawie i gazetach.

Przez cały dzień włoczyłem się po Meszedzie, odwiedziłem grobowce Alego, Imama Risy i Harun al Raszida, których zwiedzanie zabronione jest niewiernym, w przeciwieństwie do Turkiestanu, gdzie wierni nie przejmują się spotykając Europejczyków w swych meczetach.

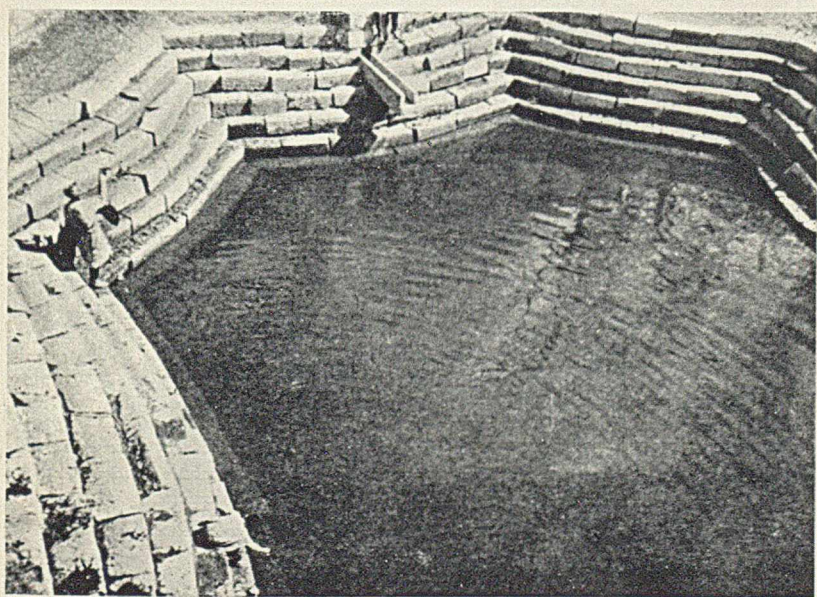
Zobaczyłem znów wspaniałą meczet Guwer-szacha z jego mozaikową kopułą koloru błękitnej wody i licznymi złożonymi fajansami oraz najpiękniejszą budowlę Persji, zbudowany w roku 1602 przez szacha Abbasa meczet przy północno-zachodniej bramie, dumę Meszedu obok „Bestu“, świętej dzielnicy miasta.

Ta święta, dla mułłów i muftich przeznaczona dzielnica miasta, którą tylko podczas specjalnych uroczystości mogą odwiedzać mahometańscy mieszkańcy i pielgrzymi, zamknięta jest ze wszystkich stron łańcuchami. Nawet do dalszego ciągu wielkiej ulicy bazarowej „Chia-ban“, przecinającej „Best“, można dotrzeć tylko nakładając drogi wokoło świętej dzielnicy. Naturalnie i wozy muszą objeżdżać, ponieważ przekraczanie łańcuchów jest surowo wzbronione.

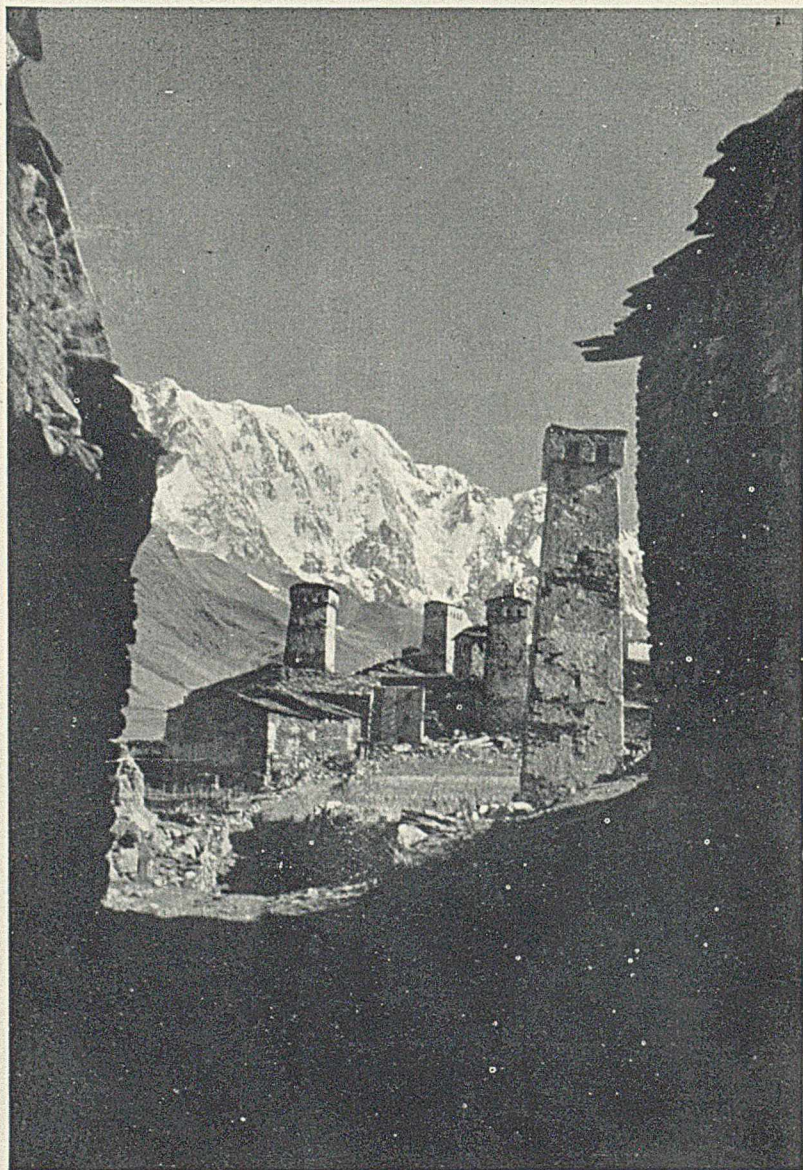
Pewnego dnia Hussein Zade zawiadomił mnie, że byłoby dla mnie lepiej, gdybym wyjechał, ponieważ za kilka



Dynie na targu owocowym w Bucharze.



Gdy nosiwoda napełnia wodą do picia wór barani, inny człowiek myje w tymże stawie ręce.



Ufortyfikowane wioski w Kopet-Dagu podobne są bardzo do kurdyjskich i kaukaskich zamków obronnych.

dni zaczyna się święto *moharremu* i europejscy mieszkańcy przeważnie opuszczają miasto na okres pierwszych dziesięciu dni, aby nie zaplątać się w zatargi, niepożądane zarówno dla władz perskich jak i dla cudzoziemskich przedstawicieli. Przed rokiem zaledwie fanatyczni szyici ukamienowali i dosłownie rozszarpali na równej drodze w kawałki amerykańskiego konsula, majora Roberta Imbrie, zauważywszy, jak fotografował pochód *moharremu*.

Po pierwsze, uroczystość ta nie była już dla mnie czymś nowym, ponieważ widziałem ją w roku 1916 zupełnie z bliska, po drugie, wypocząłem należycie i tęsknota za domem przynaglała mnie do wyjazdu, nie miałem więc w gruncie rzeczy nic przeciwko temu, ażeby opuścić miasto jeszcze przed rozpoczęciem *moharremu*.

Stać się miało jednak inaczej. Przygotowałem się już do drogi i zamówiłem miejsce w autobusie do Teheranu, który kursował od roku. Tymczasem tego dnia, kiedy odchodził kursujący co tydzień wóz, przykuł mnie do łóżka silny atak febry i uniemożliwił wyjazd.

Wprawdzie po sześciu dniach mogłem już wstać, jednakże o odjeździe podczas święta nie można było nawet myśleć i chcąc nie chcąc musiałem doczekać się dziesiątego dnia *moharremu*.

Święto *moharremu* poświęcone jest żałobie z powodu śmierci Husseina i obchodzone jest uroczyście we wszystkich miejscowościach, gdzie znajdują się szyici. Dziesiąty dzień święta najbardziej obfituje w zdarzenia i przynosi najsilniejsze emocje.

Święto to opisałem szczegółowo we wspomnianej wyżej książce mej „Paszoł pliennyj“. To com zobaczył tym razem, było dokładnym powtórzeniem scen z roku 1916.

Po zwykłym okrążeniu pola walki, co tym razem od-

było się nieco spokojniej, na placu zjawilo się około dwustu mężczyzn z ogolonymi gładko głowami, w białych spodniach i długich białych koszulach. W rękach mieli krótkie, dobrze wyostrzone szable.

Ukazanie się ich wprawiło w szal olbrzymią masę ludzką, która zaczęła krzyczeć: „Hussein“. Mężczyźni ustawili się parami z odwróconymi do siebie twarzami i jęli tak tupać bosymi nogami o ziemię w takt podniecającej ich muzyki, że wkrótce otoczyły ich kłęby kurzu. Nagle zaczęto zadawać sobie szablami rany na głowie i ramionach i biała odzież zbroczona została obficie krwią.

Skacząc zabawnie i krzycząc głośno: „O Hussein! O Hussein!“ obchodzili plac dokoła. Ponieważ jeden mógł drugiemu patrzeć w twarz i oglądać zadawane rany, rozpalali się wzajemnie swą krwią i wkrótce krzyk przeszedł w jęczące rżenie, a na ziemi potworzyły się kałuże krwi, których słodkawa woń, połączona z panującym żarem, przyprawiła mnie o takie mdłości, że dostał torsji.

Na szczęście znajdowałem się na dachu seraju należącego do pewnego Anglika i byłem tak dobrze zasłonięty, że fanatyczny tłum nie mógł mnie widzieć.

Wielu krwawiących mężczyzn bez sił zważyło się już na ziemię, a skaczący obok w swym dziwnym pochodzie fanatycy uderzali ich jeszcze szablami, aż wreszcie przez wyjący tłum przedarło się kilku policjantów, którzy podnieśli i uprowadzili nieprzytomnych. Inny oddział policjantów zaryzykował wyparcie z miejsca walki największej krwawiących i bliskich utraty przytomności mężczyzn, żeby uratować ich przed całkowitym rozszarpaniem.

Religijny ten fanatyzm wydaje się czymś wstrętnym, atoli dla szyitów jest najdoskonalszą świętością i przedmiotem najwyższego podziwu. Mężczyźni rozszarpujący się w ten sposób zdobywają sobie prawo wstąpienia po śmierci prosto do raju, chociażby nawet w dalszym swym

życiu mieli jeszcze bardzo wiele grzeszyć. Nawet widzom, wbrew Koranowi, przebaczone zostają winy.

Po wyprowadzeniu mężczyzn, którzy sami rozszarpywałyby sobie ciało, zbliżyła się nowa grupa ludzi z obnażonymi tułowiami. I ci również zaczęli krzyczeć „Hussein“ i walić się pięściami w piersi, aż dudniło. Niebawem też tułowia tych mężczyzn poczerwieniały i nabrzmiały. Wtedy zaczęli jakiś taniec bez związku, przy czym ciągle trykali głowami, aż wreszcie na ustach ukazała się im piana i jeden po drugim zaczęli padać na ziemię, tarzając się w kurzu przesiąkniętym krwią swych poprzedników. Następnie przeniesiono przez plac wielki baldachim wyobrażający relikwie Alego i na tym skończyła się uroczystość.

Nie dla mnie jednakże, przez kilka dni bowiem nie mogłem pozbyć się zapachu krwi i widoku ran, a przecież, na Boga! mam mocne nerwy.

NA PÓŁNOCNO-PERSKICH DROGACH
KARAWANOWYCH

Nic więc już nie stało na przeszkodzie memu wyjazdowi. Przez Niszapur, Sengi, Safranlu, Sebzewar, Meer, Mesinan (gdzie niegdyś przechodzące wojska angielskie napędziły mi tyle strachu), Abbassabad, Maian-deszt i Maiamai skrzypiące pudło dotarło do miasta Szahrudu, gdzie musiałem zaczekać na połączenie.

Podobnie jednakowe i jednostajne, jak perskie miasta i miejscowości, przez które przejeżdżałem wtedy, były również i postoje w serajach tych miejscowości, gdzie nocowaliśmy. W południe rozpalano ognisko w jakiejś herbaciarni lub gdzieś w stepie, czy też w górach tuż koło drogi i przygotowywano prymitywne jadło. Byłem szczęśliwy i zadowolony, kiedy północne wiatry przynosiły nieco świeżości z gór Diagataju, które biegły z prawej strony ciągnącej się na przestrzeni 600 kilometrów drogi z Niszapuru do Szahrudu.

Gdy jednak z południa i wielkiego Kewiru (słonej pustyni) szły wiatry niosące stale mialki piasek i słony pył, kłamałem wtedy jak parobek i nie mogłem się już doczekać końca podróży.

Gdyśmy wieczorem przybywali do jakiegoś seraju, przede wszystkim zmywałem ze siebie grubą skorupę piasku i potu, wypijałem kilka filiżanek herbaty i zmęczony śmiertelnie wkrótce potem zasypiałem tak mocno, że dopiero rankiem budziły mnie ukąszenia wszy oraz drapiący szmer skorpionów i pajaków.

Gdzie się więc dało, wołałem spać na otwartym powietrzu.

Z Szahrudu droga prowadziła przez Demulę, Damgan, Daulatabad i Gusze do Semnanu, gdzie i ja, i moi towarzysze podróży musieliśmy się zatrzymać przez trzy dni wskutek złamania osi tuż niemal przed tą miejscowością. Nową oś sprowadzono z Teheranu i po zastąpieniu nią starej ruszyliśmy dalej.

Semnan jest jednym z największych węzłowych punktów karawanowych Persji, ponieważ stąd rozpoczyna się jedyna droga karawanowa, prowadząca przez zachodni Kewir.

O mały włos nie zacząłem tutaj nowej podróży.

Szatan, pan wszelkich przygód i niebezpieczeństw, podstępnie walczył ze swoją przeciwniczką, tęsknotą za domem.

— Patrz — zachęcał — Kewiru nie zobaczysz już nigdy w życiu, korzystaj zatem ze sposobności. Cóż właściwie znaczą kilka tygodni mniej lub więcej?

— Nie — zaprotestowała tęsknota — nie pojedziesz do Kewiru. Od lat już opanował cię szatan przygód i pędzony jego wolą wędrujesz przez góry i pustynie. Czas więc narzeczcie powrócić.

— Tra-la-la-la — zaśmiał się złośliwie szatan — iluż to Europejczyków przebyło dotychczas słoną pustynię? Czy nie zechcesz być jednym z tych niewielu, którzy ją szczęśliwie przemierzyli?

— Nie słuchaj go — kwiliła tęsknota za ojczyzną. — W Kewirze zginęły już tysiące. Czy chcesz być jednym z wielu nieszczęśliwców? I pomyśl tylko o lasach i górach Austrii, czy tam nie piękniej niż w przeklętej i skazanej na żar słońca słonej pustyni?

Ponieważ właśnie w tej chwili strasznie mi się chciało pić i oddałbym całą posiadaną gotówkę za łyk zimnej górskiej wody zdrojowej, przeto szatan przygód przegrał walkę i ruszywszy do Teheranu zadowolilem się spojrze-

niem na północny kraniec Kewiru, gdy autobus wspiał się po stromej drodze do Firuskuh a przed mymi oczyma hen w dole rozlała się olbrzymia pochyłość słonej pustyni.

Zaraz potem samochód wjechał w wąwóz i pustynia zniknęła z pola mego widzenia.

Żegnaj, Kewirze! Nie sążone mi było zobaczyć cię. Kto wie, czy to było dobrze!

Po wyjechaniu z wąwozu otworzył się przed nami widok na północ. Leżał tam jak na dłoni starożytny, podobny do fortecy grobowiec świętego. Po nim ukazała się najwyższa góra Persji, Demawend, w bieli swych wiecznych lodowych i śnieżnych pól. Tępy jej wierzchołek krateru piętrzył się ku niebu na wysokość 5.670 metrów i zdawał się z nim zlewać w jedno.

Wkrótce potem przejechaliśmy przez miasto Demawend i aż do Teheranu góra ta raz po raz wyglądała z wąwozów i dolin; dopiero pod wieczór nałożyła czapę z mgieł i wskutek tego zniknęła z oczu.

Teheranie! Jakże się zmieniłeś od czasu, gdym cię widział po raz ostatni!

W Persji dokonały się gwałtowne przemiany. Dnia 12 grudnia 1924 roku wielki wezyr i dyktator wbrew parlamentowi zrzucił z tronu ostatniego *Kadszara*, kładąc w ten sposób kres panującej od 131 lat dynastii. Sam zaś przybrawszy tytuł szacha Reza Pahlewiego, kazał parlamentowi nadać sobie dziedziczną godność królewską i na wzór swych niezbyt sławnych poprzedników mianował się szach-i-szachem, królem królów.

Zaledwie dziewięć miesięcy upłynęło od wstąpienia jego na tron a niespełna cztery lata od marszu na Teheran, a już siła jego osobowości, uczciwa jego wola i niemal trudna do zrozumienia w Persji energia stworzyły w tym krótkim czasie prawdziwe cuda. Z bezlitosną surowością ukrocił rozboje, korupcję urzędników oraz skłon-

ność naśladowania cudzoziemców i usunął niehigieniczne brudy w miasteczkach.

Persja zawdzięcza nowemu szachowi zarówno bezpieczeństwo wielkich dróg karawanowych jak i istnienie kursujących po tych drogach autobusów. Rozbójniczym bandom Szachsewennów i Kurdów zagroził zniszczeniem, a przekupni urzędnicy — a było ich niemało — postawieni zostali w stan oskarżenia, pozbawieni stanowisk i straceni, czym nowy szach zdobył sobie bezwzględne zaufanie zachowującej się początkowo z rezerwą ludności.

W ciągu ostatnich dziesięciu lat Reza-szach postawił i armię na takiej stopie, że potrafiłaby bezpieczną kiedyś przechadzkę dla zdobycia tego kraju zamienić w katastrofę dzisiejszego napastnika.

Dzięki świetnie wyszkolonej armii oraz będącej do jej rozporządzenia drodze żelaznej od Morza Kaspijskiego do Zatoki Perskiej, w większej części gotowej, tudzież doskonałej sieci dróg Persja z roku 1936 jest dobrze przygotowana i nie nadaje się już do podziału bez walki pomiędzy Rosją i Anglią.

Dawna rywalizacja Anglii i Rosji, spotęgowana jeszcze walką o perskie źródła naftowe, wcześniej czy później musiałaby doprowadzić do podziału Persji.

Podczas wojny światowej niebezpieczeństwo to stało się aż nadto wyraźne. Jednakże w krytycznej chwili dla kraju zjawiał się czynnik, który w następstwie miał zabezpieczyć Persji wolność. Niemieccy, austriaccy i węgierscy żołnierze, którzy uciekli z obozów jeńców wojennych w Turkiestanie i z których około trzystu ludzi dotarło do Persji, stworzyli pod kierownictwem niemieckiego attaché wojskowego, hrabiego Kanitza, oraz konsula Schüнемanna kadrę armii, do której przyłączyli się wszyscy żyjący w Persji Niemcy, Austriacy, Węgrzy i Turcy. Do małej armii wstąpiło również wielu szwedzkich oficerów ze

swymi perskimi żandarmami. A kiedy armia ta odniosła w zachodniej Persji kilka zwycięstw nad Anglikami i Rosjanami, napłynęło do niej wielu awanturników i patriotów perskich.

Stan załogi oraz powodzenie armii osiągnęły najwyższy punkt po ogłoszeniu świętej wojny przez Kanitza.

Chociaż armia ta skurczyła się mocno wskutek chorób i poniesionych ofiar wojennych a wreszcie z powodu nieudolności dowództwa zmuszona była wycofać się przez Bagdad do Turcji, rozwiała jednak legendę o wszechmocności Rosji i Anglii w Persji. Wszędzie tworzyły się teraz ochotnicze oddziały bojowe, które w wojnie partyzanckiej przyprawiły armie okupacyjne o ciężkie straty, co skłoniło oba rządy do poniesienia planu podziału Persji.

Po skończeniu wojny światowej zaczęły się znów dyplomatyczne walki o Persję. Sowieciom bardzo było nie na rękę okupować wielkimi siłami stale zrewoltowany teren. Tym bardziej że w samym Turkiestanie musiały uśmierzać jedno powstanie po drugim, znajdowały się więc bez przerwy pomiędzy dwoma ogniami.

Wobec tego uczyniły szlachetny gest, wycofały swe oddziały okupacyjne i podarowały Persji zbudowane drogi oraz 85 kilometrów toru kolejowego z Dżulfy do Tebrysu.

Tak czy owak, Rosjanie potrafili znów potem wywierać swe wpływy, zwłaszcza gdy Reza-szach utrzymywał z Sowieciami dobre stosunki i Persja jako jedna z pierwszych państw uznała Rosję Sowiecką.

Niebezpieczeństwo zbolszewizowania Persji było bardzo wielkie. Ale nowy szach w wieloletnich krwawych walkach przeciwko buntującym się prowincjom dowiódł, że celem jego nie był komunizm, lecz zjednoczenie Persji.

Gdy ostatniego jego przeciwnika, Kuczuk-chana, jako uciekiniera, spotkał w lasach tragiczny koniec, Reza-szach stał się bezspornym i niezależnym władcą całej Persji.

Adiutanta Kuczuk-chana, Russmanna, spotkałem na pewnym bazarze w Teheranie jako krawca.

Otóż Russmann dostał się do niewoli rosyjskiej jako wachmistrz austriackiej kawalerii, wysłany został do obozu jeńców w Aschabadzie i uciekł do Buchary, gdzie dosłużył się rangi generała kawalerii.

Opowiadają, że co tydzień był degradowany i tyleż razy otrzymywał znów rangę generała. Russmann miał się w końcu tygodnia (czwartek jest mahometańską sobotą) tak upijać, że emir co piątek pozbawiał go rangi, aby w poniedziałek znów powracać do tejże rangi i godności, ponieważ nie było nikogo, kto mógłby dowodzić tymi oddziałami armii. Russmann bowiem wskutek niezajomości perskiego języka (język przyjęty w armii bucharskiej) w oddziałach kawalerii, utworzonej z młodych rekrutów, wprowadził komendę w języku niemieckim, którego oprócz niego nikt nie rozumiał.

Z Buchary Russmann udał się do Persji, wstąpił do bandy Kuczuk-chana i jako jego pełnomocnik zjawił się w Baku. Sowiety dały mu do rozporządzenia okręt z armatami, karabinami i amunicją. Russmann skierował ten okręt do Enzeli i przekazał go Kuczuk-chanowi, który dzięki temu rozpoczął walkę z Rezą Pahlewim.

Gdy armia Kuczuka została pobita, Russmann zmęczony awanturniczym życiem przypomniał sobie, że niegdyś w Lincu nauczył się krawiectwa, i szyje teraz dla teherańskiej kawalerii europejskie mundury.

Przypadkowo dowiedziałem się o jego obecności w mieście, a słyszałem już przed kilkoma laty wiele legend o nim. Były generał kawalerii komunistycznej, komendant pancernika i obecny mistrz krawiecki przyjął mnie z bolesnym uśmiechem, gdym zagadnął go po niemiecku. Zwyczajem tubylców siedział w kuczki na ziemi w swej małej pracowni i pilnie obracał ręczne kółko maszyny do szycia.

— No cóż się z panem dzieje, panie Russmann, czy nie chce pan wrócić do Austrii?

Nie! Pan Russmann nie chciał. Prawie zapomniał niemieckiego języka. Z całego jego zachowania zrozumiałem, że był już bardziej Azjatą niż zachodnim Europejczykiem. Dziesięć lat awanturnicznych przygód wśród Bucharów i Persów odmieniły go kompletnie. Od dawna już przeszedł na mahometanizm i ożenił się z Afganką. Długo musiałem go przekonywać, zanim zdecydował się opowiedzieć mi to i owo z kariery swego awanturniczego życia. Ale kiedy raz otwarły się śluzы, byłem po prostu zdumiony, chociaż i sam przecież przeżyłem nie jedną przygodę. Przeżycia Russmanna mogłyby wypełnić całą bibliotekę. Oczywiście, wierzyłem mu tylko w dziesiątej części, dopóki nie dowiedziałem się od perskich oficerów, z którymi zgadało się o Russmannie, o wiele więcej jeszcze. Nie ma zapewne Europejczyka, który by tak dokładnie poznał Bucharę i Persję, jak ten mały krawiec na Murremda Chanie 71 w Teheranie.

Nowy szach, który podczas mego pobytu w Teheranie liczył 58 lat, poczynił już pierwsze kroki do przebudowania stolicy i zbudował również lotnisko.

Po przytłaczającym wrażeniu, jakie wywołuje monumentalna Brama Szimra ze swymi freskami i fajansami, oraz Brama Kaswina z błyszczącą mozaiką i czterema wieżyczkami, tudzież meczet Kadżarów — widz oczekuje po prostu czegoś oszałamiającego, oglądając światowej sławy pałace królów perskich — Szamsol-Amare.

Wysoko wznosi się ponad dachami Teheranu pięcioletni budynek i widz czeka, że poza podwójnymi wieżami bramy wejściowej, obłożonymi niebiesko-zielonymi fajansami, ujrzy wszystkie cuda Wschodu.

Ale rozczarowanie nie daje na siebie długo czekać. Przede wszystkim pragnie się zobaczyć rzecz najpiękniej-

szą z najpiękniejszych, słynny pawi tron i potężny tron marmurowy.

Pawi tron, który składał się tylko ze złota i drogocennych kamieni i kiedyś został przez Nadir-szacha zrabowany w Delhi, dawno już pozbawiony jest swych szlachetnych kamieni, które zastąpiono szklaną imitacją. Część prawdziwych kamieni sprzedali ostatni Kadżarowie do Moskwy i Paryża, częściowo zaś zużyli na pokrycie pożyczek w Londynie. Nawet najmniejszy ułamek diamentu w najbardziej ukrytej szparce jest tylko zwykłym kawałkiem szyby. Nie dające się naprawdę ocenić skarby przepadły bezpowrotnie i tylko złoto zdaje się być prawdziwe.

Nie inaczej ma się rzecz z tronem marmurowym. We wnęce nie mającej przedniej ściany stoi ten wielki czterometrowej wysokości potwór. Jeżeli chce się go obejrzeć z bliska, trzeba obejść wokoło wielki basen, w którym pluszczą wodotryski, i wejść po kilku stopniach obok kolumn. Właściwy tron spoczywa na płycie podtrzymywanej przez marmurowe figury, stojące w wielkiej niszy, wyłożonej wstrętnymi matowymi zwierciadłami. Lustrzany sufit całej sali jest również poważnie zniszczony. W „Centrum Wszechświata“, jak Kadżarowie nazywali Teheran, można byłoby doprawdy spodziewać się sztuki bardziej wschodniej, na przykład tego, co spotyka się na każdym kroku w Isfahanie.

Niczym się nie wyróżniają również i inne komnaty pałacu, które jednakże mają być na specjalny rozkaz nowego szacha z gruntu przebudowane.

Sala, w której znajdują się portrety wielu władców europejskich, między innymi Mikołaja II, Franciszka Józefa I, Wilhelma II itp., przypomina swoją krzykliwością bazar do wyprzedaży resztek. Schody prowadzące do komnat pałacowych wyglądają jak kram z tandetą na

rynku wiedeńskim. Na szerokiej poręczy stoją złożone figury gipsowe, srebrne i złote kule szklane, jakie oszpecają ogródki małowasteczkowe, a wśród nich tu i ówdzie widać prawdziwe wazy chińskie i starojapońskie. Za wielką lampą naftową z niemożliwym abażurem stoi wspiana szkatułka z najpiękniejszego alabastru, na której wieczku jakiś Anglik uwiecznił swój podpis atramentowym ołówkiem.

Wszystkie te skarby zebrali i złożyli tutaj bez ładu i składu szachowie Musaffer-Eddin, Muhammed-Ali, Ahmed, ostatni szach Kadzarów, oraz syn jego Weliadh (następca tronu). Łazienka przeznaczona dla ostatniego następcy tronu oklejona była od góry do dołu nędznymi oleodrukami, przedstawiającymi akty kobiece.

Z rozkazu Reza Pahlewiego usunięto już wiele tego bałaganu, w niedługim czasie zaś cały pałac ma być oczyszczony z tandety. Pozostanie tylko w swej pierwotnej formie sala z pawim tronem, na którym włożono na głowę nowego szacha koronę Persji.

Zwiedzający odetchnie pełną piersią, jak po zrzuceniu z siebie ciężkiego kamienia, gdy wejdzie do wspaniałego ogrodu pałacowego. Służba szepce nieśmiało, że usunięto już stąd „przedmioty sztuki“ wszelkiego rodzaju. Dawniej w całym parku były jelenie z żelaznej blachy, niemożliwe grotty oraz mnóstwo wszelkiej innej tandety. Istotnie, wielkie odwieczne drzewa oraz liczne stawy, połączone ze sobą w pomysłowy sposób kanałami, nie potrzebują innych upiększeń jak barwne kwietniki oraz liczne wodotryski, pomiędzy którymi wiją się wąskie ścieżki.

Trzeba tu również obejrzeć słynny „Maidan-i-Sipeh“, czyli Plac Armatni. Po jednej stronie wysokiego muru kamiennego, otaczającego pałac i ministerstwo, na olbrzymim placu stały jeszcze kilka miesięcy temu długim rzędem armaty. Miało to trojakie znaczenie. Przede wszyst-

kim były one zbiorem wszelkiego rodzaju dział ze wszystkich epok rozkwitu i upadku Persji, następnie miały unaocznić potęgę władców i oznajmiać niezadowolonym: „Patrzcie, jacy mocni są królowie Persji!“ I wreszcie za pomocą armat aż do chwili objęcia władzy przez Rezę-szacha publicznie tracono tutaj przestępców politycznych. Aż do roku 1921 na placu grzmiały armaty i każdy strzał kosztował życie jednego Persa.

Reza-szach kazał usunąć działa jako symbole postrachu i na żądanie jego przekopano nawet całą przesiąkniętą krwią ziemię, żeby żaden Pers nie deptał krwi swego brata. Tam gdzie niegdyś stały armaty przeznaczone do tracenia, wznosi się dzisiaj słup z afiszami kin i nocnych lokali rozrywkowych. W odległości kilku kroków od niego stoi na okrągłym cokole pod parasolką policjant z wydziału ruchu. Pozostała część placu Maidan-i-Sipeh zamieniona została na park z cieplarnią, a przed żelaznym jego ogrodzeniem stoją autobusy, które odchodzą stąd we wszystkich kierunkach państwa. Dwupiętrowej wysokości mur, w którym mieści się mnóstwo kramów bazarowych, w godny sposób zamyka cały ten plac.

Unoszą się tumany kurzu, trzeszczą belki i wałają się stare mury. Znajdujące się wokół Placu Armatniego herbaciarnie i kawiarnie zostają zburzone, ażeby zrobić miejsce dla szerokich ulic, po których już za kilka miesięcy będą kursowały tramwaje elektryczne. Dotychczas wzdłuż i w poprzek stolicy, liczącej 300.000 mieszkańców, dzwonił tramwaj konny, sunąc powoli i majestatycznie. Pośpiech według przysłowia perskiego pochodzi od diabła. Wszędzie ustawiają wysokie słupy, na których zawieszają druty telefoniczne, telegraficzne oraz światła elektrycznego, przeprowadzanego do najodleglejszych zakątków wielkiego miasta. Dotychczas były oświetlone elektrycznością tylko ulice śródmieścia i już o parę kroków za Placem Armat-

nim paliły się w brudnych latarniach lampy naftowe. Rowy z wodą, od niepamiętnych czasów przecinające miasto, podobnie jak we wszystkich miastach Wschodu, uważane za rozsadniki chorób przez Europejczyków i omijane przez nich z lękiem, lubiane natomiast przez tubylców, znikną również i ustąpią miejsca nowoczesnej kanalizacji.

My, Europejczycy, dla których pod ziemią płynące ścieki, wodociągi, gaz, elektryczne światło i W. C. są czymś najzupełniej zrozumiałym, mamy tylko słabe wyobrażenie o tym, ile trzeba odwagi i wytrwałości, aby narzucić zacofanemu narodowi wszystkie te urządzenia. Ręka w rękę ze zwalczaniem perskiej indolencji postępuje budowa szkół. Prawo szkolne nowego szacha wprowadza obowiązkową naukę w szkole dla miast mających ponad 20.000 mieszkańców, z których niewiele miało dotychczas jakiś zakład naukowy. Średnie i wyższe szkoły, w których wykładane są nauki ścisłe, wypierają medresy, do których nadal mogą uczęszczać tylko przyszli duchowni. Reszta natomiast musi czytać i pisać i uczyć się historii Persji w szkołach normalnych, ponieważ szach chce znów uczynić kraj kulturalny z tej Persji, o której w ciągu ostatniego stulecia mówiono: „Persja jest krajem o starej kulturze“. Kulturę straciła, ale zachowała zgrzybiałość.

Wypocząłem należycie. Na Placu Armatnim wsiadłem do autobusu udającego się do Tabrysu. Przestrzeń pomiędzy Teheranem a Mianeh przebywa się teraz w ciągu jednego dnia. Następnego dnia samochód jedzie dalej i o około godziny drugiej po południu przyjeżdża się do Tabrysu.

W Kazwinie policja wojskowa zażądała, aby kierowca autobusu zawrócił z dobrej drogi, która prowadzi przez Sultaneh i Kekben, i jechał dalej o wiele gorszą drogą

przez Mendil do Kebach, ponieważ pomiędzy Kekbenem a Mianeh grasują większe bandy powstańców.

Gdyśmy wyjechali z Kazwinu, dopędził nas ciężarowy samochód, na którym znajdowało się dwudziestu żołnierzy oraz wmontowany był karabin maszynowy. Żołnierzom polecono doprowadzić nas pomyślnie do Mianeh. Jechaliśmy teraz doliną Kizil-Uzen. Droga była kiepska, a mosty na niej na w pół rozwalone. Musieliśmy często na stromiznach wychodzić z samochodu i pomagać przepychać go przez przeszkody. Ilekroć zatrzymaliśmy się, zawsze przystawał i samochód z żołnierzami, którzy wyskakiwali i rozsypywali się wokoło. Nie wiadomo było, czy leżące na drodze złomy skalne nie były tylko zasadzką. Ale nic się nie stało, nie padł ani jeden strzał i ani jeden Szachsewenne nie zrobił przyjemności żołnierzom i nie zjawił się w zasięgu strzału ich karabinu maszynowego.

Niedawny okres deszczów naniósł na drogę olbrzymie ilości odłamków oraz złomów skalnych z gór. Ale oficer towarzyszącego nam oddziału żołnierzy przysięgał, że jest to sprawa powstańców.

Bez żadnych przeszkód dojechaliśmy do Kebach.

Z Kebach wyjechał z nami drugi autobus z żołnierzami i reflektorem, który przenikliwym snopem promieni oświetlał przed nami drogę i otaczające ściany skalne na kilkaset metrów. Reza-szach dba o bezpieczeństwo podróżnych na perskich drogach publicznych.

Zbliżała się już północ, gdyśmy wjechali do Mianeh przez bramę Ardebiler.

Następnego ranka nie wiadomo jeszcze było, czy autobus do Tabrysu pojedzie dalej, czy nie, zaczynała się bowiem teraz właściwa okolica stale czuwających i niespokojnych Szachsewennów. Jako ostatni koczownicy we wschodniej Persji potrafili dotychczas zachować niezależność. Plemię to liczy około siedemdziesięciu tysięcy

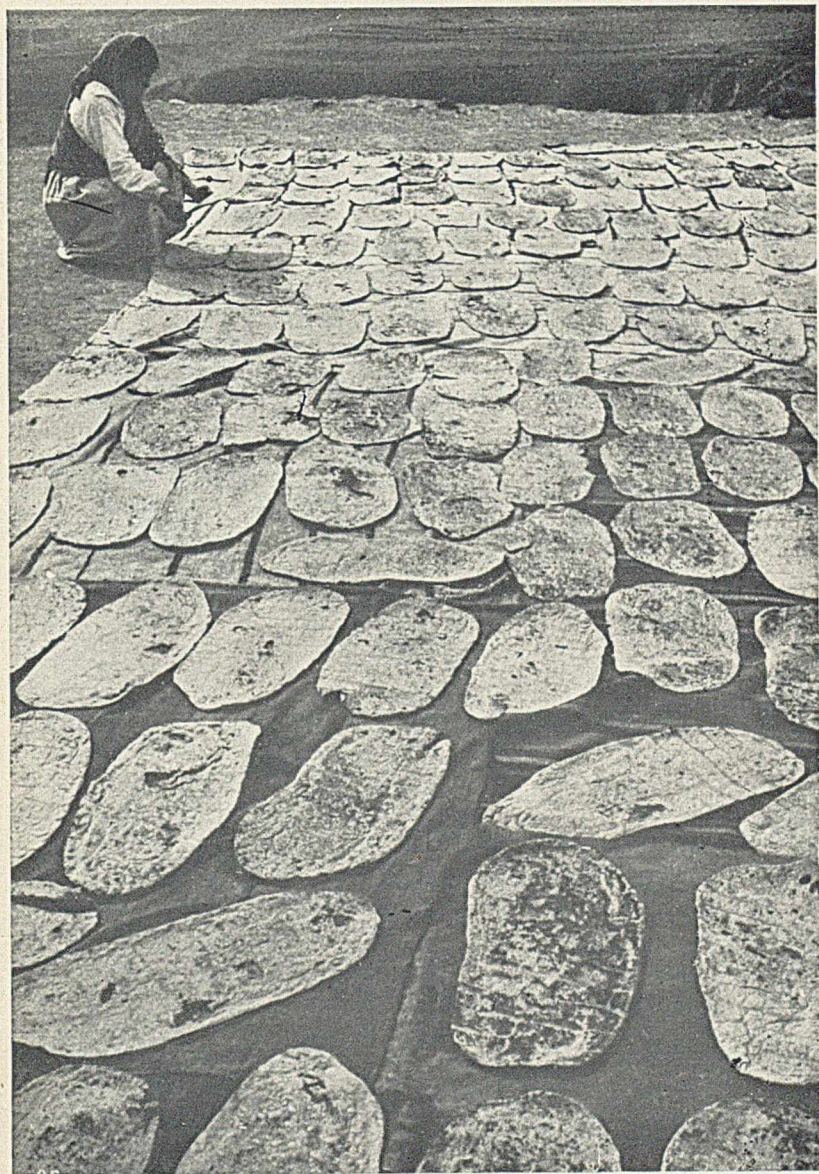
zdolnych do służby wojskowej, doskonałych jeźdźców, którzy zamieszkują niedostępne góry perskiego Azerbejdżanu, niby w fortecach nie do zdobycia, i dotychczas z powodzeniem opierali się wszelkiemu ujarzmieniu. Oczywiście, przed panowaniem Rezy Pahlewiego próby unieszkodliwienia ich nie były zbyt poważne, ponieważ znajdowali się stale na stopie wojennej z również stale buntującymi się Kurdami i wobec tego ułatwiali rządowi ich uśmierzanie. Poza tym stanowili potężną ochronę graniczną przeciwko Rosji jako też Turcji.

A ponieważ oba te państwa na terytorium pogranicznym pomiędzy Jeziorem Urmia i Morzem Kaspijskim miały swe własne interesy, każde z nich starało się wygrać Szachsewennów przeciwko drugiemu i przeciwko Persji. Szachsewennom podobała się ta polityczna gra intryg i przyjmowali pieniądze oraz broń zarówno od Rosjan jak i od Turków, robiąc następnie to, co im się podobało, i nie zwracając wiele uwagi na projekty i zamiary finansujących je państw.

Kiedy jednakże okazało się w ostatnich latach, że drogi nie są absolutnie bezpieczne, ponieważ Szachsewennowie nie dotrzymują swych przyrzeczeń w tej sprawie, nowy szach wysłał przeciwko nim najlepsze swe wojska, którym udało się rozbroić liczne plemiona i przywódców ich stracić.

Nastąpił znów wieczór i poczmistrz nie wiedział jeszcze nic o odjeździe. Pod Hadzi-Aga miał się toczyć poważny bój, gdy druga droga, prowadząca naokoło Jeziora Urmia do Tabrysu, miała być kompletnie zajęta przez Szachsewennów, którzy walczyli tam z pospolitym ruszeniem Kurdów.

Kurdowie bardzo chętnie usłuchali szacha, wzywającego ich do rozprawienia się na legalnej poniekąd drodze



„Lawasz“ chleb kurdyjski suszy się na słońcu.



Piękność Kurdyjska.

ze swym dawnym wrogiem, toteż wschodnie terytorium przedstawiało jedno pole bitwy.

Przez Mianeh przeciągały wojska i oddziały żandarmerii, albo rozkładały się tutaj obozem. Wkrótce też cała miejscina wypełniła się uzbrojonymi ludźmi, co w ciągu kilku dni wywołało dziesięciokrotny wzrost cen produktów żywnościowych. Niewiele jest miast w Persji, których nie znałbym, ale czegoś podobnie beznadziejnego i nędznego jak Mianeh doprawdy nie spotka się w całej Persji, bynajmniej nie zbałamuconej pod tym względem. Toteż ze zrozumiałą niecierpliwością oczekiwałem rychłego wyjazdu.

Kiedy jednak wyjazd stawał się coraz bardziej problematyczny, zamierzałem całkiem serio kupić sobie konia i jechać dalej z jakimkolwiek oddziałem wojsk, udającym się w tym kierunku. Po pięciu dniach wreszcie dowiedziałem się, że następnego dnia odejdzie kilka autobusów z wojskowym oddziałem samochodów ciężarowych.

Przed nami jechało jakieś trzydzieści wozów z żołnierzami oraz kilka polowych armat, następnie szły cztery autobusy z cywilami i za nami znów kilkadziesiąt aut ciężarowych z żołnierzami, osłonę zaś stanowił pułk konnych kozaków perskich.

Kiedy na chwilę rozwiął się tuman kurzu otaczający samochody i jeźdźców, ujrzałem błyszczące w dali śnieżne połoniny Sahendu, rozpoznawszy znak Tebrysu.

Pod Hadzi-Aga musiała naprawdę odbyć się tęga bitwa. Wzdłuż drogi poniewierały się trupy koni, leżeli zabici Szachsewennowie i żołnierze, oraz pełno było broni i ekwipunku wszelkiego rodzaju; sama zaś miejscowość była zburzona i spalona do cna. Nie zdołano jeszcze tego uprzętnąć, gdyż wojsko ścigało uciekających do Serabu Szachsewennów, aby ich wpędzić w ręce kozaków, którzy dądzali od strony Ardebilu.

Podobnie jak we wschodniej Persji, dla obrony przed rozbójniczymi bandami Turkmenów wszystkie wioski Szachsewennów i Kurdów posiadają wysokie i mocne wieże obronne, na których wszędzie stali uzbrojeni żołnierze, ażeby móc odeprzeć napadających. Na wyżynach górskich ustawiono karabiny maszynowe i działa, co dowodziło, że wojska mimo odniesionego zwycięstwa nie czuły się bezpieczne, z każdej bowiem rozpadliny górskiej mógł się wyłonić oddział powstańców.

W Turkmanczai obozowały oddziały wszelkich broni wracające z bitwy pod Adji-Czai. Znajdowało się tu wielu jeńców Szachsewennów, którzy mając związane ręce i nogi porzuceni byli na ziemi, niby bele towarów. Kiedym na to nieludzkie postępowanie zwrócił uwagę mówiącego po niemiecku oficera, wzruszył tylko ramionami i zapewnił mnie, że z żołnierzy, którzy wpadają w ręce Szachsewennów, nie zostaje żaden przy życiu, ponieważ zamęczają ich na śmierć. Zaproponował mi przy tym, abym obejrzał kilku żołnierzy, których powstańcy pozostawili tutaj. Ujrzałem potwornie zniekształcone masy mięsa. Dla tych nieszczęśliwców śmierć doprawdy musiała być wybawieniem.

W dalszej drodze pod Szibli słyszeliśmy mocny ogień karabinowy oraz pojedyncze strzały armatnie. Wkrótce z kotliny ujrzeliśmy przełęcz górską, o którą toczył się bój. Żołnierzy perskich w ich ciemnych uniformach widać było wyraźnie pomiędzy szarymi odłamami skał, natomiast przeciwnicy ich byli niewidoczni. O stanowisku ich mówiły tylko liczne wykwitające i niknące znów na przełęczy obłoki dymu. Jakaś niewidoczna dla nas perska bateria ziała bez przerwy ogniem, nie wyrządzając Szachsewennom widocznych szkód, ponieważ ich ogień raczej wzmagął się niż słabł. Zatrzymaliśmy się na chwilę, aby obserwować niecodzienną grę wojenną. Ale i Szachse-

wennowie spostrzegli nas najwidoczniej, ponieważ niebawem usłyszałem tuż obok znane mi dobrze bzyknięcie i plusk, po czym w powietrzu z sykiem przeleciały odłamki kamienia strzaskanego kulą, która trafiła tuż obok autobusu. Szofer dodał gazu i pośpiesznie wyjechał z zasięgu śmierci.

Jadąc przez różne wioski Kurdów, których mieszkańcy oddawali się swym codziennym zajęciom, dotarliśmy wreszcie do Tebrysu.

W Tebrysie panował kompletny spokój. Szachsewnowie nie wazyli się napaść na silny garnizon i oprócz rannych nic nie wskazywało na toczące się nie opodal miasta boje. Tutaj w Tebrysie czułem się już w domu. Uliczki i place, meczety i herbaciarnie były dla mnie starymi, miłymi znajomymi.

Przez warzywne ogrody udałem się piechotą do Lila wy, dzielnicy europejskiej, gdzie mieszkał, miał swe składy i biura Abolgassen Kanadi, chociaż był urodzonym Persem. Wtedy w Barferuszu pożegnałem się z nim na miesiąc i po szesnastu miesiącach marnotrawny syn wracał nareszcie do domu. W południe zawitałem do *chanu* (zajazdu) Kanadiego, wszedłem po stromych drewnianych schodach i ostrożnie zajrzałem przez otwarte drzwi do wnętrza. Mój wysoki szef siedział za swym biurkiem i wpiisywał do księgi cyfry. Wtedy otwór w drzwiach pociemniał i Kanadi podniósł wzrok.

— Salem Aka Kanadi! — zawołałem i usłyszałem naraz głośny huk.

To Kanadi ze zdumienia spadł z krzesła.



BIBLIOTEKA
Państwowego Liceum Pedagogicznego
w GŁIWICACH
Nr _____

SPIS RZECZY

	Str
Rozdział pierwszy:	
Wycieczka do kąpieliska morskiego oraz jej skutki	1
Rozdział drugi:	
W gościnie u Jomud-Turkmenów	16
Rozdział trzeci:	
Droga do zamkniętego kraju	25
Rozdział czwarty:	
Przez pustynię Kara-Kum do Samarkandy	33
Rozdział piąty:	
W jaskini lwa	42
Rozdział szósty:	
Tak zginął Enwer-pasza	53
Rozdział siódmy:	
Zaaresztowany	70
Rozdział ósmy:	
Przez Dengiz-Bej do Buchary	76
Rozdział dziewiąty:	
Przez dolinę Ałaju na Pamir	104
Rozdział dziesiąty:	
Na Dachy Świata	115
Rozdział jedenasty:	
Przez Uzbekistan	138
Rozdział dwunasty	
Szlachetne miasto Buchara	166
Rozdział trzynasty:	
W okręgu Amu-Darii	185
Rozdział czternasty:	
Jak się wydostać z Buchary?	195
Rozdział piętnasty:	
Na północno-perskich drogach karawanowych	212





BIBLIOTEKA WIEDZY

- 1 CLARENCE AUGUST CHANT
CUDA WSZECHŚWIATA
łatwy wstęp do poznania nieba, z 132 ilustr.
wydanie drugie str. 193
- 2 LASSAR-COHN
**CHEMIA W ŻYCIU
C O D Z I E N N Y M**
z 28 rysunkami str. 292
- 3 SIR JAMES JEANS
NOWY ŚWIAT FIZYKI
wydanie drugie z 7 ilustracjami str. 167
- 4 PAWEŁ DE KRUIF
ŁOWCY MIKROBÓW
z 18 ilustracjami str. 322
- 5 WILLIAM BEEBE
W GŁĘBINACH OCEANU
Wydanie drugie z 50 ilustr. i mapą str. 180
- 6 SIR WILLIAM BRAGG
TAJEMNICE ATOMU
z 57 figurami i 32 tabl. zawierającymi 74 ryciny
str. 185
- 7 W. BUDDENBROCK
ŚWIAT Z MYSŁÓW
z 59 rysunkami str. 245
- 8 Inż. E. POREBSKI
WIELCY TWÓRCY NAUKI
wydanie drugie, z 58 portretami str. 304
- 9 Prof. JAN CZEKANOWSKI
**CZŁOWIEK W CZASIE
I PRZESTRZENI**
wydanie drugie z 95 ilustr. i mapami str. 280
- 10 W. H. BOULTON
**WIECZNOŚĆ PIRAMID
I TRAGEDIA POMPEI**
z nowych badań archeologii
z 75 ilustracjami i tablicą barwną str. 256
- 11 PAWEŁ DE KRUIF
autor „Łowców mikrobów“
**W A L K A N A U K I
Z E Ś M I E R C I A**
wydanie drugie z 16 ilustracjami str. 394
- 12 J. WEYSSENHOFF, C. BIAŁOBRZESKI,
L. WERTENSTEIN, S. SZCZENIOWSKI
**O D G W I A Z D Y
D O A T O M U**
wydanie drugie z 46 ilustracjami str. 238
- 13 JAMES KENDALL
**N O W O C Z E S N A
A L C H E M I A**
z 62 ilustracjami i 16 tablicami str. 256
- 14 H. G. WELLS
HISTORIA ŚWIATA
z 40 ilustracjami i 10 mapami str. 346
- 15 E. HAWKS
DZIWIWY PRZYRODY
wydanie drugie str. 250
- 16 K. FRISCH
ŻYCIE PSZCZÓŁ
wydanie drugie z 96 ilustracjami str. 163
- 17 H. i M. VOWLES
**CZŁOWIEK I SIŁY
PRZYRODY**
z 25 ilustracjami str. 229
- 18 Dr ARTUR HAAS
ZASADY FIZYKI
Światło — Elektryczność — Ciepło — Materia
z 76 ilustracjami str. 309
- 19 E. HAWKS
**DZIWIWY POWIETRZA
I WODY**
z 83 ilustracjami str. 248
- 20 WILLIAM BEEBE
923 METRY W GŁĄB OCEANU
z 95 barwnymi i czarnymi ilustr. str. 318

- 21 Dr LUDWIK GROSS
LUDZKOŚĆ W WALCE
O ZDROWIE
z 7 portretami str. 333
- 22 E. DIMNET
SZTUKA MYŚLENIA
wydanie drugie str. 166
- 23 WILLIAM BEEBE
KRAJNA WÓD
NONSUCH
z 55 ilustracjami str. 210
- 24 H. W. VAN LOON
GEOGRAFIA
W KALEJDOSKOPIE
z 16 barwnymi tablicami i 59 rysunkami
str. 389
- 25 Prof. Dr R. GOLDSCHMIDT
WSTĘP DO NAUKI O ŻYCIU
z 161 ilustracjami str. 327
- 26 A. ZISCHKA
JAPONIA
z 25 ilustracjami i 2 mapami str. 415
- 27 HENRI DE VIBRAYE
MITOLOGIA
z 32 rotograwiurami str. 212
- 28 RITCHIE CALDER
NARODZINY PRZYSZŁOŚCI
W RETORCIE UCZONYCH
z 8 ilustracjami str. 250
- 29 M. A. NOURSE
DZIEJE 400,000,000 NARODU
Chiny od czasów najdawniejszych do chwili
obecnej.
Z 6 mapami i 47 ilustracjami str. 324
- 30 SIR ARTHUR EDDINGTON
NAUKA NA NOWYCH
DROGACH
z 4 ilustracjami str. 310
- 31 PAWEŁ DE KRUIF
POGROMCY GŁODU
str. 342
- 32 Dr ALEXIS CARREL
CZŁOWIEK ISTOTA
NIEZNANA
z portretem autora str. 272
- 33 T. R. GLOVER
ŚWIAT STAROŻYTNY
z 98 ilustracjami i 8 mapami str. 336
- 34 ALBERT DRYJSKI
MÓZG IDUSZA
z 57 ilustracjami str. 288
- 35 WILLIAM BEEBE
GALAPAGOS
Na krańcach świata
z 84 barwnymi i czarnymi ilustr. str. 346
- 36 M. BOLL
ZAGADKI ZJAWISK
FIZYCZNYCH
z 60 ilustracjami str. 176
- 37 ANTON ZISCHKA
ITALIA DZISIEJSZA
z 25 ilustracjami str. 351
- 38 PROF. DR R. GOLDSCHMIDT
NAUKA O DZIEDZICZNOŚCI
z 50 ilustracjami str. 208
- 39 WITOLD JABŁOŃSKI, JAN PRZY-
LUSKI, RUDOLF RANOSZEK, STANI-
SŁAW SCHAYER, ANTONI ŚMIESZEK,
TADEUSZ ZIELIŃSKI
RELIGIE WSCHODU
z 44 ilustracjami str. 460
- 40 Dr A. SOLTAN, J. MAZUR, Dr W.
KAPUŚCINSKI, S. SZCZENIOWSKI,
Dr L. WERTENSTEIN
TRYUMFY EKSPERYMENTU
I JEGO GRANICE
z licznymi ilustracjami str. 239
- 41 P. SCHMITZ
WSZECHISŁAM
z 30 ilustracjami i mapami str. 224
- 42 F. A. KIRKPATRICK
ZDOBYWCY AMERYKI
z 22 ilustracjami str. 342
- 43 A. G. MACDONELL
NAPOLEON
I JEGO MARSZAŁKOWIE
z 28 portretami str. 282
- 44 H. GIERSBEBG
HORMONY
z 45 ilustracjami str. 193
- 45 R. NACHTWEY
ŚWIAT W KROPLI WODY
z 45 mikrofotograficznymi zdjęciami
i 12 rysunkami str. 157
- 46 H. W. VAN LOON
DZIEJE ZDOBYCIA MÓRZ
SIEDEM TYSIĘCY LAT NA OCZANACH
z 41 ilustracjami str. 300
- 47 PIERRE GAXOTTE
WIELKA REWOLUCJA
FRANCUSKA
z 48 ilustracjami str. 394

DALSZE TOMY W DRUKU



BIBLIOTEKA PODRÓŻNICZA

- 1 A. F. TSCHIFFELY
OD KRZYŻA POŁUDNIA
DO GWIAZDY POLARNEJ
10.000 MIL KONNO PRZEZ AMERYKĘ DO
ARGENTYNY DO WASZYNGTONU
z 30 ilustracjami i portretem autora
- 2 BERNHARD KELLERMANN
DROGA BOGÓW
INDIE — MAŁY TYBET — SYJAM
z 48 ilustracjami
- 3 CARVETH WELLS
ŚWIATŁO NA CZARNYM
LĄDZIE
PRZYGODY I PODRÓŻE OD RÓWNIKA
DO LAPONII
z 18 ilustracjami
- 4 LOWELL J. THOMAS
INDIE KRAJ CZARNEJ
PAGODY
z 24 ilustracjami
- 5 S. A. ANDRÉE
TRAGEDIA WSRÓD LODÓW
PAMIĘTNIK WYPRAWY ANDRÉE'GO
DO BIEGUNA
z 55 ilustracjami
- 6 JÓZEF KALMER i LUDWIK HR. HUYN
ABISYNIJA
OGNISKO NIEPOKOJU
z 40 ilustracjami, 6 mapami
- 7 HENRY DE MONFREID
TRĘDOWATY
z 49 ilustracjami
- 8 MARIO APPELIUS
KRYZYS BUDDY
z 32 ilustracjami
- 9 ROY CH. ANDREWS
NA KRAŃCACH ZIEMI
z 19 ilustracjami
- 10 MARTIN JOHNSON
LOT NAD DŻUNGLAMI AFRYKI
100.000 KILOMETRÓW SAMOLETEM
z 45 ilustracjami i 1 mapą
- 11 EDMUND DEMAITRE
LUDOŻERCY I POSZUKIWACZE
ZŁOTA
NOWA GWINEA
z 38 rotograviurami
- 12 HENRY DE MONFREID
DRAMAT ETIOPII
z 31 ilustracjami
- 13 EDGAR LAJTHA
KRAJ WSCHODZĄCEGO
SŁONCA
z 41 ilustracjami
- 14 WILLIAM LA VARRE
ZŁOTO DIAMENTY
ORCHIDEE
z 17 ilustracjami
- 15 A. DAVID-NEEL
MISTYCY I CUDOTWÓRCY
TYBETU
z 22 ilustracjami
- 16 DAWID IRWIN — JACK O'BRIEN
SAMOTNIE PRZEZ
PUSTYNIĘ LODOWE
z 9 ilustracjami
- 17 MARTIN JOHNSON
CONGORILLA
z 32 ilustracjami
- 18 H. A. BERNATZIK
MORZA POŁUDNIOWE
z 98 ilustracjami oraz mapą
- 19 G. KRIST
BUCHARA
z 47 ilustracjami
- 20 H. A. BERNATZIK
LAPONIA
z 90 ilustracjami oraz mapą

Dalsze tomy w druku



BIBLIOTEKA DNIA DZISIEJSZEGO

zawiera szereg książek o charakterze informacyjnym, tak pomyślanych, by każda z nich pobudzała do rozmyślań i rozważań na najciekawsze tematy nauki współczesnej. Autorami tych prac są uczeni, którzy omijając techniczne trudności, w wykładzie jasnym i przystępnym tłumaczą najzawilsze tajniki zagadnień dnia dzisiejszego.

Tom 1.

J. HARRISON
S E R C A M A S Z Y N

Tom 2.

A. ALLCOTT i H. S. BOLTON
C H E M I A I T Y

Tom 3.

E. H. CHAPMAN
R A D I O
U S T A X X W I E K U

Tom 4.

E. CRESSY
C U D A B U D O W N I C T W A

Tom 5.

J. L. NAYLER i E. OWER
L O T N I C T W O
Z I S Z C Z O N E M A R Z E N I A I K A R A

Tom 6.

J. W. WILLIAMSON
N A S T A L O W Y C H S Z Y N A C H

D A L S Z E T O M Y W D R U K U

STUDIUM NAUCZYCIELSKIE
w GLIWICACH

K 98817